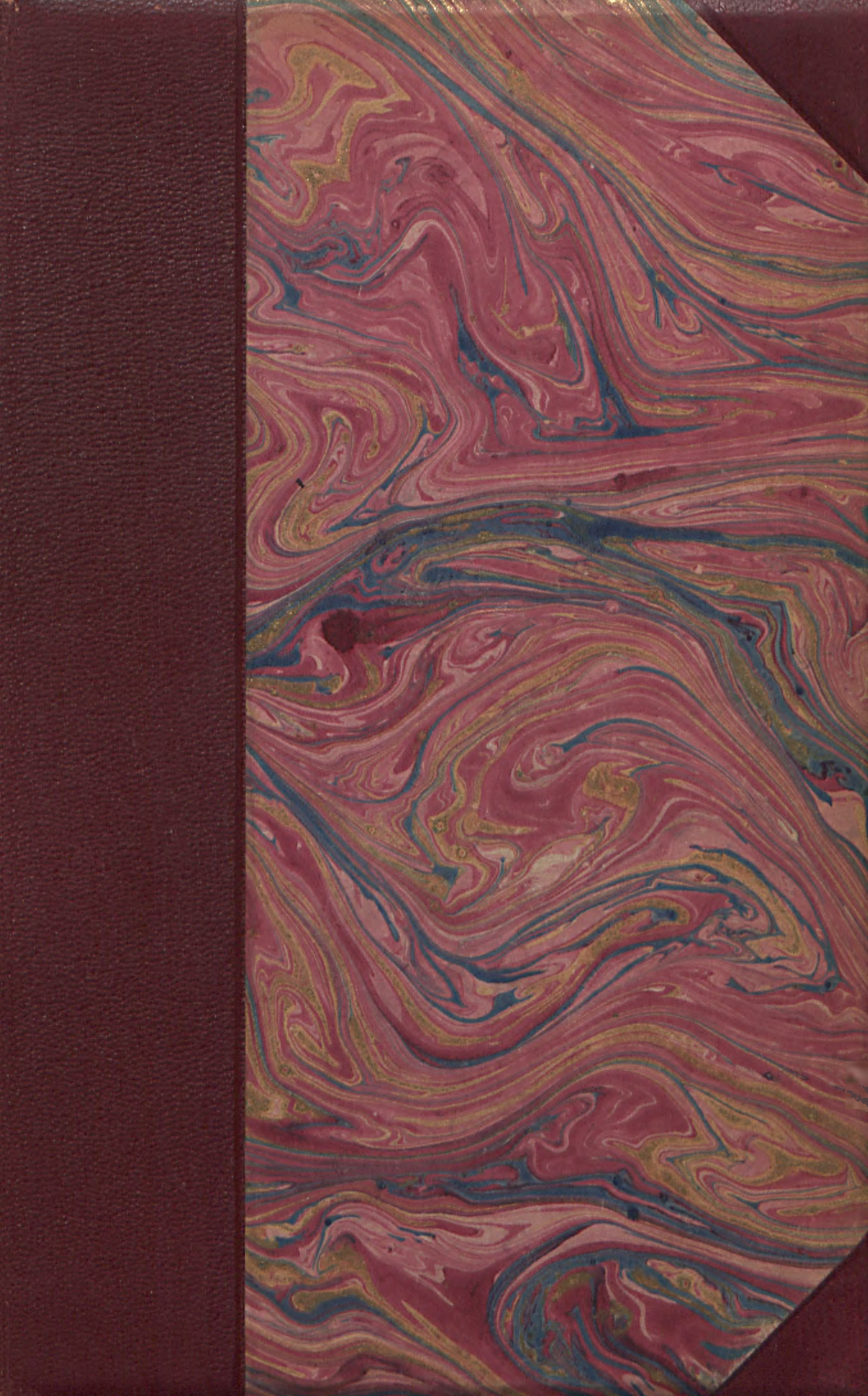




WILLIAM SHAKESPEARE

DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

W DWUNASTU TOMACH

Z PORTRETEM AUTORA

ŻYCIORYS SHAKESPEARA I PRZEDMOWY DO POSZCZEGÓLNYCH UTWORÓW OPRACOWAŁ PROF. DR. ROMAN DYBOSKI. — STUDYUM »SHAKESPEARE W POLSCE« NAPISAŁ DR. LUDWIK BERNACKI. — WYBORU PRZEKŁADÓW DOKONAŁ STANISŁAW KRZEMIŃSKI.



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

TOM II.

MIARKA ZA MIARKĘ
W PRZEKŁADZIE JANA KASPROWICZA.

KOMEDYA OMYŁEK
W PRZEKŁADZIE JANA KASPROWICZA.

WIELE HAŁASU O NIC
W PRZEKŁADZIE JANA KASPROWICZA.



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA





KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI



TŁÓMACZENIE JANA KASPROWICZA.

Tekst dramatu *Measure for Measure* znajdujemy dopiero w pośmiertnem wydaniu dzieł poety *in folio* (1623), ale już z roku 1604 zachowała nam się wśród zapisków o wydatkach dworskich wzmianka o jego przedstawieniu przed królem w drugie święto Bożego Narodzenia; jeszcze dalej wstecz usiłowano cofnąć datę utworu, odnosząc pewne w nim aluzye[1]) do odpornej obojętności króla Jakóba I wobec entuzyastycznego powitania przez nowych poddanych angielskich, gdy nad nimi rządy objął w r. 1603; z roku 1602 wreszcie ma pochodzić drukowany w r. 1607 dramat Middletona *Phoenix*, którego przedmiot — następca tronu, w przebraniu poznający swój lud i wykrywający całe ogniska zepsucia — mógłby był poddać Shakespearowi jeden z głównych pomysłów dzieła; ale oba te ostatnie argumenty są niepewne.

Język, styl i wiersz, konwulsywny, zawiły, natłok myśli, widocznie walczących z formą, nakazują wyznaczyć dziełu miejsce w pobliżu wielkich tragedyi poety; przez pierwszych wydawców umieszczony wśród komedyi ze względu na kon-

---

[1]) I, 1 (książę):

»Choć lud mój kocham, mam jakąś odrazę
Na próżne dawać mu się widowisko;
Ni mi do smaku, chociaż w dobrej chęci,
Głośne oklaski i krzykliwe *vivat!*
Liche mam zdanie o rozumie ludzi,
Co za takiemi gonią się fraszkami«.

II, 4 (Angelo):

»...lud nierozważny,
A do swojego przywiązany króla,
By się pokazał, swe rzuca warsztaty,
Tłoczy się wkoło, tak że się nakoniec
Natrętna miłość obrazą wydaje«.

wencyonalne »szczęśliwe zakończenie«, wistocie jest pełen gorzkiego pesymizmu; podobnie jak »Troilus i Kressyda«, prawie całkiem wypełniony jest grą brudnych erotycznych instynktów; jak w »Królu Lirze«, roztacza się nam przed oczyma obraz całego społeczeństwa, zarażonego zepsuciem; zaś ogólne refleksye, moralne i metafizyczne, kilkakrotnie zbliżają się treścią do gnomiki »Hamleta«; jak »najbielszą cnotę zawiść z tyłu kąsa«, o tem duma tu książę (III, 2) w podobnych słowach, jak Hamlet wobec Ofelii (III, 1); nadewszystko zaś w sławnym hamletowskim monologu »być albo nie być« (III, 1) połączoną znajdujemy i tę pogardę dla życia z jego udręczeniami, co tu przemawia przez usta księcia-mnicha, i trwogę przed tajnikami śmierci, rozbrzmiewającą potem w słowach więźnia (III, 1). W refleksyjnych partyach utworu coprawda i do innego, wcześniejszego, a równie obfitego w gnomy dzieła znajdujemy podobieństwa: w tych samych prawie wyrazach, co Porcya w »Kupcu weneckim« (IV, 1), tu Izabella (II, 2) mówi o wyższem od królewskiego dostojeństwie litości; jak tam (IV, 1), tak i tutaj (V, 1) rozprawa przed trybunałem najwyższej władzy szerokie zajmuje miejsce; jak tam wybiegiem adwokackim, tak tu intrygą cnota i niewinność posługiwać się musi, by odnieść tryumf nad złem. Że jednak, jak w »Kupcu weneckim«, do tego tryumfu ostatecznie dochodzi, że poeta nawet znacznie łagodzi okropności swego literackiego oryginału, to zdaje się nadawać utworowi stanowisko nie w samej erze wielkich tragedyi, lecz na pograniczu między niemi a poprzednią epoką najpogodniejszych utworów komicznych, prawdopodobnie w bezpośredniem sąsiedztwie drugiej gorzkiej komedyi »Koniec wieńczy dzieło«, z której tutaj poeta powtarza przykry motyw podsunięcia opuszczonej narzeczonej w miejsce nowej kochanki; samo opuszczenie narzeczonej także powtórzone z nieco wcześniejszej komedyi, »Wiele hałasu o nic« (IV, 1), tylko tu uzasadnione jeszcze mniej szlachetnymi powodami (III, 1).

Źródłem poety dla całego dzieła był drukowany w r. 1578 dramat »Promos i Kassandra« przez Jerzego Whetstone, który ten sam przedmiot — zaczerpnięty z włoskiej noweli Giralda Cinthio w zbiorze *Hecatonmithi* — potem ponownie opracował w krótkiej noweli, włączonej do jego kolekcyi *Heptameron of Civil Discourses* (1582); że Shakespeare znał i tę nowelę, o tem świadczą pewne analogie w szczegółach; z niej pochodzą słowa tytułu, z niej też imię bohaterki: u Whetstona nosi je osoba, opowiadająca nowelę.

W założeniu odmiennem od dramatu Whetstona jest utwór Shakespeara przez niezależny od tego wzoru pomysł kontroli monarchy nad całym przebiegiem wypadków; shakespearowski książę, zstępując *incognito* między swych poddanych, idzie za przykładem Harun-al-Raszyda i licznych jego następców w legendzie i anegdocie; u Whetstona władcą jest postać historycznie określona, król węgierski Maciej Korwin; interwencya jego — w jakiemś »węgierskiem mieście Julio«, nie w Wiedniu shakespearowskim (zresztą równie fantastycznym) — następuje dopiero pod koniec akcyi, na wezwanie bohaterki; nie on sam też, lecz namiestnik Promos wreszcie bohaterkę poślubia. Shakespearowi przebrany za mnicha książę służy do energicznego prowadzenia akcyi; przeważna część osób to narzędzia w jego rękach; taką np. jest przejęta ze źródła postać litościwego dozorcy więzienia, który u Whetstona z własnego popędu uwalnia skazańca. Rozważając nader skomplikowany i niepotrzebnie dręczący sposób, w jaki książę u Shakespeara inscenizuje ostateczne wyjaśnienia, trudno się oprzeć refleksyi — wypowiedział ją angielski krytyk Saintsbury — że książę licho gra rolę Opatrzności dramatycznej. Drugą jeszcze dał mu poeta: towarzysząc wszystkim wypadkom, jak chór w tragedyi greckiej, książę jest heroldem głębokich refleksyi twórcy nad tem, co się w dramacie dzieje. Na takie uosobienie mądrości objektywnej brak mu coprawda nieco doskonałości osobistej: słaby ma charakter, kto potrzebne wznowienie surowych praw zwala na ramiona zastępcy; mimo to jednak ten książę wyraźnie w oczach poety jest wcieleniem zalet monarszych w porównaniu z namiestnikiem, co nie dorósł ciężkiej odpowiedzialności władcy. Ten problem zdolności do władzy nad ludźmi i dostojeństwa monarchy żywiej widocznie zajmował poetę niż dzisiejszych jego czytelników; i na początku (I, 4) książę zapowiada, że chodzi mu o wypróbowanie, czy władza nie zmieni moralnej natury Angela, — i na końcu ten, co rzucił »potwarz na księcia« (V, 1), najsurowiej jest ukarany. Ideał władcy, jako zespół najszlachetniejszych przymiotów ludzkich, stale przyświecał ludziom Renesansu.

Główną treścią dramatu u Shakespeara jak u Whet-

stona, jest nadużycie władzy namiestniczej przez żądanie czci siostry jako okupu za ułaskawienie brata. Zaostrzył poeta ten konflikt, pomijając wtrąconą u Whetstona obietnicę małżeństwa; z drugiej strony jednak na wszelki sposób łagodzi okropność jego następstw: u Włocha Cinthia i siostra cześć ofiaruje i brat życie traci; Whetstone już oszczędza skazanego na śmierć brata; Shakespeare lituje się nawet nad zbójem, co ma za Klaudya głowę położyć; Bernardyn, potrzebny zrazu jako figurant, rośnie i ożywa poecie pod ręką; nie chce zginąć nie przygotowany na śmierć (IV, 3), i jego z kolei zastępuje człowiek zmarły śmiercią naturalną. Przedewszystkiem jednak oszczędził poeta bohaterce tego poniżenia, przez które w starym dramacie przechodzić musi; wymyślił postać Maryany; ze sceny, w której ukazuje nam ją przy dźwiękach cudnej piosenki [1]) w samotnej chatce (IV, 1), Tennyson w XIX wieku wysnuł dwa piękne poematy liryczne (*Mariana*, 1830, i *Mariana in the South*, 1833).

Gromadząc, jak to często w komedyach czyni, wszystkie osoby w jednem miejscu w efektownej końcowej scenie wyjaśnień, Shakespeare ściągnął w jeden akt całą pięcioaktową drugą część starego dramatu, wypełnioną nowemi komplikacyami, które tam wywołuje interwencya króla. Podobnie już i poprzednio w »Królu Janie« Shakespeare całe pięć aktów drugiej części oryginału streścił w jednym; ale jeżeli tam jeszcze chodzić mogło o niedokładne obliczenie rozmiarów z początku pracy w skutek braku dramaturgicznego doświadczenia, to tutaj postępowanie Shakespeara usprawiedliwia się okolicznością, że w drugiej części dramatu Whetstona dużo istotnie jest szczegółów dramatycznie zbytecznych lub naszemu poecie obojętnych. Wiele tam więc miejsca zajmuje rozpoczęta już w pierwszej części intryga nierządnicy Lamii z urzędnikiem namiestnictwa Phallaxem, ten motyw Shakespeare zupełnie pominął; obszernie przedstawione są przygotowania w mieście na przyjęcie króla, samo jego uroczyste powitanie, oraz rozsądzanie przed jego obliczem różnych drobnych spraw, ilustrujących powszechne zepsucie; wreszcie ma dla siebie cały szereg scen narzeczona skazańca u Shakespeara Julią zwana i tylko kilka razy na krótkie chwile w ciągu dramatu się ukazująca: brak jej nawet w scenie końcowej; przyczyną tej taktownej powściągliwości poety jest jej stan fizyczny; u Whetstona zaraz na początku drugiej części są długie jej lamenty nad rzekomym grobem kochanka. W takich przewlekłych monologach dużo z akcyi całego dzieła Whetstona jest opowiedziane; z takiego monologu u niego przez usta króla się dowiadujemy, że bohaterka już mu wyznała historyę utraty swej czci, co potem znacznie osłabia efekt jej obszernego publicznego opowiadania o sprawie, w scenie sądu nad namiestnikiem; bez porównania silniejsze wrażenie teatralne wywołuje Shakespeare, każąc swej niewinnej bohaterce, wbrew wszelkiemu psychologicznemu prawdopodobieństwu, z namowy księcia kłamliwie głosić przed zgromadzonym ludem swą hańbę. Ten obraz zupełnego zamącenia stosunków moralnych w społeczeństwie potęguje zaraz potem równie przykre dla nas, choć prawdziwe, wyznanie Maryany.

Do rozwinięcia całego kłębka zawikłań Shakespeare w końcowej scenie posługuje się aż trzykrotną maskaradą: książę najpierw przychodzi we własnej osobie, potem znowu jako mnich; Maryana (jak Hero w V akcie komedyi »Wiele hałasu o nic«) wchodzi w zasłonie, tak samo potem Klaudyo: z tego wszystkiego u Whetstona, gdzie rozwiązanie odbywa się daleko prościej, jest tylko przebranie ocalonego od śmierci skazańca, który żył w lesie i w decydującej chwili pojawia się w ubiorze mnicha-pustelnika, jak u Shakespeara książę. Jeżeli tu podoba się poecie używać kilku masek (logicznie niepotrzebnych) jedynie dla naprężenia sytuacyi, to w innem miejscu dramatu z motywu przebrania nie skorzystał, choć go u Whetstona znalazł w formie pospolitej na ówczesnej scenie, a pono i w życiu nierzadkiej: tam mianowicie bohaterka na schadzkę do namiestnika udaje się w kostyumie pazia: u Shakespeara Maryana nie przyłącza się do pięciu innych niewiast, co w jego dramatach za mężczyzn się przebierają.

Na scenach między Angelem a Izabellą (II, 2; II, 4), Izabellą a Klaudyem (III, 1) najlepiej mierzyć można ogromny odstęp, jaki dzieli Shakespeara od dramatycznego źródła: u Whetstona bohaterka zaczyna odrazu od for-

---

[1]) Z tą piosnką *(Take, O! take those lips away)* spotykamy się w odmiennej nieco formie — może naśladowanej z Shakespeara — w dramacie Fletchera o Rollonie, księciu Normandyi *(The Bloody Brother)*, drukowanym 1639/40.

malnej mowy do namiestnika, a w dalszych rozprawach jest więcej po prawniczemu ścisłą, a mniej po ludzku przekonywającą; brat-skazaniec od początku w ofierze siostry widzi mniejsze złe od własnej śmierci i namawia ją, by go ocaliła.

Z drugiej strony trudno powiedzieć, żeby Shakespeare był się równie wysoko wzniósł nad poprzednika w scenach rodzajowych i komicznych, oplatających główną akcyę. Znać tu jakby przymus do łatania luk w dramacie szablonowymi motywami po myśli wymagań publiczności, znać brak — może wyczerpanie — pomysłowości humorystycznej: ubogi na duchu policyant Elbow (Łokieć) ma świetniejszego poprzednika w komedyi »Wiele hałasu o nic«; Mrs. Overdone (pani Przepędzona) jest istotnie bardziej jaskrawą, ale tego samego typu osobą, co pani Quickly w »Henryku IV«; przygody Lucya, który oczernia księcia wobec mnicha (III, 2; IV, 3), a potem mnicha wobec księcia (V, 1), są zasadniczem powtórzeniem, choć w odmiennej i doskonalszej formie, epizodu w »Henryku V« między prostym żołnierzem a królem, który, jak tu książę, *incognito* chodzi po obozie swych wojsk (IV, 1, 7). Samodzielnie i nowo stworzone są sceny w więzieniu, gdzie kat w poczuciu własnej godności nie chce przyjąć rufiana za pomocnika (III, 2) i gdzie zatwardziały zbrodniarz, jako stary gość z szacunkiem przez służbę traktowany, odmawia przyzwolenia na to, by go w tym dniu stracono (IV, 3). Słuchając straszliwych żartów na temat życia i śmierci, wymienianych między temi osobami, w całej pełni sobie uświadamiamy, że Shakespeare komicznym poetą być przestaje. U Whetstona świat nierządnic, ich służby i klienteli daleko więcej miejsca zajmuje; nie brak też starym zwyczajem ludowej dramaturgii scen błazeńskich, nie połączonych organicznie z przedmiotem utworu; wypełniają je głównie typowe przygody okradanego przez wielkomiejskich oszustów chłopa; podobnemu celowi, co one, służy u Shakespeara monolog błazna, wyliczający uwięzionych rozpustników i utracyuszów (IV, 3), i przypominający sławniejsze rozmyślania odźwiernego w »Makbecie« o przybyszach do piekła (II, 3).

Niechęcią czy niezdolnością poety do komedyi w poczynającym się pesymistycznym okresie tworzenia tłómaczyć należy — zdaniem niektórych bardzo stanowczych krytyków — nie tylko niewielką wartość luźnych epizodów

komicznych w dramacie, ale sam rażący obrót jego głównej akcyi. Konflikt między zbrodniczą żądzą Angela a cnotą Izabelli, tak jak go nam ukazał drugi akt, wydaje się nieuchronnie tragicznym; zaś poeta — może ze względu na potrzebę komedyi w repertuarze trupy — nadaje mu za pomocą różnych sztuczek konwencyonalne, przepisane w źródle literackiem, »szczęśliwe zakończenie«. Czy to nie jest niekonsekwencya artystyczna? Saintsbury wyobrażał sobie nawet, że tu zachodzi sprzeczność między pierwotnym pomysłem pełnego okropności dramatu w rodzaju »Tytusa Andronika« a późniejszem idealizującem i łagodzącem wykonaniem, i że ślady pierwotnej koncepcyi pozostały widoczne w surowej robocie scen rodzajowych. Ale te dyssonanse zachodzić mogły także przy jednorazowem powstaniu dzieła w późniejszym okresie. Amnestya Angela mniej dziwi tego, kto sobie przypomina liczne inne przykłady takich łatwych przebaczeń w komedyach Shakespeara; zaś wobec przekonywającej siły, z jaką nas sztuka poety nagina do przyjęcia sceny końcowej, stawiamy sobie pytanie, czy ta »prawda komedyi« wistocie nie jest jednak prawdziwszą od prawdy logicznej, czy w rzeczywistości takie zawikłania także się najczęściej kompromisem nie kończą. Właśnie w tem dziele, jako traktującem tak zasadniczy problem moralny wyraźniej, niż gdzieindziej, objawia się przeświadczenie poety o względności kategoryi złego i dobrego.

Ten relatywizm etyczny Shakespeara nie pozwala nam utworzyć sobie pewnego zdania nawet o jednoznacznej pozornie postaci Angela. Z dramatyczną siłą monolog jego (II, 2) stawia nam przed oczy fakt zaskoczenia jego natury przez niską żądzę; u Whetstona o poszczególnych stadyach namiętności namiestnika opowiada nam jego urzędnik językiem konwencyonalnym petrarchistycznych sonetów miłosnych. Angelo, utraciwszy zdolność do modlitwy i myśli poważnych, skarży się (II, 4), podobnie jak Klaudyusz w »Hamlecie« (III, 3); głęboko żałuje czynu, co go pozbawił tej ostoi moralnej, jaką było wysokie o osobie mniemanie (IV, 4); pokornie prosi o karę (V, 1), i w duchu wyrozumiałości streszcza jego sprawę Izabella, gdy tamże mówi:

»Ja wierzę prawie w czynów jego szczerość,
Do chwili, w której na mnie oko rzucił;
A jeśli tak jest, daruj mu, o Panie!«

Niezgodne z nieskalaną reputacyą Angela opuszczenie narzeczonej możnaby odłączyć od charakterystyki jako poprostu potrzebne poecie dla wprowadzenia losów Maryany do akcyi; zdradziecki wyrok na Klaudya, jak zabicie Banka w »Makbecie«, jest nieodzownem już następstwem pierwszego złego kroku — *der Fluch der bösen Tat.* Angelo o świętości i słuszności surowych praw (II, 1) mówi wzniośle, z przejęciem i widocznie po myśli poety; gdzieniegdzie zaledwie są oznaki głęboko zakorzenionej w tym charakterze obłudy faryzeuszowskiej; najwyraźniej, gdzie pokusę w tak dostojnej postaci nazywa przywilejem ludzi cnotliwych (II, 2):

»O chytry nasz wrogu,
Który, świętego złapać chcąc na haczyk,
Świętą zanętę włożyć potrafiłeś!«

Tu przypomnieć sobie musimy, że purytanie sami siebie zwali »świętymi« i »wybrańcami Bożymi«, i skłonniśmy, jeżeli gdzie, to w tej właśnie postaci u Shakespeara, dopatrywać się poważnej na nich satyry. Zarazem pewne podobieństwo łączy upokorzenie Angela z komiczną porażką miłości własnej Malvolia w komedyi »Wieczór Trzech Króli«; jedno i drugie, a łącznie z niemi nawet oślą głowę łyka ateńskiego w »Śnie nocy letniej« i klęski Falstaffa za sprawą pań windsorskich, uważać można za poetycką zemstę wrażliwego, delikatnego Shakespeara, jakim go ukazują sonety, nad filistyńskimi realistami otoczenia, co niejednokrotnie przewyższać go musieli tępą pewnością siebie w powszednich sprawach życia.

Izabella, posąg niewinności, tak schematycznie skontrastowana w swem klasztornem odosobnieniu z uosobionem w Lucyu światem zepsucia wkoło (I, 5), do tak drastycznych w zetknięciu z tym światem zmuszona wyrażeń (III, 1) [1]) i do tak niegodnego wykrętu (V, 1) ma coś nieludzkiego w swym ascetyzmie i może przy całem dla tej idealnej postaci uwielbieniu poety jest wyrazem pewnej lekkiej ironii, że nie kończy życia w klasztorze, »nucąc mdłe hymny bezpłodnej Dyanie« [1]), lecz przez bardzo nagłe i nieprzygotowane małżeństwo z księciem właściwie pozyskana jest dla pożytecznej roli w społeczeństwie.

[1]) Do Klaudya:

»O, bydlę przeklęte!
. . . .
Powiedz, czy nie jest prawie kazirodztwem
Żywota szukać w hańbie własnej siostry?
. . . .

Ta sama względność w przedstawieniu osób moralnie już stanowczo upośledzonych: Pompejusz, sługa z kolei rajfurki i kata, to biedak, który nie ma z czego innego żyć; Pianka (II, 1) to miły w swej lekkomyślności młody człowiek; tak samo plastyczniejszy od niego Lucyo, który ujmuje nas religijną czcią dla Izabelli (I, 4; IV, 3); Klaudyo niema tej niezłomnej *virtù,* którą ludziom Odrodzenia skutecznie zalecał był Machiavelli; o grzechu i cnocie (III, 1) rozumuje prawie tak cynicznie, jak Falstaff o honorze (»Henryk IV«, cz. I, V, 1); ale jego trwogę śmierci każdy z nas czuje na dnie duszy, a okoliczności, łagodzące jego przestępstwo, od początku silnie są zaznaczone (I, 3).

Wobec tak niewyraźnych granic między złem a dobrem w shakespearowskim obrazie natury ludzkiej musimy ostatecznie, jak to w rozbiorze etyki tego dramatu czyni oxfordzki krytyk Walter Raleigh, za najtrafniejszą ocenę moralnego stanowiska Shakespeara uznać piękne słowa Williama Hazlitta: »Shakespeare, w pewnem znaczeniu słowa, był najmniej moralnym ze wszystkich pisarzy; bo to, co zwykle moralnością zowią, składa się z różnych antypatyi; a jego talentu istotą jest sympatya z naturą ludzką we wszystkich jej formach i stopniach, w jej poniżeniach i jej wywyższeniach«.

...wierność matki zda mi się wątpliwa,
Bo niepodobna, by z krwi mego ojca
Taka wyrodna strzeliła latorośl...
. . . .
...litość dla ciebie
Byłaby nowych występków rajfurką«.

[1]) *Chanting faint hymns to the cold fruitless moon* (słowa Tezeusza w »Śnie nocy letniej«, I, 1).

OSOBY:

Wincencyo, książę wiedeński.
Angelo, namiestnik w nieobecności księcia.
Eskalus, stary pan, pomocnik Angela w namiestnictwie.
Klaudyo, młody szlachcic.
Lucyo, dziwak.
Dwaj inni, podobni mu szlachcice.
Warring, szlachcic, sługa księcia.
Profos.
Tomasz } mnisi.
Piotr }
Łokieć, głupkowaty sługa policyjny.
Pianka, głupkowaty szlachcic.
Błazen, służący p. Przepędzonej.
Abhorson, kat.
Bernardyn, rozpustny więzień.
Izabella, siostra Klaudya.
Maryana, narzeczona Angela.
Julia, kochanka Klaudya.
Franciszka, zakonnica.
P. Przepędzona, rajfurka.

Panowie, szlachta, straż, oficerowie, służba.

Rzecz dzieje się w Wiedniu.

MIARKA ZA MIARKĘ.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Komnata w pałacu księcia.

(Wchodzi Książę, Eskalus i panowie).

Książę. Eskalus.
Eskalus. Panie!
Książę. Chcieć wam rozwijać istotę rządzenia
Znaczy, że w pustych lubuję się słowach,
Gdyż świadom jestem, że wasza w tem wiedza
Przekracza wszelkich wskazówek granicę,
Jakich ma zdolność udzielić wam może.
Jedno wam tylko zostaje: połączyć
Uczciwość swoją ze swoim talentem
I dać im działać. Wszak natury ludu
I wszystkich grodu naszego urządzeń
I praw wszelakich taką posiadacie
Świetną znajomość, jaką nie umiały
Wzbogacić dotąd sztuka ni praktyka
Żadnego z znanych mi mężów. Tu oto
Nasze zlecenie, od którego raczcie
Nie odstępować. Więc każcie Angela
Przywołać tutaj. A jakżeż myślicie,
Będzie on naszą przedstawiał osobę?
Bo trza wam wiedzieć, że go z szczególniejszym
Wyznaczyliśmy namysłem, by nasze
Wypełnił miejsce w naszą nieobecność;

Żeśmy go w postrach odziali i łaskę,
Że namiestnictwu jego poruczamy
Wszystkie czynności naszej władzy. Cóż wy
O tem sądzicie?
Eskalus. Jeżeli we Wiedniu
Jest jaki człowiek, godzien tych zaszczytów
I takiej łaski, to chyba Angelo.
(Wchodzi Angelo).
Książę. Właśnie przychodzi.
Angelo. Waszej Łaskawości
Zawsze posłuszny, śpieszę po zlecenia.
Książę. Jest pewien rodzaj pisma w twojem życiu,
Które widzowi objawia wyraźnie
Całe twe dzieje. Ty i twe przymioty
Nie swoją tylko jesteście własnością,
Byś się roztrwaniał dla swych cnót, a one
Trwonił jedynie dla siebie. Niebiosa
Robią li z nami to, co my z pochodnią:
Nie świeci ona dla siebie: i nasze
Cnoty jeżeli na jaw nie wychodzą,
To tak, jakgdyby ich nie było. Duchy
Na to swe piękne otrzymały znamię,
Aby spełniały piękny cel. Natura
Nie wypożyczy z swej doskonałości
Ani drobinki, aby nie żądała
Ta gospodarna bogini od wszystkich
Swoich dłużników dzięki i procentów:
Ale swe słowa zwracam do człowieka,
Coby mnie raczej mógł pouczyć. Przeto
Weź to, Angelo!
(Daje mu pełnomocnictwo).
W nieobecności mojej bądź mną samym;
Niechaj we Wiedniu śmierć i przebaczenie
Goszczą li w sercu twem i na twej wardze.
Stary Eskalus, choć pierwszy wybrany,
Twym jest podwładnym. Masz pełnomocnictwo.
Angelo. Racz ten mój metal lepiej wypróbować,
Dobry mój książę, nim wyciśniesz na nim
Tak wielki obraz.
Książę. Bez dalszych wybiegów.
Długiej rozwadze podaliśmy wybór,
Co was wyróżnił. Przyjmijcie więc zaszczyt.
Taki jest pośpiech naszego odjazdu,

Że nie pozwala mi nawet rozstrzygać
Spraw wielkiej wagi. Napiszemy do was,
Jeśli warunki i czas nie przeszkodzą,
Jak nam się dzieje, to samo pragniemy
Zasłyszeć wieści i o was. Żegnajcie:
A szczęśliwego życzę wam spełnienia
Naszych poleceń.
Angelo. Lecz pozwólcie, książę,
Byśmy wam mogli towarzyszyć chociaż
Jakąś część drogi.
Książę. Pośpiech nie dozwala;
Ale, na honor, niechaj was nie trapi
Żadna wątpliwość, wasza władza moją;
Więc obostrzajcie lub łagodźcie prawa
Według uznania. Podajcie mi rękę;
Pragnę odjechać potajemnie; kocham
Lud swój, atoli nie chcę jego oczom
Czynić ze siebie widowiska. Głośne
Jego oklaski, natarczywe krzyki,
Choć w dobrej chęci, nie są mi do smaku.
Nie widzę także rozumu w człowieku,
Który to lubi. Jeszcze raz: żegnajcie!
Angelo. Niebo tym waszym niech sprzyja zamysłom.
Eskalus. Niech was prowadzi i szczęsny da powrót!
Książę. Dzięki. Żegnajcie. *(Wychodzi).*
Eskalus. Proszę was, panie, pozwólcie swobodnie
Pomówić z sobą. Zależy mi na tem,
Ażebym nawskróś poznał swe zadanie.
Mam wprawdzie władzę, lecz jakiej jest mocy,
Jakiej natury, tego dotąd nie wiem.
Angelo. To samo ze mną. Odejdźmy stąd razem.
A ku naszemu wnet zadowoleniu
Zbadamy sprawę.
Eskalus. Słucham waszej łaski.

SCENA II.

Ulica.

(Wchodzi Lucyo i dwaj szlachcice).

Lucyo. Jeśli książę i inni książęta nie pogodzą się z królem węgierskim, to wszyscy książęta rzucą się na króla.

Pierwszy szlachcic. Oby nam niebo dało swój pokój, ale nie pokój króla węgierskiego.

Drugi szlachcic. Amen.

Lucyo. Kończysz, jak ów świętobliwy korsarz, który z dziesięciorgiem przykazań udał się na okręt, ale jedno wyskrobał z tablicy.

Drugi szlachcic. Nie kradnij?

Lucyo. Tak jest! to właśnie wyskrobał.

Pierwszy szlachcic. To takie było przykazanie, które kapitanowi i jego czeredzie przykazywało wyrzec się własnego rzemiosła: boć wypłynęli na to, żeby kraść. Śród nas, żołnierzy, nie ma ani jednego, któryby, odmawiając modlitwę przedobiednią, smakował w prośbie, błagającej o pokój.

Drugi szlachcic. Nie słyszałem ani jednego żołnierza, któremuby się taka prośba podobała.

Lucyo. Wierzę, bo, zdaje mi się, sam nigdy tam nie byłeś, gdzie Pana Boga błagają o łaskę.

Drugi szlachcic. Nigdy? Co najmniej tuzin razy.

Pierwszy szlachcic. A na jaką nutę?

Lucyo. Na jaką chcesz i we wszystkich językach.

Pierwszy szlachcic. A zapewne także i we wszystkich religiach.

Lucyo. Dlaczegóżby nie? Łaska jest łaską, naprzekór wszelkim dysputom, tak jak ty wierutnym jesteś łotrem mimo wszelkiej łaski.

Pierwszy szlachcic. I owszem! Jedne nas strzygły nożyce.

Lucyo. Tak jest, jak krajkę i aksamit. Ty jesteś krajką.

Pierwszy szlachcic. A ty aksamitem; aksamitem postrzyżonym trzykrotnie. Wolę być krajką z kawała angielskiego włosiatego szaraczku, aniżeli aksamitem, postrzyżonym francuskiemi nożycami. A co? dobrze ci dogryzam.

Lucyo. I owszem i owszem, widać dobrze cię przegryzło, zanim doszedłeś do takiej wprawy w ogryzaniu. Twoje własne zeznanie uczy mnie, jak pić twe zdrowie: dopóki żyję, pamiętać będę zawsze, ażeby nigdy nie pić po tobie.

Pierwszy szlachcic. Zdaje mi się, że sam sobie zaszkodziłem, czy nie?

Drugi szlachcic. Tak jest, zaszkodziłeś sobie, bez względu na to, czyś się zaraził, czy wyszedłeś cało.

Lucyo. Patrzcie! patrzcie! Idzie pani Uśmierzycka. Nabawiłem się pod jej dachem tyle chorób, że mi wypadają —

Drugi szlachcic. Na ile, proszę?

Pierwszy szlachcic. Zgadnijcie.

Drugi szlachcic. Na trzy tysiące talarów rocznie.

Pierwszy szlachcic. Ej! i więcej.

Lucyo. Francuską koronę w dodatku.

Pierwszy szlachcic. Wyobrażasz sobie we mnie same tylko choroby; ale mylisz się, jak najzupełniej czerstwy ze mnie człowiek.

Lucyo. I owszem; ale to nie to samo, co zdrowy: jesteś czerstwy, to znaczy wyschły. Kości twoje wyschły; bezbożność biesiadowała na tobie.

(Wchodzi Rajfurka).

Pierwszy szlachcic. A! witajcie! A w którem biodrze głębsza scyatyka?

Rajfurka. No, no... Aresztowali właśnie i zaprowadzili do więzienia człowieka, który był pięć tysięcy razy więcej wart od was wszystkich.

Pierwszy szlachcic. A kogo to? proszę cię, powiedz.

Rajfurka. A kogoby tam? Klaudya! pana Klaudya.

Pierwszy szlachcic. Klaudyo w więzieniu? To być nie może.

Rajfurka. I owszem; ale ja wiem, że tak jest. Widziałam jak go aresztowali; widziałam, jak go odprowadzali; a co więcej! w trzech dniach mają mu uciąć głowę.

Lucyo. A pomimo wszystkich tych błazeństw, byłoby mi jednak żal, gdyby się tak stało. Jesteście tego pewną?

Rajfurka. Jestem tego aż nazbyt pewną: i to za to, że panna Julietta zaszła przez niego w ciążę.

Lucyo. Wierzajcie mi, to być nie może, obiecał, że się ze mną spotka za dwie godziny; a w dotrzymywaniu obietnic zawsze był akuratny.

Drugi szlachcic. Prócz tego, jak wiecie, zgadza się to z tem wszystkiem, o czem mówiliśmy przed chwilą.

Pierwszy szlachcic. A przedewszystkiem zgadza się to z obwieszczeniem.

Lucyo. Chodźmy dowiedzieć się prawdy.

(Wychodzi Lucyo i szlachcice).

Rajfurka. Tak więc trochę przez wojnę, trochę przez potnicę, trochę przez szubienicę, a trochę przez ubóstwo tracę swoich gości. *(Wchodzi błazen).* Cóż tam? Jakie masz nowiny?

Błazen. Poprowadzili tam człowieka do więzienia.
Rajfurka. A cóż on takiego zrobił?
Błazen. Kobietę.
Rajfurka. Ale co zawinił.
Błazen. Łowił pstrągi w cudzej rzece.
Rajfurka. A więc pannie zrobił dziecko?
Błazen. Nie! tylko z panny zrobił panią; nie słyszeliście o obwieszczeniu? czyście słyszeli?
Rajfurka. O jakiem obwieszczeniu, człowieku?
Błazen. Wszystkie domy na przedmieściach właśnie mają być zburzone.
Rajfurka. A cóż się stanie z domami w mieście?
Błazen. Mają zostać na zasiew, i te byliby znieśli, gdyby nie pewien rozumny obywatel, który się wstawił za nimi.
Rajfurka. Czy mają być zniszczone wszystkie przedmiejskie nasze domy schadzek?
Błazen. Zrównane z ziemią, mościa pani.
Rajfurka. To się nazywa zmiana w Rzeczypospolitej, prawdziwie! cóż się stanie ze mną?
Błazen. Nie bójcie się; dobrym doradcom nie zbywa na klientach: choć zmienicie miejsce, to nie potrzebujecie jeszcze zmieniać zawodu, a ja zawsze pozostanę u was czopowym. Odwagi; zmiłują się nad wami ludzie; was, coście prawie oczy stracili na służbie publicznej, was już tam jakoś uwzględnią.
Rajfurka. Cóż nam wypadnie zrobić, mój ty Tomku Czopie? Chodźmy na stronę.
Błazen. Nadchodzi właśnie pan Klaudyo, prowadzony przez dozorcę do więzienia, a tam oto panna Julietta.
(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże.

(Wchodzi: Profos, Klaudyo, Julia, służba sądowa).

Klaudyo. Co mnie całemu pokazujesz światu?
Wiedź do więzienia, jak ci rozkazano.
Profos. Nie czynię tego ze złej woli swojej,
Lecz na Angela wyraźne zlecenie.
Klaudyo. Tak to nam każe ten półbożek władza
Płacić za winy według ich ciężkości,
Jak rozkaz z nieba, kogo chce, dosięgnie,
A kogo nie chce, to i nie; a zawsze
Sprawiedliwością się zowie.
(Wchodzi Lucyo).
Lucyo. Mój Klaudyo!
Cóż się to dzieje? skądże ta niewola?
Klaudyo. Z zbytku wolności, mój Lucyo, wolności.
Jak przesyt ojcem jest postu, tak samo
Wolność, jeżeli zbyt jej nadużyto,
Zmienia się zawsze w niewolę. My ludzie,
(Niby te szczury, łakome swej trutki)
Po grzech sięgamy, spragnieni, i gnijem,
Gdy napijemy się z niego.
Lucyo. Gdybym ja tak mądrze przemawiać umiał w areszcie, to przywołałbym niektórych swoich wierzycieli. A jednak, by ci powiedzieć prawdę, wolę ja błazeństwa wolności, niżeli morał więzienia. Jakiż twój występek, Klaudyo?
Klaudyo. Mówić już o tem byłoby występkiem.
Lucyo. Więc cóż takiego? mów!
Klaudyo. Nic.
Lucyo. Wszeteczeństwo?
Klaudyo. Możesz tak nazwać.
Profos. Czas w drogę, mój panie.
Klaudyo *(do Profosa).* Jedno słóweczko. *(Do Lucya).*
Lucyo, jedno słowo.
(Prowadzi go na stronę).
Lucyo. I sto, jeżeli wyjdzie wam na dobre.
Więc tak się karze wszeteczeństwo?
Klaudyo. Ze mną
Rzecz-ci jest taka. Po sprawiedliwemu
Stałem się panem łoża Julietty.
Znacie tę damę; jest ona mą żoną,
Tylko zewnętrznych dotąd formalności
Nie ogłosiłem — ze względu, ażeby
Otrzymać posag, zamknięty dotychczas
W skrzyniach jej krewnych. Z takiej to przyczyny
Chcieliśmy ukryć przed nimi swą miłość,
Aż czas ich ku nam nakłoni. Atoli
Wzajemność naszych kradzionych czułości
Zbyt wyraźnemi los zapisał głoski
Na Juliecie.

Lucyo. Może zaszła w ciążę?
Klaudyo. Tak! na nieszczęście! A nowy namiestnik
Naszego księcia, czy szukać tu winy
W blasku nowości, czy też, że uważa
Rzeczpospolitą za konia, na którym
Może odrazu jeździć wielkorządzca
I, nim się jeszcze usadowi w siodle,
Spinać go swoją ostrogą, ażeby
Czuł jego władzę; czy też, że tyrania
Jest na swem miejscu właściwem, czy może
Przepełnia wnętrze jego wysokości,
Nie wiem; to jedno, że nowy namiestnik
Rozbudził wszystkie zapleśniałe prawa,
Które, jak rdzawy oręż, od niepomnych
Wisiały czasów na ścianie — tak długo,
Że dziewiętnaście przeszło zodyaków,
A nikt nie użył z praw tych ni jednego,
Aż tu on nagle, aby zyskać imię,
Te zapomniane, te drzemiące prawa
Przeciw mnie zwraca — tak, by zyskać imię.
Lucyo. Tak jest, zapewniam cię; a głowa twoja tak słabo trzyma się teraz na ramionach, że zakochana mleczarka strąciłaby ją westchnieniem. Poślij do księcia i apeluj do niego.
Klaudyo. Już tom uczynił; lecz trudno go znaleźć.
Proszę cię, Lucyo, uczyń mi przysługę.
Dziś do klasztoru wstępuje ma siostra,
Aby rozpocząć próbę nowicyatu.
Racz ją zapoznać z mem niebezpieczeństwem,
Proś w mem imieniu, ażeby przyjaciół
Do surowego posłała sędziego;
Niech go i sama błaga; w tem nadzieję
Wielką pokładam, w jej bowiem młodości
Mieszka wymowa, która, choć słów nie zna,
Porywa ludzi; a przytem zna ona
Szczęśliwą sztukę, że, gdy tylko zechce,
Zjednywa sobie wszystkich swym rozumem,
Że swym dowcipem wszystkich przekonywa.
Lucyo. Daj, Boże, aby to się jej udało, zarówno dla pocieszenia wszystkich powolnych tobie, znajdujących się pod groźbą surowego prawa, jako też dlatego, ażebyś mógł dalej używać życia, gdyż byłoby mi bardzo smutno, gdybyś je w taki głupi sposób miał przegrać w jednej partyjce maryasza. Idę do niej.

Klaudyo. Dzięki wam, dobry przyjacielu Lucyo.
Lucyo. Za dwie godziny —
Klaudyo. Idźmy już, dozorco.

SCENA IV.

Klasztor.

(Wchodzi Książę i mnich Tomasz).

Książę. Nie, świętobliwy ojcze! Myśl tę rzućcie!
Nie wierzcie temu, że strzała miłości
Zdolna jest przeszyć serce męża. Jeślim
Utajonego pragnął tu schroniska,
To w poważniejszych, dojrzalszych zamiarach,
Niżeli cele gorącej miłości.
Mnich. Możecież mi je zawierzyć?
Książę. Nikt od was,
Mój świętobliwy panie, nie wie lepiej,
Jak zawszem lubił życie na ustroniu,
Jak u mnie zawsze w niskiej były cenie
Huczne zebrania, na których szaleje
Młodość i zbytek i pycha.
Hrabi Angelo (jako jest człowiekiem
Surowych zasad, stałym, powściągliwym)
Oddałem władzę swoją tu we Wiedniu.
A on zaś mniema, żem ruszył do Polski,
Bom tę rozpuścił wieść między ogółem
I w nią też wierzą. Teraz się pytacie,
Czcigodny panie, na com to uczynił?
Mnich. Owszem, mój książę!
Książę. Mamy surowe prawa i ustawy
(Na twarde konie uzda i wędzidło),
Którym daliśmy drzemać lat czternaście,
Że były jako stary lew w jaskini,
Nie puszczający się na zdobycz. Dzisiaj,
Jako te rózgi, które ojciec słaby
Powiązał na to, aby je zawiesić
Przed okiem dzieci więcej dla postrachu
Niż dla użytku, raczej w nich szyderstwo
Budzą, niż trwogę — dzisiaj i ustawy,

Zmarłszy dla kary, zmarły i dla siebie,
Swawola za nos wodzi sprawiedliwość,
Niemowlę bije swą mamkę, z kretesem
Znikła wszelaka przyzwoitość.

Mnich. W waszej
Było to mocy rozwiązać znów pęta
Sprawiedliwości, gdybyście zechcieli;
A byłoby się to we was wydało
Jeszcze groźniejszem, niż w panu Angelo.

Książę. Lękam się tego, by się nie wydało
Zanadto groźnem: jeśli z mojej winy
Lud miał swawolę, byłoby tyranią
Karać go za to, na com mu pozwolił —
A pozwalamy, otwierając grzechom
Swobodną drogę, zamiast je ukarać.
Stąd też, mój ojcze, na barki Angela
Złożyłem urząd: niechaj on pod tarczą
Mego imienia wymierza im ciosy,
Gdy ja, zeszedłszy z widoku, na siebie
Żadnej nie ściągnę nagany. Chcąc bliżej
Jego się rządom przypatrzeć, zamyślam,
Niby braciszek waszego zakonu,
Między pospólstwo iść i między książąt.
Dlatego proszę, odziejcie mnie w habit
Oraz nauczcie, jak się mam zachować,
Abym wyglądał jako mnich prawdziwy.
Więcej powodów, dlaczego to czynię,
W wolniejszej chwili myślę wam przytoczyć,
Teraz to jedno: Angelo surowy
I przed zawiścią ma się na baczności;
Ledwie też przyzna, że ma krew w swych żyłach,
Że mu do smaku raczej chleb, niż kamień.
A więc zobaczym, czy nas tylko łudzi
Pozór, czy władza umie zmieniać ludzi.

SCENA V.

Klasztor żeński.

(Wchodzą Izabella i Franciszka).

Izabella. Nie macie żadnych innych przywilejów?
Franciszka. Czyż tych nie dosyć?
Izabella. O, dosyć! Nie na to
Mówię, by żądać jeszcze czegoś więcej,
Raczejbym chciała surowszej reguły
Dla sióstr zakonu świętej Klary.

Lucyo *(z zewnątrz).* Pokój
Dla tego miejsca!

Izabella. A któż to tam woła?
To głos mężczyzny! Słodka Izabello,
Idźcie otworzyć furtkę i spytajcie,
Po co przychodzi. Wam otworzyć wolno,
Mnie nie — wy jeszcze jesteście bez ślubów;
Po ich przyjęciu nie będzie wam można
Rozmawiać z żadnym mężczyzną, prócz wtedy,
Gdy przeorysza obecną; a podczas
Waszej rozmowy nie będzie wam wolno
Odsłonić twarzy, a gdy odsłonicie,
Nie będzie wolno rozmawiać. Znów woła.
Proszę was, dajcie mu odpowiedź.
(Franciszka wychodzi).

Izabella. Pokój i szczęście! A któż to tam woła?
(Wchodzi Lucyo).

Lucyo. Cześć wam, dziewico! bo lic waszych róże
Swiadczą mi o tem, jako nią jesteście.
Czyliż możecie to uczynić dla mnie
I zaprowadzić mnie do Izabelli,
Nowicyjuszki tego tu klasztoru,
A pięknej siostry jej nieszczęśliwego
Brata Klaudyusza?

Izabella. Przecz nieszczęśliwego?
Niech się was spytam, bo powiedzieć muszę,
Żem Izabellą, jego siostrą.

Lucyo. Piękna,
Szlachetna dziewko! Brat wam pozdrowienie
Śle; mówiąc krótko, on uwięzion.

Izabella. Biada!
Za co?

Lucyo. O, za to, co by karę jego
Zmieniło w dzięki, gdybym ja był sędzią;
Swą przyjaciółkę dzieckiem obdarował.

Izabella. Nie drwijcie ze mnie. — Powiedzcie mi prawdę.

Lucyo. To czysta prawda. Choć to grzech mój zwykły,
Że wobec dziewic sprawiam się jak czajka,
Że się zabawiam żartami, wśród których
Język daleko od serca — w was jednak

Świętą, niebiańską widzę snać istotę,
Przez ślub zakonny tak uduchownioną,
Że każde słowo przy was, jak przy świętej,
Szczerem być musi.
Izabella. Bluźnicie, panie, szydząc sobie ze mnie.
Lucyo. Nie wierzcie temu. Krótko i po prawdzie
Tak się ma sprawa: brat wasz z swą kochanką
Oddawali się uściskom. Lecz wiecie,
Że kto się karmi, ten się i napełnia;
A jako pora rozkwicia pokrywa
Urodzajami ugór w czas zasiany,
Tak i jej plenne świadczy dzisiaj łono
O jego skrzętnej, ochoczej uprawie.
Izabella. Jakaż kobieta zaszła przezeń w ciążę?
Może kuzynka moja, Julietta?
Lucyo. Wasza kuzynka?
Izabella. Tak jest, przybrana, jak dziewczęta w szkole
Zmieniają swoje nazwiska z dziecięcej,
Szczerej skłonności.
Lucyo. To ona.
Izabella. A zatem
Niech ją poślubi!
Lucyo. W tem ci sęk jest właśnie.
Książę opuścił miasto w dziwny sposób,
A niejednego z szlachty (mnie samego)
Wodził na pasku nadzieją urzędu;
Dzisiaj my wszyscy słyszymy od ludzi,
Znających dobrze wszystkie tętna państwa,
Że obietnice jego nieskończenie
Dalekie były od jego zamiarów.
Na jego miejscu z całą jego władzą
Rządzi Angelo, w którym śnieg stopiony
Zamiast krwi płynie; człowiek, który nigdy
Nie uczuł żądła rozigranych zmysłów,
Ale postami i pracą dla ducha
Raczej przytępia oraz powstrzymuje
To przyrodzone ich ostrze. Ten człowiek,
By krotochwilną przestraszyć swawolę,
Co naokoło groźnych praw igrała
(Niby ta myszka wokół lwa), wydobył
Jakoweś prawo, które treścią swoją
Zagraża życiu waszego braciszka;

Więc go w te tropy aresztować kazał
I chce postąpić z surowością prawa,
By był przykładem dla innych. Zginęła
Wszystka nadzieja, jeśli waszej prośby
Tkliwość nie wzruszy Angela. W tem właśnie
Jądro mojego pośrednictwa między
Wami a waszym bratem.
Izabella. Czy nastaje
Na jego życie?
Lucyo. Podpisał już wyrok,
A jak słyszałem, dozorca więzienia
Ma go wykonać.
Izabella. Cóż ma słaba zdolność
Może uczynić dla niego?
Lucyo. Próbujcie
Sił swych...
Izabella. Me siły! Niestety! ja wątpię.
Lucyo. Nasze wątpienie to zdrajca, co nieraz
Z rąk nam wytrąca dobro, którebyśmy
Uzyskać mogli, jeśliby od próby
Nie odwodziła nas trwoga. A zatem
Idź do Angela, aby go nauczyć,
Że, gdy dziewczęta błagają, mężczyźni
Winni być szczodrzy, jak bogi; że, jeśli
Dziewczęta z łzami padną na kolana,
Wówczas do próśb swych takie mają prawo,
Jakgdyby same wypełnić je miały.
Izabella. Zrobię, co można.
Lucyo. A tylko bez zwłoki.
Izabella. Śpieszę natychmiast. Nie zabawię dłużej,
Niżeli trzeba czasu, aby matkę
Objaśnić o tem. Uniżone dzięki:
Raczcie mu brata polecić; przed nocą
Poślę mu jeszcze wieść o swych zabiegach.
Lucyo. A teraz żegnam.
Izabella. Żegnaj, dobry panie.
(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Sala w domu Angela.

(Wchodzą: Angelo, Eskalus, Sędzia, Profos, służba sądowa i inni).

Angelo. Z prawa naszego nie róbmy straszydła,
Co miało ptaki drapieżne odganiać,
A które z czasem przez przyzwyczajenie
Stało się dla nich grzędą, miast postrachem.
Eskalus. Tak, ale bądźmy ostrzy, by ciąć raczej,
Niżeli zaraz zabijać. Młodzieniec,
Za którym proszę, ma zacnego ojca.
Niech wasza dostojność
Raczy rozważyć (chociaż wiem, że zawsze
Byliście stałym w swej cnocie), czy, gdyby
W wybuchu waszych namiętności pora
Sprzyjała miejscu, miejsce pożądaniu,
Gdyby wzburzona wasza krew osięgnąć
Mogła zamiarów waszych cel, czy kiedy
W tem swojem życiu nie uleglibyście
Na owym punkcie, który w nim karzecie?
Czybyście na się nie ściągnęli prawa?
Angelo. Inna jest sprawa być kuszonym, inna
Zasię ulegać. Nie przeczę, Eskalu,
Że w trybunale, który wyrokuje
O życiu więźnia, na więźniów dwunastu
Jest jeden złodziej lub też dwóch, winniejszych
Od sądzonego. Ale sprawiedliwość
Tylko to chwyta, co widzi. Dla prawa
Rzecz obojętna, że złodzieja sądzi
Taki sam złodziej. Wszakci to jest jasnem,
Że tylko taki podnosimy klejnot,
Który ujrzymy, że zasię depcemy
Bez myśli po tych, których nie dostrzeżem.
Nie umniejszajcie jego win dlatego,
Że takie winy są i we mnie; chciejcie
Raczej mi wskazać, że i dla mnie wyrok,
Którym dziś karzę jego winę, będzie

Wzorem mej śmierci, że niema tu zgoła
Innego względu. A zatem on umrze.
Eskalus. Niech według waszej stanie się mądrości.
Angelo. Gdzie Profos?
Profos. Jestem na rozkazy, panie.
Angelo. Pilnuj, by jutro, o dziewiątej z rana
Klaudyo był ścięty, sprowadź spowiednika,
Niech się na drogę dobrze przygotuje,
Bo to ostatni krok jego pielgrzymki.
(Profos wychodzi).
Eskalus. Niech mu przebaczy niebo i nam wszystkim;
Jednych grzech wznosi, drugich gubi cnota.
Jeden bezkarnie uchodzi z pod gruzów
Swoich występków, drugiego skazują
Za winę, choćby najmniejszą.
(Wchodzą: Łokieć, Pianka, błazen i stróż).

Łokieć. Dalej, odstawcie ich tu. Jeśli to są dobrzy ludzie w rzeczypospolitej, co nic innego robić nie umieją, jak tylko występnie po publicznych postępować domach, to niema prawa na świecie; odstawcie ich tutaj.

Angelo. Cóż to, mości panie! Jak się nazywacie? W jakiej przychodzicie sprawie?

Łokieć. Jeżeli łaska waszej dostojności, to jestem biednego księcia konetablem, a nazywam się Łokieć; opieram się na sprawiedliwości, miłościwy panie, i prowadzę przed waszą łaskawą dostojność dwóch notorycznych dobrodziejów.

Angelo. Dobrodziejów? I owszem, cóż to za dobrodzieje? Czy to czasem nie złodzieje?

Łokieć. Za pozwoleniem waszej dostojności, jużcić nie wiem dokładnie, czem oni być mogą, ale że to wierutne łotry, tego jestem pewny, i że nie ma w nich ani krzty bezbożności, którą każdy dobry chrześcijanin mieć powinien.

Eskalus. Znakomicie rzecz swą wyłożył; to dopiero mądry policyant.

Angelo. Do rzeczy. Cóż to za ludzie? A więc nazywacie się Łokieć; czemu nie gadasz, mój Łokciu?

Błazen. Nie może, miłościwy panie, świeci łokciami.

Angelo. A wy co za jeden, mopanku?

Łokieć. On, miłościwy panie? To czopowy, miłościwy panie; to kawał rajfura; parobas niepoczciwej baby, której dom, miłościwy panie, został, jak powiadają, zawa-

lony na przedmieściu, a która teraz ciągnie profity z łazienek; a i to jest dom, jak sądzę, bardzo paskudny.

Angelo. A skądże to wiecie, mopanku?

Łokieć. Moja żona, miłościwy panie, którą detestuję wobec nieba i waszej dostojności.

Eskalus. Co? twoja żona?

Łokieć. Tak jest, miłościwy panie; a jest to, dzięki niebu, niewiasta uczciwa.

Eskalus. I dlatego ją detestujesz?

Łokieć. Powiadam, miłościwy panie, że i siebie samego tak dobrze detestuję, jak i ją, że, jeżeli to nie jest dom rajfurki, to byłoby go szkoda, bo to nicpotem domisko.

Eskalus. A skąd ty wiesz o tem, konetablu?

Łokieć. A dyć, miłościwy panie, od mojej żony, która, gdyby była kobietą o kardynalskich chuciach, to mogłaby się tam dopuścić kurwiarstwa, cudzołóstwa i wszystkich nieczystości.

Eskalus. Za namową tej kobiety?

Łokieć. Tak jest, miłościwy panie, za namową pani Przepędzonej; ale jak mu plunęła w gębę, tak wiedział od razu, z kim ma do czynienia.

Błazen. Miłościwy panie! Za pozwoleniem waszej dostojności, nie taka jest sprawa.

Łokieć. Udowodnisz mi to wobec tych łajdaków, ty honorowy panie, udowodnisz mi to.

Eskalus *(do Angela)*. Słyszycie tę jego przekładnię?

Błazen. Miłościwy panie, przyszła do nas brzemienna, bo (z przeproszeniem waszej dostojności) zachciało jej się gotowanych śliwek; mieliśmy wtedy, miłościwy panie, tylko dwie w domu, a i te w odległym owym czasie leżały, jakby to powiedzieć, na talerzu od owoców, na talerzu za jakie trzy grosze; wasza dostojność zapewne już widziała takie talerze; nie są to chińskie talerze, ale zawsze dobre talerze.

Eskalus. Do rzeczy, do rzeczy, mniejsza o talerze.

Błazen. To prawda, miłościwy panie, talerz niewart jednej szpilki; w tem macie słuszność, miłościwy panie; a więc do rzeczy. Otóż, jakem powiedział, pani Łokciowa, była, jakem powiedział, w ciąży, miała żywot mocno odęty i zachciało się jej śliwek, a ponieważ, jakem powiedział, leżały tylko dwie na talerzu, ponieważ ten Pianka tutaj, jakem powiedział, zjadł resztę i, jak mówię, zapłacił za nie uczciwie, bo, jak to zapewne wiecie, panie Pianko, nie miałem wam wydać trzech groszy reszty.

Pianka. Tak jest, prawda.

Błazen. A no i owszem; otóż kiedy, jak sobie to przypomnicie, gryźliście właśnie pestki z tych wspomnianych powyżej śliwek —

Pianka. Tak jest, prawda, gryzłem.

Błazen. A no i owszem; powiedziałem wam wtedy, jak sobie to przypomnicie, że ten i ów nie byłby się nigdy wyleczył, wiecie, z tej choroby, gdyby nie był — takem wam powiedział — zachował dyety.

Pianka. Wszystko to prawda.

Błazen. A no i owszem.

Eskalus. Dalej, nudny z ciebie błazen. Przystąp do rzeczy. Coście takiego zrobili żonie Łokcia, że mąż jej ma powód do skargi? Dojdź do końca. Coście jej zrobili?

Błazen. Wasza dostojność nie może jeszcze dojść do tego.

Eskalus. Nie, mopanku, nie mam wcale zamiaru.

Błazen. Ale dojdziecie do tego, z przeproszeniem waszej łaskawości; ale spojrzyjcie tylko, miłościwy panie, na tego tu pana Piankę; człowiek ten ma ośmdziesiąt funtów na rok, a ojciec jego umarł w dzień Wszystkich Świętych. Czy nie w dzień Wszystkich Świętych, mości Pianko?

Pianka. We wilię Wszystkich Świętych.

Błazen. Tak jest, i owszem. — Spodziewam się, że to nie jest prawdą. Otóż, jak powiadam, siedział on sobie na nizkim stołku, w izbie pod »Winogronem«, gdzieście sobie szczególnie upodobali. Nie siedzieliście?

Pianka. Siedziałem; izba to obszerna i dobra na zimę.

Błazen. Tak jest, i owszem. Spodziewam się, że to nie są prawdy.

Angelo. Snać to bajanie trwać będzie noc ruską
W czasie, gdy noce tam najdłuższe. Idę,
A wam zostawiam zbadanie tej sprawy —
Sądzę, że wszystkim wyprawicie chłostę.

Eskalus. I ja tak myślę; dzień dobry waszej łaskawości.
(Wychodzi Angelo).
A teraz dalej. Coście zrobili żonie Łokcia? Jeszcze raz!

Błazen. Raz, miłościwy panie? Nic jej raz nie zrobiliśmy.

Łokieć. Proszę was, miłościwy panie, spytajcie się, co ten człowiek zrobił mojej żonie?

Błazen. Proszę waszej dostojności, raczcie się mnie spytać.

Eskalus. I owszem, mopanku; a więc cóż jej kawaler zrobił?

Błazen. Proszę was, miłościwy panie, raczcie się tylko przyjrzeć twarzy tego kawalera. Zacny panie Pianko, spojrzcie tylko na jego dostojność, to w uczciwym zamiarze. Czy wasza dostojność przyjrzała się jego twarzy?

Eskalus. Tak, mopanku, jużem to uczynił.

Błazen. Proszę was, przypatrzcie się jej tylko dobrze.

Eskalus. Już się przypatrzyłem.

Błazen. Czy wasza dostojność widzi w niej co złego?

Eskalus. Nic a nic.

Błazen. Przysiągłbym na księgę, że co ma w sobie najgorszego, to twarz. A zatem, jeżeli co w nim najgorszego, to jego twarz, jakżeż więc mógłby pan Pianka zrobić coś złego żonie konetabla? Chciałbym to usłyszeć od waszej dostojności.

Eskalus. Masz w tem słuszność. Konetablu, cóż wy na to?

Łokieć. Po pierwsze — za pozwoleniem waszem — dom ten jest domem respektowanym; po drugie, jegomość ten jest respektowany; a i jego pani jest kobietą respektowaną.

Błazen. Na tę rękę, miłościwy panie, żona jego jest kobietą bardziej respektowaną, niżeli ktokolwiek z nas wszystkich.

Łokieć. Wisielcze jakiś, kłamiesz! Kłamiesz, wisielcze bezbożny! Nie przyszedł jeszcze ten czas, aby kiedykolwiek respektowała z mężem, kobietą lub dzieckiem.

Błazen. Miłościwy panie! Była z nim respektowaną jeszcze przedtem, zanim się z nią ożenił.

Eskalus. Któż tutaj mędrszy, sprawiedliwość, czy niegodziwość? Czy to prawda?

Łokieć. A ty łajdaku, a ty wisielcze! A ty przeklęty Kannibalu! Ja z nią respektowałem, zanim się z nią ożeniłem? Jeżeli kiedykolwiek z nią respektowałem, albo ona ze mną, to niech wasza miłościwość nie uważa mnie za sługę biednego księcia. Udowodnisz mi, ty przeklęty Kannibalu, albo cię pozwę za czynną obrazę.

Eskalus. A gdyby wam jeszcze dał w gębę, to moglibyście go jeszcze pozwać i o potwarz.

Łokieć. Tak jest; dziękuję za to waszej dostojności. Co wasza dostojność rozkaże mi zrobić z tym gałganem?

Eskalus. A więc, mój konetablu, ponieważ ten człowiek ukrywa rzeczy, które wydobyłbyś na jaw, gdybyś mógł, dlatego niech brnie dalej, dopóki się nie dowiesz, co to za rzeczy.

Łokieć. Tak jest; dziękuję za to waszej dostojności; widzisz, ty przewrotny wisielcze, na co ci przyszło, musisz brnąć dalej, wisielcze ty jeden, musisz brnąć dalej.

Eskalus *(do Pianki).* Gdzie waść się rodziłeś?

Pianka. Dyć w Wiedniu, miłościwy panie.

Eskalus. Macie ośmdziesiąt funtów rocznie?

Pianka. Tak jest — za pozwoleniem waszej łaskawości.

Eskalus. Dobrze. *(Do błazna).* A waść jakiej kondycyi?

Błazen. Czopowy; czopowy biednej wdowiny.

Eskalus. A nazwisko twej pani?

Błazen. Pani Przepędzona.

Eskalus. Miała więcej, niż jednego małżonka?

Błazen. Dziewięciu, miłościwy panie. Przepędzony był ostatnim.

Eskalus. Dziewięciu! Zbliżcie się, panie Pianko. Panie Pianko, nie życzę sobie, ażebyście zabierali znajomość z czopowymi; porządnie was ściągną, panie Pianko, a waść ich powiesisz; idź waść sobie, a żebym już więcej o waści nie słyszał!

Pianka. Dziękuję waszej łaskawości; co do mojej osoby, to nigdy sam do szynku nie zaszedłem, zawsze mnie ktoś zaciągnął.

Eskalus. Już dobrze. Nic więcej o tem, panie Pianko; bywajcie mi zdrowi. *(Pianka wychodzi).* Chodź bliżej, mości panie Czopowy. Jak się waść nazywasz, panie Czopowy?

Błazen. Pompejusz.

Eskalus. Jak dalej?

Błazen. Zad, miłościwy panie.

Eskalus. Słusznie; zad największą u waści rzeczą; a więc w najbestyalniejszem znaczeniu wyrazu, jesteś waść Pompejuszem, wielkim Pompejuszem, po części jest rajfur z waści, Pompejuszu, choć udajesz czopowego. Czy nie tak? Powiedz mi waść prawdę, nic na tem nie stracisz.

Błazen. Prawda, miłościwy panie, jestem biednym człowiekiem, który chce żyć.

Eskalus. Jak to, Pompejuszu, chcesz żyć z rajfurstwa?

Cóż myślisz o tem rzemiośle, mości Pompejuszu? Czy to prawne rzemiosło?

Błazen. Miłościwy panie, jeżeliby prawo pozwoliło.

Eskalus. Ale prawo nie pozwoli, mości Pompejuszu; rzemiosło to nigdy w Wiedniu dozwolonem nie będzie.

Błazen. Czy wasza łaskawość chce owałaszyć i okapłonić całą młodzież w mieście?

Eskalus. Nie, Pompejuszu.

Błazen. A więc, miłościwy panie, według mego zdania, młodzież będzie robiła to, co dotychczas; niech tylko wasza łaskawość ujmie w karby dziewkarzy i birbantów, a o rajfurów bać się nie będzie trzeba.

Eskalus. Zaczynają się już ładne rządy, mogę to waści powiedzieć: ścinają głowy i wieszają.

Błazen. Jeżeli tylko przez lat dziesięć ścinać i wieszać będziecie wszystkich tych, którzy grzeszą w ten sposób, to radzę wam zawczasu zamówić sobie nieco głów gdzieindziej. Bo jeżeli to prawo utrzyma się w Wiedniu przez lat dziesięć, to wynajmę sobie najpiękniejszy dom po trzy grosze za sążeń; jeżeli łaskawość wasza dożyje dnia, w którym się to stanie, to raczy sobie przypomnąć, że przepowiedział jej to Pompejusz.

Eskalus. Dzięki, dobry Pompejuszu, a — słuchaj — chcąc ci się odwzajemnić, radzę waści, nie dopuszczaj do tego, bym cię miał kiedykolwiek jeszcze zobaczyć przed sobą pod jakimbądź zarzutem, choćby nawet pod tym, żeś pozostał w dotychczasowem swem mieszkaniu. Jeżeli to się stanie, mości Pompejuszu, to przepędzę cię do twych namiotów i będę dla ciebie surowym Cezarem; mówiąc otwarcie, mości Pompejuszu, każę ci dać chłostę; tymczasem zaś, mości Pompejuszu, bywaj mi waść zdrowy.

Błazen. Dzięki waszej dostojności za dobrą radę; pójdę za nią, o ile nie zarządzi inaczej ciało i fortuna.
Chłosta? Niech parob chłoszcze swego osła,
Mnie nie odstraszy chłosta od rzemiosła.
(Wychodzi).

Eskalus. Zbliż się do mnie, mości Łokciu, zbliż się mości konetablu. Od jak dawna znajdujecie się na tem stanowisku konetabla?

Łokieć. Od lat siedmiu i sześciu miesięcy, miłościwy panie.

Eskalus. Domyślałem się z twojej zręczności w sprawowaniu urzędu, że go waść spełniasz czas długi. Siedm lat, powiadasz?

Łokieć. Siedm lat i sześć miesięcy, miłościwy panie.

Eskalus. Ach, niemały to był krzyż dla waści; dzieje ci się krzywda, że tak często obarczasz się tą służbą. Czy niema w dzielnicy twojej innych ludzi, zdolnych do spełniania tej służby?

Łokieć. Prawdziwie, mało jest takich, miłościwy panie, coby się znali na podobnych sprawach. Ci, których wybiorę, zawsze wybierają mnie na swego zastępcę. Spełniam to za trochę grosiwa i tak robię za nich wszystkich razem.

Eskalus. Słuchaj waści, przynieś mi nazwiska jakich sześciu lub siedmiu najzdolniejszych w twojej parafii.

Łokieć. Do domu waszej łaskawości?

Eskalus. Do mego domu; bądź mi zdrów. *(Łokieć wychodzi. Do sędziego).* Która może być godzina?

Sędzia. Jedenasta, panie.

Eskalus. Zapraszam was do siebie na obiad.

Sędzia. Dziękuję uniżenie.

Eskalus. Śmierć Klaudyusza napełnia mnie smutkiem,
Lecz na to niema lekarstwa.

Sędzia. Angelo
Wielce surowy.

Eskalus. Surowość potrzebna;
Nie zawsze łaską, co się łaską zdaje,
A przebaczenie matką nowych grzechów,
A jednak — biedny Klaudyo! — Niema środka!
Idźmy. *(Wychodzą).*

SCENA II.

Inny pokój tamże.

(Wchodzi Profos i sługa).

Sługa. Jeszcze na sądach; powróci niebawem,
Powiem mu o was.

Profos. Tak, proszę.
(Sługa wychodzi).
Raz jeszcze
O jego wolę się spytam; być może,
Zmięknie! Toć grzech swój spełnił on, jak we śnie!

W takim występku każdy wiek smakuje
I każda sekta... On ma umrzeć za to!
(Wchodzi Angelo).
Angelo. I cóż tam słychać, profosie?
Profos. Czy chcecie,
Ażeby Klaudyo umarł tego rana?
Angelo. Czym ci nie mówił? Czyś nie miał rozkazu?
Po cóż się pytasz?
Profos. Z strachu, aby nie być
Nazbyt skwapliwym. Wybacz, wasza miłość,
Alem już patrzał, jak sąd po spełnieniu
Żałował swego wyroku.
Angelo. Rób swoje,
A mnie pozostaw, co do mnie należy.
Pełnij swój urząd, albo porzuć miejsce,
Wszak się obejdziem bez ciebie.
Profos. Dostojność
Wasza wybaczy, ale co się stanie
Z cierpiącą Julią? Jej chwila się zbliża.
Angelo. W odpowiedniejsze odstawić ją miejsce
I to w te tropy.
(Wraca sługa).
Sługa. Siostra skazanego
Pragnie mieć dostęp do waszej miłości.
Angelo. Co? on ma siostrę?
Profos. Tak jest, dobry panie!
Cnotliwa dziewka — idzie do zakonu
Lub już wstąpiła.
Angelo. Owszem. Niech ją wpuszczą.
(Sługa wychodzi).
A wszetecznicę natychmiast oddalić.
Dać jej, co trzeba, ale nic nad miarę.
Zaraz co do niej wygotuję rozkaz.
(Wchodzi Lucyo i Izabella).
Profos. Waszą dostojność niech ma Bóg w swej pieczy.
(Zabiera się do wyjścia).
Angelo. Wstrzymaj się chwilę.
(Do Izabelli).
Witam. Czego chcecie?
Izabella. Do dostojności waszej mam bolesną
Prośbę — zechciejcie mnie wysłuchać.
Angelo. Dobrze.
A jaką prośbę?

Izabella. Jest to grzech, ze wszystkich
Grzechów najbardziej mi wstrętny i pragnę,
By go dosięgnął cios sprawiedliwości:
Nie błagałabym, ale błagać muszę,
Nie błagałabym, ale bój wre we mnie
Pomiędzy chceniem a niechceniem.
Angelo. Dobrze.
Sprawa?
Izabella. Mam brata, na śmierć skazanego,
Błagam was, panie! niechaj grzech umiera,
Ale nie brat mój.
Profos. Daj jej, Boże, łaskę,
By go wzruszyła!
Angelo. Mam potępiać grzechy,
A nie grzeszników? Grzech już potępiony,
Zanim go spełnim. Tylko zerem byłby
Cały mój urząd, gdybym karał grzechy,
Objęte prawem, a puszczał grzeszniki.
Izabella. O sprawiedliwe, lecz surowe prawo!
Więc miałam brata! Miej niebo w swej pieczy
Waszą dostojność. *(Cofa się).*
Lucyo *(do Izabelli).* Nie popuszczać tego!
Trzeba się wrócić i błagać raz jeszcze!
Klęknijcie przed nim, uwieście się płaszcza,
Zbytni chłód we was; gdyby szło o szpilkę,
Nie moglibyście bardziej powściągliwym
Prosić językiem.
Izabella. Więc on musi umrzeć?
Angelo. Niema lekarstwa, dziewczyno.
Izabella. O, myślę,
Że mu przebaczyć możecie, że nikt wam
Za taką łaskę gniewu nie ukaże,
Ni człek, ni niebo.
Angelo. Nie uczynię tego.
Izabella. Lecz moglibyście, gdybyście zechcieli?
Angelo. Czego uczynić nie chcę, to nie mogę.
Izabella. Lecz moglibyście, bez krzywdy dla świata,
Gdybyście mieli taką litość w sercu,
Jaka mnie wzrusza?
Angelo. Zapadł jego wyrok —
Dziś już zapóźno.
Lucyo *(do Izabelli).* Zbyt jesteście zimną.
Izabella. Dziś już zapóźno? Nie! Odwołać mogę

Słowo, przeze mnie wyrzeczone! Wierzcie:
Nic tak godności ludzkich nie uświetnia —
Korona królów, czy miecz namiestnika,
Laska marszałka, czy też płaszcz sędziowski
Ani połowy tej chwały nie dają,
Co miłosierdzie. Gdyby on na waszem
Siedział tu miejscu, a zaś wy na jego,
Bylibyście się, jak i on, potknęli...
Lecz on nie byłby tak, jak wy, surowym.
Angelo. Proszę, odejdźcie!
Izabella. Gdybym ja miała, Boże! waszą władzę,
A wy gdybyście byli Izabellą,
Czyżby się działo, tak jak dziś? Przenigdy!
Pokazałabym, co znaczy być sędzią,
A co być więźniem.
Lucyo *(na str.).* Tak! to go wzruszy! trafiacie w słabiznę.
Angelo. Wasz brat jedynie padł ofiarą prawa,
A wy napróżno trwonicie swe słowa.
Izabella. Ach! wszakżeż ongi wszystkie dusze padły
Ofiarą grzechu, a ten, co miał przednie
Prawo je karać, znalazł odkupienie.
Czem byłbyś, panie, gdyby chciał cię sądzić
Takim, jak jesteś, ten najwyższy sędzia?
Wspomnij to sobie, a wnet oddech łaski
Z ust twych wypłynie, jakbyś się dopiero
Narodził, panie!
Angelo. Wierzaj, piękne dziewczę,
Nie ja potępiam ci brata, lecz prawo.
Gdyby mym krewnym, bratem był, lub synem,
To samo z nimby się stało. Już jutro
Umrzeć on musi.
Izabella. Jutro? Ach! tak nagle!
Przebacz mu, panie, przebacz! Wszak na śmierć on
Nie przygotowan! Wszak i nawet ptactwo
Na stół bijemy, gdy pora. Czyż mamy
Z mniejszą bacznością służyć Panu Bogu,
Niżeli kucharz służy naszym cielskom?
Rozważ to dobrze, dobry, dobry panie!
Któż kiedy umarł za takie przestępstwo,
Choć go się tylu dopuściło?
Lucyo. Świetnie!
Angelo. Prawo nie było umarłe, lecz spało.
Niejeden byłby nie popełnił złego,

Gdyby ów pierwszy człek, co złamał przepis,
Był pociągnięty za winę. Lecz dzisiaj
Już się zbudziło i rozważa wszystko,
Co popełniono, i, jako ów prorok,
Patrzy w zwierciadło i widzi, jak przyszłe
Wszelkie występki (co już są, lub później
Przez pobłażanie narodzić się mają),
Nie postępują stopniowo w swym wzroście,
Lecz giną w samym zarodku.
Izabella. A jednak
Pokażcie litość.
Angelo. Litości dowodem
Ma sprawiedliwość, albowiem nad tymi
Ja się lituję, których nie znam wcale,
A których mógłby zranić grzech, przeze mnie
Dziś odpuszczony. A i jemu świadczę
Niemałą łaskę, bo, dziś pociągnięty
Za swój występek, nie spełni drugiego.
Niech wam to starczy: Brat wasz umrze jutro.
Izabella. Macież wy pierwszy wydać taki wyrok?
A on ma pierwszą być jego ofiarą?
Świetną to rzeczą mieć siłę olbrzyma,
Ale tyranią, siły tej używać,
Jak olbrzym.
Lucyo. Ślicznie!
Izabella. Jowiszowe gromy
Gdyby tu wielcy posiadali ludzie,
Przenigdy Jowisz nie miałby spokoju,
Bo każdy marny urzędniczek grzmiałby
Po jego niebie, nic, a tylko grzmiałby...
Litośne nieba!
Wszakże wy swoim siarczystym piorunem
Wolicie dęby druzgotać sękate,
Niż wątłe mirty. Ale człek, ten dumny
Człek, krótkotrwałą uzbrojon potęgą,
Zapominając — choć to rzecz tak jasna —
O swojej szklanej kruchości, wyprawia
W obliczu niebios, jak gniewne małpiątko,
Takie koziołki, takie stroi miny,
Że do łez gotów pobudzić anioły,
Które, humorem obdarzone ludzkim,
Raczej umarłyby z śmiechu.

Lucyo. Nacieraj,
Nacieraj dobrze — widzę, że już mięknie.
Profos. Pomóż go, Boże, przebłagać.
Izabella. Nie można
Własną swą wagą ważyć swoich bliźnich:
Wolnoć jest wielkim żartować ze świętych,
Ale co u tych jest żartem, u lichszych
Jest profanacyą.
Lucyo. Trafiłaś w sedno; dalejże w tym guście.
Izabella. Co w ustach wodza gniew tylko oznacza,
To u żołnierza staje się bluźnierstwem.
Lucyo. Skąd wiesz to wszystko? Ale mów tak dalej.
Angelo. Po co takiemi sypiesz sentencyami?
Izabella. Ponieważ władza, chociaż błądzić może,
Jak inni ludzie, ma w sobie lekarstwo,
Mogące z góry wszelką koić winę.
W głąb swą zajrzyjcie, uderzcie się w piersi,
Spytajcie serca własnego, czy niema
W niem jakiej winy, podobnej do grzechu
Mojego brata; jeżeli i ono
Do przyrodzonej przyzna się słabości,
To niech myśl z niego nie wypłynie głosem
Na ten wasz język, zwróconym przeciwko
Życiu mojego brata.
Angelo. W jej przemowie
Tyle rozumu, że i mój snać rozum
Z tem się kojarzy. Bywajcie mi zdrowa.
Izabella. Szlachetny panie, zwróć się.
Angelo. Chcę się namyśleć; przybądź do mnie jutro.
Izabella. Słuchajcie, panie — pragnę was przekupić!
Wróćcie się jeszcze.
Angelo. Jakto? mnie przekupić?
Izabella. Takimi skarby, że się nimi dzielić
Będziecie z niebem.
Lucyo. Byłaby wszystko popsuła bez tego.
Izabella. Nie kiesą, bitem wypełnioną złotem,
Nie klejnotami, których wartość nizka
Albo wysoka — według widzimisię
Naszych kaprysów, lecz szczerą modlitwą,
Która się wzbija ku niebu i którą
Niebo wysłucha, zanim słońce zejdzie,
Modlitwą duszy nieskalanej, prośbą

Poszczących dziewic, których myśl nie idzie
Za doczesnością.
Angelo. Dobrze; przybądź jutro.
Lucyo *(na str. do Izabelli).* Idźmy; jak dotąd, wszystko się [udało.
Izabella. Waszą łaskawość niech ma Bóg w swej pieczy.
Angelo *(na str.).* Amen. Bo jestem na drodze pokusy.
Idącej w poprzek modlitwom.
Izabella. O której
Mam oczekiwać godzinie?
Angelo. O której
Chcesz, byle tylko przed południem.
Izabella. Niechaj
Pan Bóg was strzeże.
(Wychodzą Lucyo, Izabella i profos).
Angelo. Od ciebie; tak! nawet
Od twojej cnoty!
Cóż to? czy jej to, czy też moja wina?
Kto bardziej grzeszy? — ten, którego kuszą,
Czy też kusiciel? Ha! nie ona kusi!
Nie! to nie ona! Lecz ja, przy fijołku
Leżąc na słońcu, gniję jako ścierwo,
Zamiast, by wonieć jako kwiat w tem tchnieniu
Cnoty! Dlaczego bardziej oszałamia
Te nasze zmysły niewinność kobiety,
Niźli kobiety lekkomyślność? Czemu,
Tyle pustego mając gruntu, chcemy
Zburzyć świątynię, aby wznieść występek?
O fe! fe! fe! fe! Co robisz, Angelo?
Czemże ty jesteś? Czemu chcesz ją grzeszną
Widzieć za sprawy, które jej pobudką
Były do cnoty? O niech brat jej żyje!
Złodziej rabunków swych ma uświęcenie,
Jeżeli kradnie i sam sędzia... Jakto?
Czyżbym ją kochał, że tak pragnę jeszcze
Raz ją usłyszeć, grzać się przy jej oczach?
O czemże marzę? O chytry nasz wrogu,
Co, chcąc ułowić świętego na wędkę,
Świętą umiałeś naciągnąć przynętę!
Przeniebezpieczną jest owa pokusa,
Co nas miłością cnoty na grzech pędzi.
Nigdy rozpusta nie umiała dotąd
Podwójną mocą sztuki i natury

Rozbudzić we mnie pokusy, a tu mnie
Cnotliwa dziewka snać do cna przemoże.
Dotąd, gdym widział zakochanych dwoje,
Duch mój się dziwił, śmiały usta moje.
(Wychodzi).

SCENA III.

Pokój w więzieniu.

(Wchodzi Książę w przebraniu mnicha i Profos).

Książę. Witam, Profosie; wszak z Profosem mówię?
Profos. Tak jest, z Profosem; czego żądasz, ojcze?
Książę. Święty mój zakon, miłość chrześcijańska
Każą mi dusze nawiedzać strapione
W tem tu więzieniu: zaprowadź mnie do nich.
Według zwyczaju, wyłuszcz mi istotę
Ich przewinienia, abym mógł stosowną
Dać im naukę.
Profos. I więcej zrobię, jeśli tego trzeba.
(Wchodzi Julietta).
Patrz, oto jedna z uwięzionych niewiast,
Co wpadła w ogień swej własnej młodości
I w nim spaliła swe imię, jest w ciąży;
Na śmierć skazany jej współwinowajca.
Jest to młodzieniec, skłonniejszy powtórzyć
Grzech swój, niż umrzeć.
Książę. A kiedy ma umrzeć?
Profos. O ilem słyszał, to jutro. *(Do Julietty).*
Wszystko zrobione; poczekajcie chwilę,
A zaraz stąd was wyprowadzę.
Książę. Czy żałujecie za grzech popełniony?
Julietta. O tak, i hańbę swą cierpliwie znoszę.
Książę. Zrobimy razem rachunek sumienia
I wybadamy skruchę, czy jest szczerą
Czy czczą.
Julietta. Posłucham was chętnie.
Książę. Kochacie
Owego człeka, co wam krzywdę zadał?
Julietta. Kocham, jak kocham jego krzywdzicielkę.
Książę. A więc, jak widać, grzech ten spełniliście
Za wspólną zgodą?

Julietta. Za wspólną.
Książę. A zatem
Grzech twój jest cięższy, aniżeli jego.
Julietta. Przyznaję, ojcze, i uczuwam skruchę.
Książę. To dobrze, córko: lecz czy skruchę czujesz
Przez to, że grzech cię do tej hańby przywiódł?
Żal taki nas ma na względzie, nie Boga,
Bo pokazuje, że nie służym Bogu
Z miłości k'niemu, lecz z strachu.
Julietta. Uczuwam skruchę, że złym mój uczynek,
I hańbę znoszę z radością.
Książę. W tem trwajcie;
Współwinowajca wasz ma umrzeć jutro,
Śpieszę do niego z nauką na drogę.
A więc Bóg z wami... Benedicite.
(Wychodzi).
Julietta. Jutro ma umrzeć! Okrutna litości,
Oszczędzająca me życie, co odtąd,
Zamiast rozkoszą, będzie tylko strachem
Śmiertelnym dla mnie.
Profos. Żal mi jego losu.
(Wychodzą).

SCENA IV.

Pokój w domu Angela.

(Wchodzi Angelo).

Angelo. Gdy chcę się modlić i myśleć, modlitwa
I myśl ku różnym uchodzą przedmiotom;
Niebo ma czcze moje słowa, zaś umysł,
Głuchy na język, zarzuca kotwicę
Przy Izabelli: niebo na mych ustach,
Jakbym przeżuwał tylko jego imię,
A zaś w mem sercu rośnie grzech nabrzmiałej
Pożądliwości. Państwo, ku któremu
Zwracałem dotąd swój zapał, jest dla mnie,
Jak dobra księga, czytana zbyt często,
Nudnem i wstrętnem; tak, nawet powagę,
Którą tak dumny byłem (oby tylko
Nikt mnie nie słyszał) zmieniłbym za lada
Piórko, igraszkę wietrzyka. O, stanie!

O, ty godności! Jak często na głupcach
Cześć ty dla siebie wymuszasz zewnętrzną
Swoją powłoką, jak nawet fałszywym
Chwytasz pozorem dusze mędrców! Zawsze
Krew krwią zostaje!... Napisz »dobry anioł«
Na rogach dyabła, a rogi nie będą
Dyabła znamieniem.

(Wchodzi sługa).

Cóż tam? Czego żądasz?

Sługa. Tam zakonnica jakaś, Izabella,
O posłuchanie prosi.

Angelo. Wskaż jej drogę.

(Wychodzi sługa).

O, nieba!
Czemu krew moja tak do serca bieży,
Ubezwładniając i siebie i serce
I wszystkim innym odbierając członkom
Zdatność niezbędną?
Do omdlałego tak się tłum rwie głupi:
Wszyscy chcą pomódz, tamując powietrze,
Któreby mogło wrócić mu przytomność.
Tak lud, przywiązan do swojego króla,
Rzuca zajęcie i w poddańczym szale
Tłoczy się k'niemu, aż w końcu ta miłość,
Nie powściągniona, staje się obrazą.

(Wchodzi Izabella).

Izabella. Przychodzę,
By waszą wolę usłyszeć ostatnią.

Angelo. Wolałbym raczej, byś sama wiedziała,
Niż że się pytasz. Brat twój żyć nie może.

Izabella. Tak?... Niech was niebo zachowa w swej pieczy.

(Chce odejść).

Angelo. Żyć jednak mógłby czas jakiś, a nawet
Tak jak ja, długo, albo wy, a przecież
On musi umrzeć.

Izabella. Za waszym wyrokiem?

Angelo. Tak.

Izabella. Kiedy? Mówcie, by w czasie tej zwłoki,
Krótszej czy dłuższej, mógł się przygotować,
Od zatracenia zbawić duszę.

Angelo. Ha! szpetne grzechy! fe! Przebaczyć temu,
Co skradł naturze już ukształtowaną
Postać człowieka, byłoby to samo,

Co uniewinnić tę słodycz występną,
Która fałszywym chce wybijać stemplem
Obraz niebieski; tak samo jest łatwo
Zniszczyć fałszywie życie prawnie dane,
Jak rzucić metal wbrew prawu, by życie
Odlać fałszywe.

Izabella. Tak napisano w niebie, nie na ziemi.

Angelo. Tak to powiadasz? Zaraz cię przychwycę.
Więc co wybierasz, czy to, by ci prawo
Najsprawiedliwsze wzięło życie brata,
Czy też dlatego, by go uratować,
Oddasz swe ciało słodkiej nieczystości,
Jak ta przez niego zhańbiona?

Izabella. Wierzajcie,
Raczej swe ciało poświęcę, niż duszę.

Angelo. Nie o twej duszy mowa. Wymuszonych
Grzechów, jakkolwiek będą policzone,
Na nasz rachunek nie zapiszą.

Izabella. Jakżeż
Mam to zrozumieć?

Angelo. Nie zaręczam za to,
Bo mógłbym temu zaprzeczyć, com wyrzekł.
Odpowiedz jednak: ja, głos praw uznanych,
Na życie brata twego głoszę wyrok.
Czyż nie byłaby tutaj grzechem litość,
Pragnąca zbawić życie twego brata?

Izabella. Raczcie to spełnić, ja ten grzech policzę
Na swojej duszy ramiona; to będzie
Nie grzech, lecz litość.

Angelo. Chciejże ty to spełnić,
Na swojej duszy policzyć rachunek,
A równej wagi będzie grzech z litością.

Izabella. Jeśli o życie jego błagać grzechem,
Niech ja, o niebo, wezmę go na siebie.
Jeśli spełnienie mej prośby jest grzechem,
To błagać będę w mych rannych pacierzach,
Aby do moich Bóg ten grzech doliczył,
A od was z niego nie żądał rachunku.

Angelo. Chciej mnie posłuchać: twa myśl nie podąża
W ślady za moją; mówisz to w prostocie,
Czyli też chytrze udajesz? Nie dobraś.

Izabella. Niechże więc będę prostą i nie dobrą,

Bylem wam tylko wyznała w pokorze,
Żem nie jest lepszą.
Angelo. Tak chce mądrość w całym
Zajaśnieć blasku, kiedy się poniża.
Tak maski czarne dziesięć razy więcej
Podnoszą piękność, pod niemi ukrytą,
Niżeli wdzięki odsłonięte. Słuchaj,
Byś mnie pojęła, jaśniej się wyrażę —
Brat musi umrzeć.
Izabella. Wiem.
Angelo. Jego występek
Tak jest wyraźny, że i według twego
Prawa na karę zasłużył.
Izabella. To prawda.
Angelo. A teraz przypuść, że już niema innej
Drogi, ażeby ocalić mu życie
(Nie ręczę za tę, ani też za inną,
A tylko mówię w samych przypuszczeniach),
Prócz tej, że ciebie, jego siostry, chciwie
Pożąda człowiek, co swym wpływem w sądzie
Lub swem wysokiem stanowiskiem może
Wybawić brata z matni praw, że tutaj,
By go ocalić, niema innych ziemskich
Środków, jak tylko ten, byś poświęciła
Tej domniemanej osobie bogactwa
Swojego ciała, lub, w przeciwnym razie,
Brat śmierć poniesie: cóżbyś uczyniła?
Izabella. Tyle dla brata mego, ile dla mnie —
To jest, że gdyby na śmierć mnie skazano,
Uważałabym raczej za rubiny
Znaki biczyska, rozebrałabym się
Na śmierć tę moją, jakbym szła do łoża
Upragnionego z dawna, niżbym miała
Ciało swe oddać na hańbę.
Angelo. Więc brat twój
Musiałby umrzeć.
Izabella. Łatwiejsza to droga;
Lepiej niech brat mój raz jeden umiera,
Niż żeby siostra, pragnąc go ocalić,
Zmarła na wieki.
Angelo. Byłabyś wówczas mniej srogą, niż wyrok,
Który tak bardzo potępiasz.
Izabella. Haniebny okup nie pochodzi z domu,

Skąd dobrowolne wyszło przebaczenie;
Nie! Łaska prawa nie może być krewną
Występnych targów.
Angelo. Przed momentem właśnie
Uważaliście prawo za tyrana,
A krotochwilą raczej, niźli grzechem,
Zdał się wam brata występek.
Izabella. Wybaczcie!
Zdarza się nieraz, miłościwy panie,
Że, chcąc uzyskać to, czego pragniemy,
Nie zawsze dobrze myśli swe wysłowim.
Grzech nienawistny uniewinniam nieco
Na korzyść tego, który mi jest drogi.
Angelo. Wszyscyśmy słabi.
Izabella. Niech więc brat umiera,
Jeśli on tylko jest lennikiem grzechu,
Jeśli on tylko dziedzicem słabości.
Angelo. Nie, i kobieta jest słabą.
Izabella. Jak lustro,
W którem się widzi, a które się kruszy
Z taką łatwością, z jaką odzwierciedla
Jej kształt. Kobieta! O nieba! Mężczyzna
Dla swej korzyści kala jej naturę!
O! dziesięćkrotnie zwijcie nas słabemi!
Duch nasz jest wiotki, tak jak nasze ciało,
Łatwo fałszywym zawierza wrażeniom.
Angelo. Słusznie! A zatem twem własnem świadectwem
Co do słabości twojej płci (szczególnie,
Że dość silnymi i my nie jesteśmy,
Ażeby nami nie wstrząsały grzechy),
Ośmielon, biorę cię za słowo: zostań
Czem jesteś — zostań kobietą! Jeżeli
Chcesz być czemś więcej, to być nią przestaniesz.
Jeśli nią jesteś (jak mi świadczą o tem
Rękojmie wdzięków zewnętrznych), daj dowód
I przywdziej barwę, przeznaczoną tobie.
Izabella. Mam tylko jeden język; cny mój panie,
Poprzedniej ze mną używajcie mowy.
Angelo. Mówię otwarcie, że cię kocham.
Izabella. Toż brat mój kocha Julię, a za to —
Wszak powiadacie — ma umrzeć.
Angelo. Gdy mnie pokochasz, nie umrze.
Izabella. O, wiem ja,

Że waszej cnocie wolno się wydawać
Troszeczkę lichszą, niż jest w samej rzeczy,
By wypróbować innych.
Angelo. Na mój honor!
Wierz mi, że słowa moje wyrażają
Tylko mój zamiar.
Izabella. Zbyt lichy to honor,
Aby mu tyle zawierzyć! I nader
Zgubny to zamiar! Pozory! Pozory!
Obwieszczę światu o tobie, Angelo,
Strzeż się! natychmiast podpisz przebaczenie
Dla mego brata, bo na całe gardło
Ogłoszę wszystkim, czem jesteś!
Angelo. A któż ci
Zechce uwierzyć? Moje czyste imię,
Moja surowość żywota zaświadczy
Przeciwko tobie, a ma godność w państwie
Tak twoją skargę odrazu przeważy,
Że się udławisz swą własną potwarzą
I tylko smak ci kalumnii zostanie.
Gdym już raz zaczął, puszczam wolno cugle
Mej zmysłowości; daj swe przyzwolenie
Mej chciwej żądzy, skończ z wszelkim uporem
I ten zbyteczny pożegnaj rumieniec,
Odpychający to, czego sam pragnie.
Aby okupić brata, mojej woli
Oddaj swe ciało, bo w przeciwnym razie
Nie tylko śmierć on poniesie, lecz jeszcze
Surowość twoja śmierć tę mu przewlecze
Długą katuszą. Odpowiesz mi jutro,
Lub — na tę żądzę, która mną owładła —
Będę tyranem dla niego. W tej porze
Wiedz to, że fałsz mój twą prawdę przemoże.
(Wychodzi).
Izabella. Przed kimże ja się uskarżę? Któż memu
Uwierzy słowu? O, wy usta zgubne,
Gdzie ten sam język głosi razem łaskę
I potępienie, nagina ustawy
Do swojej chęci i za żądzą swoją
Ciągnie bezprawie i prawo, posłusznie
Mu się łaszące. Pośpieszę do brata;
Choć za krwi własnej upadł poduszczeniem,
Ma w sobie dosyć poczucia honoru,

Że gdyby przyszło złożyć mu dwadziecia
Głów na dwudziestu krwawych pniach, to wszystkie
Raczejby oddał, niźliby zezwolił,
By jego siostra rzuciła swe ciało
Na taką hańbę straszliwą...
Czystą zostanę, ty giń z ręki kata;
Droższa ma czystość, niźli życie brata.
Pójdę mu wyznać Angela zamiary,
By się pokajał, uszedł wiecznej kary.
(Wychodzi).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Izba więzienna.

(Wchodzą: Książę, Klaudyo i Profos).

Książę. Więc wam przebaczy Angelo? Myślicie?
Klaudyo. Niema innego w nieszczęściu lekarstwa
Oprócz nadziei.
Z nadzieją życia na śmierć się gotuję.
Książę. Na śmierć się gotuj, a śmierć albo życie
Słodsze ci będą. Z życiem tak rozumuj:
Jeśli cię stracę, stracę rzecz, do której
Tylko się głupiec przywiązuje. Jesteś
Tchnieniem, podległem wszelkim wpływom nieba,
Zagrażającem co chwila domowi,
Gdzieś zamieszkało; błaznem śmierci jesteś,
Wciąż się mozolisz, aby uciec przed nią,
A k'niej wciąż lecisz. Nie jesteś szlachetnem,
Albowiem wszystka rozkosz, którą pijesz,
Z pospolitości pochodzi. I mężnem
Również nie jesteś, drżysz bowiem przed wiotkiem
Żądłem marnego robaka. Najlepszym
Twoim spoczynkiem sen, którego często
Wzywasz, a strasznie śmierci się obawiasz,
Która jest tylko snem. Nie jesteś sobą,
Albowiem żyjesz dzięki ziarn tysiącom,
Powstałym z prochu. Nie jesteś szczęśliwem,
Bo czego nie masz, wciąż do tego dążysz,

A zapominasz o tem, co posiadasz.
Nie jesteś stałem, bo natura twoja
Zmienia się według księżyca. Ubogieś,
Choć masz bogactwa, bo jako ten osioł,
Co grzbiet ugina pod złotem, dzień tylko
Dźwigasz skarb ciężki, aż go śmierć ci zdejmie.
Nie masz przyjaciół: twe własne wnętrzności,
Które cię ojcem swym zowią, ten czysty
Wytwór twych lędźwi, złorzeczą wysypkom,
Reumatyzmowi i gośćcom, że nie chcą
Prędkiego zadać ci końca. Młodości
Ni podeszłego nie posiadasz wieku —
Popołudniowej jest to rodzaj drzemki,
Gdzie śnisz o jednem i drugiem; twa cała
Kwitnąca młodość, jak wiekowy nędzarz,
Żebrze jałmużny u zwiędłej starości;
A kiedyś stary i bogaty, wówczas
Brak ci już żądzy, ognia, członków, wdzięku,
Aby używać swych bogactw. I cóż w tem
Godne nazywać się życiem? W tem życiu
Śmierci ukrywa się tysiąc, a jednak
Drżymy przed śmiercią, co w końcu te wszystkie
Godzi sprzeczności.

Klaudyo. Dziękuję pokornie.
Widzę, że, pragnąc życia, szukam śmierci,
Szukając śmierci, odnajduję życie;
Niech więc śmierć przyjdzie.
(Wchodzi Izabella).

Izabella. Hejże, hej!... Otwórzcie.
Pokój i łaska niechaj będzie z wami.

Profos. A któż tam? Wejdźcie! Dobrego przyjęcia
Godne życzenie!

Książę. Odwiedzę was znowu,
Drogi mój panie.

Klaudyo. Świątobliwy panie,
Dzięki wam za to.

Izabella. Jedno lub dwa słowa,
Z Klaudyem — to mój interes.

Profos. Witajcie.
Spojrzyjcie, panie, przyszła wasza siostra.

Książę. Na słówko z wami, dozorco.

Profos. Na tyle,
Ile zechcecie.

Książę. Skryjcie mnie gdziekolwiek,
Abym mógł słyszeć ich rozmowę.
(Wychodzą Książę i Profos).

Klaudyo. Z jaką
Przychodzisz do mnie pociechą, ma siostro?

Izabella. Z taką, jak każda pociecha, z przedobrą!
Angelo, mając swoje sprawy w niebie,
Chce cię tam wysłać, jako swego posła,
Będziesz tam jego zastępcą na wieki:
Więc jak najśpieszniej gotuj się do drogi,
Jutro wyruszasz.

Klaudyo. Więc już niema środka?

Izabella. Jest jeden środek, co, by zbawić głowę,
Rozcina serce na dwoje.

Klaudyo. A zatem
Jest jakiś środek.

Izabella. Możesz żyć, mój bracie;
Jestci dyabelska litość w twoim sędzim,
Pożebraj o nią, a ocalisz życie,
Lecz więzy dźwigać będziesz aż do śmierci.

Klaudyo. Wieczne więzienie?

Izabella. Tak, wieczne więzienie;
Chociaż świat cały byłby ci otwarty,
Ciebie to jedno ciągleby więziło.

Klaudyo. Cóż to takiego?

Izabella. Coś, że, gdy to przyjmiesz,
To z pnia swojego wszystek zedrzesz honor
I pozostaniesz nagi.

Klaudyo. A więc wyjaw.

Izabella. Boję się ciebie, Klaudyo, drżę, byś czasem
Nie chciał przedłużać febrycznego życia;
Byś sześć lub siedem zim nie cenił bardziej,
Niż wieczny honor. Masz odwagę umrzeć?
Uczucie śmierci jest tylko pojęciem;
A marny owad, gdy go nadepcemy,
Cielesną mękę czuje tak boleśnie,
Jak konający olbrzym.

Klaudyo. I dlaczego
Tak mnie zawstydzasz? Czy myślisz, że zechcę
Czerpać odwagę z słabiutkiego kwiecia?
Jeśli trza umrzeć, jak oblubienicę
Mrok ten powitam i zamknę w ramiona.

Izabella. To mówi brat mój; to ojciec przemawia

Z swojej mogiły! Tak, ty musisz umrzeć?
Nazbyt szlachetnyś, by ocalać życie
Podłymi środki. Ten napozór święty
Sędzia, którego surowe oblicze,
Którego słowo mierzone przeraża
Młodość i płoszy szaleństwo — jak kury
Jastrząb — jest dyabłem; wyczerpnij mu błoto
Z wnętrza, a ujrzysz kałużę, głęboką
Jak samo piekło.
Klaudyo. Poważny Angelo?
Izabella. O, ta powaga, to chytry strój piekła,
Osłaniający ciało potępieńców
Szatą świętości! Czy mniemasz, mój Klaudyo,
Że, jeśli jemu oddam swą dziewiczość,
To będziesz wolny?
Klaudyo. Nieba! czyż być może?
Izabella. Za grzech ten ciężki gotów ci pozwolić,
Byś grzeszył dalej. Tej nocy mam spełnić
To, co wymówić się wzdrygam, lub jutro
Musisz umierać.
Klaudyo. Nie uczynisz tego.
Izabella. O, gdyby tylko szło o moje życie,
Takbym je zaraz rzuciła, jak szpilkę,
By cię ocalić.
Klaudyo. Dzięki, siostro droga!
Izabella. Przygotujże się na tę śmierć jutrzejszą.
Klaudyo. Tak jest... Więc w sobie ma i on tę żądzę,
Że może dla niej tak obgryzać prawo,
Które chciał jeszcze obostrzyć? A zatem
Nie jest to grzechem, albo też najmniejszym
Ze siedmiu grzechów śmiertelnych.
Izabella. Z tych grzechów
Który najmniejszy?
Klaudyo. Gdyby zasługiwał
Na potępienie, czyżby się ten mędrzec
Ważył za chwilę rozkoszy na wieczną
Skazywać mękę?... O, ma Izabello!
Izabella. Co mówisz, bracie?
Klaudyo. Śmierć jest straszną rzeczą.
Izabella. A życie w hańbie rzeczą nienawistną.
Klaudyo. Tak, ale umrzeć, pójść, nie wiedzieć dokąd,
W zimnem zamknięciu leżeć, gnić, ten czuły,
Gorący życia ruch przemieniać w marną

Garsteczkę gliny, gdy duch, wyrwan z ciała,
Albo się kąpie w płomienistych falach
Lub w przenikliwych mieszka regionach
Wiecznego lodu; być tak uwięzionym
Śród niewidzialnych wiatrów, z gwałtownością
Niepowstrzymaną wirować naokół
Wiszącej ziemi; lub być czemś nędzniejszem
Od najnędzniejszych bytów, które, wyjąc,
Wyobrażają sobie niekiełzane,
Niepewne myśli — ach! to zbyt okropne!
Choćby najcięższe życie na tym świecie,
Które wiek, nędza, kaźń narzucić mogą
Ludzkiej naturze, to raj wobec tego,
Czem nas przeraża śmierć.
Izabella. O biada! biada!
Klaudyo. Najsłodsza siostro, daj mi żyć! Choć zgrzeszysz,
Aby ocalić życie twego brata,
Czyn twój natura tak łatwoć przebaczy,
Że to się w cnotę przemieni.
Izabella. O, bydlę!
O podły, tchórzu! O, bezecny łotrze!
Czyż z ciebie grzech mój zrobić ma człowieka?
Nie kazirodztwoż to otrzymać życie
Z hańby swej siostry? Cóż ja mam pomyśleć?
Nieba! Czyż matka ma zdradziła ojca?
Bo tak zdziczała latorośl nie mogła
Wyróść z krwi jego... Wyrzekam się ciebie!
Umrzyj! przepadnij! Gdyby mi się tylko
Schylić wypadło, by twój los odwrócić,
Dałabym spokój. Modłów mam tysiące
Dla twojej śmierci, ni słowa dla życia.
Klaudyo. Posłuchaj tylko, droga Izabello.
Izabella. A fe! fe! fe! twój grzech nie jest przypadkiem,
Tylko rzemiosłem, a litość nad tobą
Byłaby tylko rajfurstwem. Najlepiej
Byś zmarł natychmiast.
(Chce odejść).
Klaudyo. Słuchaj, Izabello.
(Wraca Książę).
Książę. Pozwólcie mi na jedno słowo, młoda siostro, na jedno tylko słóweczko.
Izabella. Czego sobie życzycie?
Książę. Gdyby wam czas na to pozwolił, chciałbym się

z wami rozmówić; łaska, o którą proszę, wyjdzie i wam na korzyść.

Izabella. Nie mam ani chwili zbędnej; czas, który tu spędzam, kradnę innym obowiązkom, mimo to jestem gotowa zatrzymać się jeszcze na chwilę.

Książę *(do Klaudya na stronie).* Mój synu, podsłuchałem, co zaszło między wami a waszą siostrą. Angelo nie miał nigdy zamiaru jej uwieść, chciał tylko cnoty jej doświadczyć, ażeby się poćwiczyć w sztuce sądzenia ludzkiej natury. Ona zaś pełna uczucia prawdziwego honoru, uczciwa, odmowną dała mu odpowiedź, którą on z największą usłyszał radością. Jestem spowiednikiem Angela i wiem, że to prawda: więc przygotujcie się na śmierć jutro. Nie łudźcie odwagi swojej płonnemi nadziejami, umrzeć musicie; a zatem, idźcie uklęknąć i bądźcie gotowy.

Klaudyo. Pozwólcie mi prosić siostrę o przebaczenie. Tak mi odeszła ochota do życia, że pragnę pozbyć go się coprędzej.

Książę. Trzeba w tem wytrwać. Żegnajcie!

(Wychodzi Klaudyo. Wchodzi Profos).

Książę. Profosie, mam wam coś powiedzieć.

Profos. Czego sobie życzycie, ojcze?

Książę. Jak przyszliście, tak się też oddalcie; zostawcie mnie na chwilę z tą dziewicą; mój charakter i mój habit są rękojmią, że w mojem towarzystwie nic się jej nie stanie.

Profos. I owszem. *(Wychodzi).*

Książę. Ręka, która wam dała piękność, dała wam także i dobroć; dobroć frymarczy pięknością i wkrótce pozbawi piękność dobroci; ale cnota, która jest duszą waszej istoty, zachowa ciału piękność na zawsze. Napaść, jaką na was urządził Angelo, doszła przypadkiem do mej wiadomości i gdyby słabość ludzka nie dała już przykładów podobnego upadku, dziwiłby mnie Angelo. Cóż zamierzacie przedsięwziąć, aby zadowolić tego namiestnika i ocalić brata?

Izabella. Idę teraz objawić mu postanowienie moje: wolę, żeby mi brat umarł wedle prawa, niż żeby mi się syn urodził naprzekór prawu. Ale jak bardzo dobry ten książę oszukał się na Angelu! Jeśli wróci kiedykolwiek, a zdołam uzyskać posłuchanie, to albo nadaremnie usta otworzę, albo mu odsłonię rządy jego namiestnika.

Książę. Wcaleby to nie było bez racyi, ale tak, jak dziś rzeczy stoją, odeprze on wasze oskarżenie, twierdząc, że chciał tylko wziąć was na próbę. Dlatego nakłońcie ucha mym radom, bo mojej żądzy czynienia dobrze nastręcza się lekarstwo. Jestem przekonany, że możecie jak najuczciwiej zasłużoną wyświadczyć łaskę biednej, pokrzywdzonej kobiecie, brata wyzwolić od surowości prawa, bez żadnej plamy dla swojej wdzięcznej osoby, a oddać miłą usługę nieobecnemu księciu, jeśli przypadkiem wróci kiedy i o sprawie tej usłyszy.

Izabella. Mówcie dalej, ojcze; mam na tyle ducha w sobie, aby uczynić wszystko, co szczerym oczom mego ducha okaże się jako rzecz uczciwa.

Książę. Cnota jest odważna i dobroć nie zna trwogi. Nie słyszeliście kiedy o jakiej Maryannie, siostrze Fryderyka, tego wielkiego wojaka, co to zginął na morzu?

Izabella. Słyszałam o tej damie, a dobre słowa towarzyszyły jej nazwisku.

Książę. Ją to miał Angelo pojąć za żonę; już się uroczyste odbyły zaręczyny i dzień ślubu był już naznaczony Między zaręczynami a uroczystością brat jej Fryderyk rozbił się na morzu, a z nim i z okrętem przepadł zarazem i posag jego siostry. Pomyślcie sobie tylko, ile to nieszczęść zwaliło się na biedną niewiastę; straciła szlachetnego i sławnego brata, który żywił dla niej najtkliwsze i najszczersze braterskie uczucie, straciła z nim razem nerw swojego szczęścia, swój posag; z jednym i z drugim razem straciła narzeczonego, tego napozór uczciwego Angela.

Izabella. Czy to być może? Więc ją Angelo porzucił?

Książę. Porzucił ją we łzach, z których ani jednej słowem pociechy nie osuszył; połknął wszystkie swoje przysięgi pod pozorem, że zrobił pewne odkrycia co do jej honoru, słowem, zostawił ją w żałobie, którą z powodu niego nosi dotychczas, a on na łzy jej, jak marmur, choć niemi oblany, zmiękczyć się nie dał.

Izabella. Jakąż to łaskę wyświadczyłaby tu śmierć, zabierając tę biedną dziewczynę ze świata! Co to za zepsucie w tem życiu, jeżeli człowiek ten jeszcze żyje! Lecz jaką może ona mieć korzyść z tego?

Książę. Jest to złamanie, które nietrudno będzie wam

uleczyć, a lekarstwo to nie tylko ocali brata, ale i od hańby was ustrzeże, jeżeli się tem zajmiecie.

Izabella. Wytłómaczcie mnie, jakim sposobem, dobry ojcze.

Książę. Wspomniana dziewczyna nie przestała żywić dotąd tej swojej pierwszej miłości dla niego; niesprawiedliwe jego okrucieństwo, które, biorąc rzeczy na rozum, powinno było uczucie to zagasić, zrobiło ją tylko, jak tamy na potoku, gwałtowniejszą i niesforniejszą. Idźcie do Angela, oświadczcie mu się z pozorną na jego zachcianki gotowością do posłuszeństwa, zgodźcie się na jego żądania w tej mierze, zastrzeżcie sobie tylko warunki: po pierwsze, że tylko krótko zatrzymacie się u niego, że godzinie tego spotkania sprzyjać ma ciemność i milczenie i że miejsce będzie do tego stosowne. Jeżeli warunki te przyjmie, to reszta pójdzie jak z płatka. Uprzedzimy tę pokrzywdzoną dziewicę, aby za was na umówione poszła miejsce. Jeśli spotkanie to kiedy na jaw wyjdzie, może ono go zmusić do naprawienia wyrządzonej jej krzywdy; tym więc sposobem brat wasz będzie ocalony, honor wasz nie tknięty, biedna Maryanna pocieszona, a występność namiestnika odkrytą. Sam o tem uwiadomię dziewicę i przygotuję ją do tego przedsięwzięcia. Jeżeli gotową jesteście wszystko wedle możności wykonać, podwójna z tego korzyść ochroni nasz podstęp od nagany. Co o tem myślicie?

Izabella. Myśl sama napełnia mnie zadowoleniem; a spodziewam się, że szczęśliwy skutek uwieńczy wykonanie.

Książę. Wiele od was zależy. Śpieszcie natychmiast do Angela; jeśli zapragnie was do łoża tej nocy, przyrzeczcie go zadowolić. Ja tymczasem pobiegnę do Świętego Łukasza, tam w samotnej chatce mieszka odtrącona Maryanna. Tam mnie znajdziecie. A pośpieszcie się z Angelem, aby co prędzej wszystko zakończyć.

Izabella. Dziękuję wam za to pocieszenie; żegnam was, dobry ojcze. *(Wychodzą).*

SCENA II.

Ulica przed więzieniem.

(Wchodzą: Książę, przebrany za mnicha, za nim Łokieć, Błazen, straż policyjna).

Łokieć. Otóż, jeśli na to niema lekarstwa, a ino chcecie gwałtem kupować i sprzedawać mężczyzn i kobiety, jak bydlęta, to wkrótce cały świat będzie musiał pić białego i czerwonego »bękarta«.

Książę. O, nieba! cóż to za gawiedź!

Błazen. Skończyła się uciecha świata z chwilą, gdy z dwóch lichwiarzy weselszy był zrujnowany, a gorszy upoważniony był prawem do przywdziania płaszcza z futrem, żeby mu było ciepło; płaszcz podbity był lisem i barankami, na znak, że oszustwu, jako jest od uczciwości bogatsze, wolno paradować w takiem przebraniu.

Łokieć. Dalejże w drogę, mopanku. Bóg z wami, dobry ojcze braciszku.

Książę. I z waścią, dobry ojcze braciszku. W czem waści człowiek ten zawinił, mopanku?

Łokieć. Ot tak, panie, człowiek ten zawinił przeciw prawu, a oprócz tego, panie, zdaje się nam, że to złodziej, panie, bo znaleźliśmy na nim dziwnej natury wytrych, panie, któryśmy posłali do namiestnika.

Książę. Fe, ty rajfurze! haniebny rajfurze!
Grzech ten, za twojem spełnian pośrednictwem,
Jest twoim chlebem! Pomyśl, co to znaczy
Brzuch ten napełniać, grzbiet ten przyodziewać
Za takie brudy! Sam sobie to powiedz:
Z ich obrzydliwych, zwierzęcych obcowań
I jem i piję, stroję się i żyję.
Może-li życiem być życie, zawisłe
Od takich smrodów? Idź, idź, popraważe się!

Błazen. Prawda, panie, że to coś śmierdzącego w swym rodzaju, jednakże, panie, podejmuję się dowieść —

Książę. O, jeśli dyabeł podsunie ci dowód
W obronie grzechu, toś jest dowiedzioną
Własnością dyabła... Dalej z nim do kaźni!
Potrzeba chłosty, oraz napomnienia,
Nim takie bydlę się poprawi.

Łokieć. Musi się, panie, stawić przed namiestnikiem; dał

mu on już przestrogę. Namiestnik nie może ścierpieć takich kurwiarzy i jeśli kurwiarstwo jego rzemiosłem i to się wyda, to lepiejby mu było gdzieś o milę pognać za sprawunkiem.

Książę. Bodaj był człowiek, za co chce uchodzić,
Lub, będąc grzesznym, przestał ludzi zwodzić.
(Wchodzi Lucyo).

Łokieć. Niebawem będzie miał na szyi, co waść na brzuchu: postronek.

Błazen. Wietrzę pomoc! Złożę kaucyę; oto jest szlachcic, a mój przyjaciel.

Lucyo. Cóż tam nowego, szlachetny Pompejuszu? Jak to, u pięt Cezara? czy cię w tryumfie prowadzą? Co, czy niema już posągów Pigmaliona, świeżo zmienionych w kobiety, któreby można nabyć, wkładając rękę do kieszeni, a wyciągając ją stuloną? Co na to odpowiesz, hę? Co mówisz o tej nucie, o tym temacie, o tej metodzie? Czy ci język w ostatnim deszczu utonął, hę? Co mówisz, zbijobruku? Czy świat idzie zawsze po dawnemu, mój człecze? Jakaż twoja melodya? Czy smutna, czy bez słów? No, dalej! Jakiż jej sens?

Książę. Świat zawsze jeden i ten sam! Coraz to gorszy!

Lucyo. A jak się ma drogi mój kąsek, twoja pani? Czy zawsze prokuruje, hę?

Błazen. Ot, mój miły panie, zjadła już wszystką swoją peklowinę i sama teraz siedzi w solówce.

Lucyo. A no, to dobrze, nic sprawiedliwszego; tak być powinno: kurewka zawsze świeża, a rajfurka zawsze solona, to nieuniknione następstwo, tak być powinno. A waść idziesz do więzienia, mości Pompejuszu?

Błazen. Tak jest, wistocie, panie.

Lucyo. A no, nic w tem złego, Pompejuszu. Bądź zdrów! idź, powiedz, że to ja cię tam posłałem. Czy za długi, Pompejuszu? czy za co innego?

Błazen. Za rajfurstwo, za rajfurstwo!

Lucyo. A zatem więc co prędzej z nim do więzienia. Jeśli więzienie należy się rajfurom, więc i owszem, ma do niego najlepsze prawo; to rajfur niewątpliwy, rajfur od wieków, rajfur od urodzenia. Bądź zdrów, zacny Pompejuszu! Poleć mnie więzieniu, Pompejuszu! zostaniecie tam dobrym gospodarzem, Pompejuszu, będziecie pilnowali domu.

Błazen. Spodziewam się, panie, że wasza wielmożność nie zechce mi odmówić swego poręczenia.

Lucyo. O, nie! nie chcę, Pompejuszu, to teraz nie w modzie. Poproszę ich nawet, Pompejuszu, aby waści więzienie przedłużyli; jeśli nie będziecie znosili cierpliwie, będzie to dowodem, że zbyt jesteście krewki. Żegnam, mężny Pompejuszu! Bóg z wami, ojcze.

Książę. I z waścią.

Lucyo. Czy Brygita zawsze się maluje, Pompejuszu?

Łokieć. Dalej, mopanku, w drogę! dalej.

Błazen. A więc nie dalibyście mnie wówczas poręczenia?

Lucyo. Ani wówczas, Pompejuszu, ani teraz. Jakież tam nowiny na świecie, mój ojcze? jakież nowiny?

Łokieć. Dalej, mopanku, w drogę! dalej!

Lucyo. Idź do psiarni, Pompejuszu, idź! *(Wychodzą Łokieć, Błazen, straż).* Jakież tam nowiny, ojcze? Co słychać o księciu?

Książę. Nic nie wiem; a wy, czy możecie mi coś powiedzieć o nim?

Lucyo. Jedni powiadają, że jest u cesarza rosyjskiego, inni że jest w Rzymie; a wam jak się zdaje? Gdzie on teraz?

Książę. Nie wiem wcale; lecz gdzie bądź jest, życzę mu szczęścia.

Lucyo. Fantastyczny był to wybryk z jego strony, wykraść się z własnego państwa, a przywłaszczyć sobie włóczykijstwo, do którego się nie rodził. Angelo w jego nieobecności dobrze panuje, tylko że trochę przekroczył granice.

Książę. Dobrze zrobił.

Lucyo. Trochę więcej pobłażania dla jurności nie zrobiłoby mu krzywdy, mój ojcze; trochę on za cierpki w tej mierze.

Książę. Występek ten zbyt się rozpowszechnił; surowość musi go wyleczyć.

Lucyo. Tak jest, nie przeczę, występek ten liczną ma familię i wysoką parantelę, ale niepodobna do szczętu go wyplenić, ojcze, dopóki jeść i pić będzie wolno: Powiadają, że ten Angelo nie rodził się z mężczyzny i niewiasty wedle prawowitego sposobu stworzenia: czy to prawda? jak myślicie?

Książę. A w jakiż rodził się sposób?

Lucyo. Jedni utrzymują, że go wyikrzyła syrena, inni, że

był poczęty przez dwóch sztokfiszów; ale to jest pewnem, że, kiedy wypuszcza wodę, uryna jego ścina się na lód: wiem z pewnością, że to prawda; a że jest rodzaju nijakiego, to również rzecz niezawodna.

Książę. Zabawny z was człowiek, mości panie; pleciecie od rzeczy.

Lucyo. Jakto? czy to nie okrucieństwo z jego strony za bunt w rozporku wydzierać życie człowiekowi! Czy nieobecny książę zrobiłby coś podobnego? Nimby jednego człowieka powiesił za to, że spłodził stu bękartów, onby raczej dał na mamki dla tysiąca; zna się on trochę na tej zabawie, zna tę służbę, dlatego też pobłażliwy jest dla niej.

Książę. Nigdy nie słyszałem, aby nieobecny książę zbyt był kobietom oddany; nie miał słabości do kobiet.

Lucyo. O, mój ojcze, na fałszywej jesteście drodze.

Książę. To być nie może.

Lucyo. Co? książę nie miał słabości do kobiet? Choćby do pięćdziesięcioletniej żebraczki. Zwyczajem jego było rzucać jej dukata na miseczkę. Książę miał swoje kawałki; lubił się też zalewać, mogę was o tem zapewnić.

Książę. Krzywdzicie go niewątpliwie.

Lucyo. Miły panie, byłem jednym z jego poufałych. Był to sobie ścichapęk ten książę, i zdaje mi się, że zgaduję przyczynę jego oddalenia się.

Książę. A więc, proszę, jaka może być tego przyczyna?

Lucyo. Nie, wybaczcie, ale ten sekret musi zostać pomiędzy zębami a wargą; to jednak mogę wam oświadczyć: wielka liczba poddanych uważa go za rozumnego księcia.

Książę. Rozumny? Wszak co do tego niema wątpliwości.

Lucyo. To powierzchowny, głupi, bezmyślny człowiek.

Książę. Jest w tem z waszej strony albo zazdrość, szaleństwo, lub też pomyłka; cały potok jego żywota i sprawy, któremi sterował, wystawiłyby mu, gdyby potrzeba było takiej poręki, lepsze świadectwo. Niech mu tylko własne jego czyny za świadków służą, a zazdrośnikom nawet wyda się on uczonym, mężem stanu i żołnierzem. A zatem, albo mówicie bez świadomości, albo świadomość, jeśli ją posiadacie, ogromnie przyćmiła wasza złośliwość.

Lucyo. Znam go i kocham go.

Książę. Miłość mówi z lepszą znajomością, a znajomość z większą miłością.

Lucyo. Co tam, mój ojcze, wiemci ja, co wiem.

Książę. Trudno mi uwierzyć, skoro sami nie wiecie, co mówicie. Ale, jeśli kiedykolwiek książę wróci (o co modlimy się wszyscy), to proszę was, abyście w jego przytomości odpowiedzieli za wasze słowa; jeśli mówiliście uczciwie, będziecie zapewne mieli odwagę powtórzyć mu to w oczy; moim będzie obowiązkiem zawezwać was do tego; proszę więc, powiedzcie mi swoje nazwisko.

Lucyo. Panie, nazywam się Lucyo; a księciu dobrze jestem znany.

Książę. Pozna on was lepiej, mój panie, bylem tylko dożył tego, aby mu powtórzyć naszą rozmowę.

Lucyo. Jać się was nie boję.

Książę. O, spodziewacie się, że książę nie wróci już nigdy, albo też wyobrażacie sobie, że jestem zbyt słabym przeciwnikiem; ale wierzajcie, mogę wam trochę dopiec i wiem, że się wszystkiego wyprzecie.

Lucyo. Dam się wprzód powiesić; oszukałeś się co do mnie, mój księże. Lecz dajmy już temu spokój. Możeszli mi powiedzieć, czy Klaudyo umrze jutro, czy nie?

Książę. Dlaczego miałby umrzeć, mój panie?

Lucyo. Dlaczego? Dlatego, że napełnił butelkę za pomocą lejka. Chciałbym, żeby książę, o którym mówiliśmy, powrócił, bo inaczej to ten wywałaszony jego namiestnik wstrzemięźliwością wyludni prowincyę. Nawet wróblom nie wolno gnieździć się pod jego dachem, ponieważ za bardzo są jurne. Sam książę pozostawiłby w ciemności czyny, spełnione w ciemności, a nie wyprowadzał ich na światło dzienne. Jak jabym chciał, aby wrócił! Naprawdę, ten Klaudyo skazany na śmierć za podgięcie fartuszka! Bądź zdrów, dobry ojcze, a proszę cię, módl się za mną. Książę, raz ci to jeszcze powtarzam, jadłby w piątek baraninę. Wyszedł on już z tych lat, a jednak, powiadam ci, gotów się cmokać z żebraczką, którą czuć razowym chlebem i czosnkiem; oświadcz, że ja ci to powiedziałem. Bądź zdrów!

(Wychodzi).

Książę. Obelg nie ujdzie wielkość ni potęga,
A potwarz, z tyłu raniąca, dosięga

Najbielszej cnoty. Gdzież ten król się zdarzy,
Co żółć powstrzyma, ciekącą z potwarzy?
Lecz któż tam idzie?
(Wchodzą Eskalus, Profos, rajfurka, straż).

Eskalus. A no, precz z nią do więzienia!

Rajfurka. Dobry mój panie, bądźcie dobrym dla mnie; dostojność wasza uchodzi za miłosiernego człowieka, dobry mój panie.

Eskalus. Po dwóch i trzech ostrzeżeniach zawsze to samo przestępstwo? Toć na ten widok miłosierdzie klątby zaczęło i zmieniłoby się w tyranię.

Profos. Rajfurka z jedenastoletnią praktyką, z przeproszeniem waszej dostojności.

Rajfurka. Panie, to na skargę niejakiego Lucya! Panna Kasia Trzymajgonizko dostała od niego dziecko jeszcze za czasów księcia; obiecał się z nią ożenić, dziecko będzie miało rok i kwartał na świętych Filipa i Jakóba, ja sama je chowałam, a patrzcie, jak dziś za to chce się obejść ze mną!

Eskalus. Z jegomości tego rozpustny wielce jegomość; zawezwać go, żeby się stawił przed nami. A z nią precz do więzienia; idź sobie! ani słowa więcej. *(Wychodzą rajfurka i straż).* Profosie, brat mój Angelo jest nieugięty. Klaudyo musi umrzeć jutro; poślijcie mu po księdza i dopilnujcie, żeby miał wszystko, co chrześcijańska nakazuje wiara; gdyby brat mój chciał się był kierować moją litością, nie byłoby tak się z nim stało.

Profos. Za pozwoleniem waszem, ten właśnie braciszek był już u niego i na śmierć go przygotował.

Eskalus. Dobry wieczór, dobry ojcze.

Książę. Błogosławieństwo i łaska z wami.

Eskalus. Skąd jesteście?

Książę. Nie z tego kraju, choć na czas niejaki
Los mnie tu przywiódł; świętego zakonu
Jestem braciszkiem, przybyłym z za morza
W Świętobliwości jego interesach.

Eskalus. Cóż nowego na świecie?

Książę. Nic, chyba to, że uczciwość tak na gorączkę zapadła, iż tylko śmierć wyleczyć ją może; poszukiwana sama tylko nowość, a tak niebezpieczną jest rzeczą zestarzeć się w jakimbądź zawodzie, jak cnotliwą stałym być w swoich przedsięwzięciach. Zaledwie jest dosyć szczerości na ziemi, aby społeczność zaręczone miała bezpieczeństwo, tyle jednak zaręczeń, że chciałoby się przekląć całą społeczność. Około tej zagadki kręci się wszystka mądrość świata. Dość to stara nowina, a przecie codzienna to nowina. Proszę was teraz, panie, powiedzcie mi, jaki był charakter księcia?

Eskalus. Był to mąż, który wszystkiemi siłami starał się przedewszystkiem poznać sam siebie.

Książę. A jakim oddawał się rozkoszom?

Eskalus. Cieszył się raczej, widząc wesele innych, niż rozweselał się rzeczami, któremi ucieszyć go chciano: pan wielkiej wstrzemięźliwości. Lecz zostawmy go jego przeznaczeniom, zanosząc modły, aby przeznaczenia te były szczęśliwe: a teraz pozwólcie mi się zapytać, w jakiem usposobieniu znaleźliście Klaudya? Mówiono mi, żeście go odwiedzili.

Książę. Sam on wyznaje, że mu sędzia nie odmierzył miarą niesprawiedliwą; z dobrowolną też pokorą poddaje się wyrokowi prawa; jednakże pod wpływem swojej słabości wytwarzał sobie jeszcze zwodne nadzieje życia, których nicość powoli mu wykazałem, teraz gotów jest umrzeć.

Eskalus. Dopełnicie obowiązku swego powołania względem nieba i względem więźnia. Pracowałem w interesie tego szlachcica do ostatnich granic wyrozumiałości; lecz brata mego sprawiedliwość znalazłem teraz tak surową, iż byłem zmuszony w końcu mu powiedzieć, że jest on naprawdę sprawiedliwością.

Książę. Jeśli własne jego życie odpowiada surowości jego wyroków, przystoi mu ta surowość; jeżeli jednak przypadkiem zbłądzi, sam wydał wyrok na siebie.

Eskalus. Idę odwiedzić więźnia; bywajcie mi zdrowi.

Książę. Pokój z wami.
(Wychodzą Eskalus i Profos).

Temu, kto miecz niebieski dzierzy,
Cnym i surowym być należy,
Wzór dla się w własnej mieć istocie,
Jak iść, czy stać, posłuszny cnocie.
Pragniesz wymierzać innym karę,
Z własnych słabości swych bierz miarę!
Hańba, gdy kto za winy smaga,
Których sam spełnić się nie wzdraga:
Hańba potrójna na Angela,
Co cudzy grzech, nie swój, wypiela!

Czegoż to ukryć człek nie zdoła,
Dla ludzi mając twarz anioła!
Jak często pozór, zrodzon z winy,
Omamia czasy! On w tkaniny
Pajęczych włókien swoich wplecie
Co najcięższego jest na świecie!
Na grzech dziś podstęp mój pomoże:
Angelo w noc tę zajmie łoże
Obok zdradzonej swej kochanki:
Z chytrością chytrość pójdzie w szranki,
Na kłamstwo kłamu dam potęgę,
A dawną spełni on przysięgę.
(Wychodzi).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Komnata w domu Maryanny.

(Maryanna siedzi. Pacholę śpiewa).

ŚPIEW.

Odwróć, odwróć usta swoje,
Co tak słodko mi kłamały,
I te oczy, blasków zdroje,
Jutrznie, ćmiące dzień wspaniały,
Me całunki zwróć jedynie,
Zwróć jedynie,
Próżno dane w tej godzinie,
W tej godzinie.

Maryanna. Przerwij piosenkę i odejdź coprędzej,
Z pociechą idzie człowiek, co swą radą
Nieraz ukoił mą boleść szaloną.
(Pacholę wychodzi. Wchodzi Książę).
Przebacz mi, panie; wolałabym raczej,
Byś mnie nie spotkał tak zajętej śpiewem;
Ale wybaczcie i chciejcie mi wierzyć:
Bawię się na to, aby ból uśmierzyć.
Książę. Owszem; lecz pieśni czarodziejska siła
Nieraz złe w dobre, dobre w złe zmieniła.

Proszę was, powiedzcie mi, czy ktokolwiek nie pytał się dziś o mnie? Przyrzekłem, że właśnie w tej porze miałem się tutaj z kimś spotkać.
Maryanna. Nikt się o was nie pytał; a siedziałam tutaj dzień cały. *(Wchodzi Izabella).*
Książę. Wierzę wam jak najzupełniej; nadchodzi właśnie w tej chwili. Muszę was prosić, abyście się na chwilę zechcieli oddalić; być może, zawołam was niebawem i to w waszym interesie.
Maryanna. Zawsze wam jestem zobowiązana.
(Wychodzi).
Książę. Serdecznie witam i pozdrawiam.
Cóż tam nowego z zacnym namiestnikiem?
Izabella. Ma ci on ogród, otoczony murem,
Co do winnicy przytyka na zachód;
Do tej winnicy brama z tarcic wiedzie,
Którą ten oto grubszy klucz odmyka,
A zaś ten drugi drzwi otwiera mniejsze,
Od tej winnicy prowadzące w ogród.
Tam to przyrzekłam przybyć dziś do niego
Około głuchej, północnej godziny.
Książę. Jesteście pewną, że znajdziecie drogę?
Izabella. Na wszystko bacznie i pilnie zważałam;
On zaś z szeptliwą, grzeszną gorliwością
Wszystko mi czynnie tłómacząc, po dwakroć
Wskazywał drogę.
Książę. A czy niema innych
Pomiędzy wami umówionych znaków,
Na które zważać powinna?
Izabella. Nie, niema;
Tylko się spotkać mamy wśród ciemności,
Przytem mu rzekłam, że tylko czas krótki
Mogę z nim zostać, bo mu powiedziałam,
Że razem ze mną przyjdzie i służąca,
Która zaczeka, a której mówiłam,
Że względem brata przychodzę.
Książę. Tak dobrze.
Jeszczem nie mówił o tem Maryjannie
Ani słóweczka. Hejże! proszę do nas.
(Wraca Maryanna).
Raczcie znajomość zabrać z tą dziewicą;
Chce wam uczynić coś dobrego.

Izabella. Takież
I me życzenie.
Książę. Macie przekonanie,
Że was szanuję?
Maryanna. Wiem o tem, cny książe,
Miałam już tego dowody.
Książę. A zatem
Ściśnijcie rękę waszej towarzyszki,
Co ma gotową rzecz dla waszych uszu;
Poczekam na was, tylko się pośpieszcie;
Noc się już zbliża wilgotna.
Maryanna. Zechcecie
Pójść teraz ze mną.
(Maryanna i Izabella wychodzą).
Książę. Władzo! potęgo! Milion kłamnych oczu
Wlepiony w ciebie! Niezliczone tłumy
Kłamnych i sprzecznych wieści pędzą, węsząc,
Za twymi czyny. Tysiączne rodzaje
Ludzkich dowcipów robią z ciebie ojca
Swych pustych marzeń i dręczą bez końca
W swych majaczeniach. Witam... więc cóż, zgoda?
(Wraca Maryanna i Izabella).
Izabella. Chce się tej sprawy podjąć, jeśli, ojcze,
Wy to radzicie.
Książę. Nie tylko jej radzę,
Lecz błagam o to.
Izabella. Nie wiele z nim mówcie
Przy pożegnaniu, a tylko szepnijcie:
Pamiętaj teraz o mym bracie.
Maryanna. O to
Już się nie bójcie.
Książę. I wam, zacna córko,
Bać się nie trzeba niczego: na skutek
Zaręczyn z wami on waszym małżonkiem;
Więc tak was zbliżyć razem nie jest grzechem,
Bo sprawiedliwość waszych praw do niego
Uzacnia podstęp. Więc idźmy co żywo:
Siać wprzódy musi, kto chce zbierać żniwo.
(Wychodzi).

SCENA II.

Izba w więzieniu.

(Wchodzi Profos i błazen).

Profos. Proszę waści bliżej; umiałbyś waść człowiekowi odciąć głowę?

Błazen. Jeżeli ten człowiek jest kawalerem, tobym umiał; ale jeżeli to jest człowiek żonaty, to jest głową swej żony, a jużcić głowy kobiety nigdybym uciąć nie umiał.

Profos. Dajże sobie waść spokój tym błazeństwom, a odpowiedz mi poprostu. Jutro rano mają umrzeć Klaudyo i Bernardyn. Mamy tu w tem naszem więzieniu zwyczajnego kata, który do swojej służby potrzebuje pomocnika; jeżeli chcesz mu waść asystować, to możesz się pozbyć dybów; jeżeli nie, to jegomość będziesz musiał odsiedzieć cały swój czas w więzieniu, a przy wyjściu dostaniesz niemiłosierne cięgi, ponieważ znany był z waści rajfur.

Błazen. Byłem ci, panie, nieprawnym rajfurem od niepamiętnych czasów, ale teraz zostanę chętnie prawnym katem; byłbym tylko bardzo rad, gdyby mnie mój kolega nieco w tem poduczył.

Profos. Hejże! Abhorsonie! Gdzie jest Abhorson? czy jest on tutaj? *(Wchodzi Abhorson).*

Kat. Wołacie mnie, panie?

Profos. Słuchaj jegomość, jest tu taki człowiek, co wam chce dopomódz jutro przy ścinaniu. Jeżeli wam się widzi, to zgódźcie go na rok i zatrzymajcie go tutaj u siebie: jeżeli nie, to użyjcie go teraz i puśćcie go potem. Nie zrobi on honorowi waszemu żadnej ujmy: był przecie rajfurem.

Kat. Rajfurem, panie? A fe! a toż on zdyskredytuje naszą sztukę.

Profos. Idźcie, idźcie! jedną macie wagę, a piórko przechyla szalę. *(Wychodzi).*

Błazen. Proszę was, panie, na waszą dobroć (a macie, panie, dobroć z pewnością, bo macie spuszczone oczy) więc wy, panie, nazywacie rzemiosło swoje sztuką?

Kat. Tak jest, mości panie, sztuką.

Błazen. Malarstwo, panie, słyszałem, jest sztuką, a że wasze kurwy, panie, uczestniczki mojego rzemiosła, znają

się na malowaniu, więc też i moje rzemiosło jest sztuką; ale jaka sztuka byłaby w wieszaniu, tego, choćby mnie powiesić mieli, wyobrazić sobie nie mogę.

Kat. Tak jest, panie, to sztuka.

Błazen. Dowiedźcie.

Kat. Każdego poczciwego człowieka suknia przystaje złodziejowi.

Błazen. Bo jeżeli dla złodzieja za ciasna, to uczciwemu człowiekowi wydaje się dość przestronną; jeżeli złodziej uważa ją za przestronną, to będzie ona dla złodzieja dość ciasną; tak więc każdego uczciwego człowieka suknia przystaje złodziejowi.

(Wraca Profos).

Profos. Zgodziliście się?

Błazen. Chcę mu służyć, panie, bo widzę, że taki oprawca to ma daleko pokorniejsze rzemiosło, aniżeli taki rajfur; błaga on daleko częściej o przebaczenie.

Profos. A miejsce tam, jegomość, pieniek i topór w pogotowiu na jutro rano na czwartą.

Kat. Chodź, rajfurze; poduczę cię swego rzemiosła; dalej!

Błazen. Bardzo jestem żądny nauki, panie, a spodziewam się, że, gdy będziecie mieli sposobność użyć mnie dla samego siebie, to zobaczycie, że się dobrze sprawię; bo, doprawdy, panie, za waszą dobroć zasłużyliście sobie na wzajemność.

Profos. Niech tutaj przyjdzie Bernardyn i Klaudyo.

(Wchodzą Błazen i kat Abhorson).

Żal mi jednego; lecz tamten morderca,
Choćby był bratem, nie znajdzie tu serca.

(Wchodzi Klaudyo).

Patrzaj, Klaudyuszu, to twój wyrok śmierci;
Teraz jest północ, a o ósmej rano
Już nieśmiertelnyś. A gdzie jest Bernardyn?

Klaudyo. Tak twardo zasnął, jak bezgrzeszny mozół,
Kiedy zaciąży na kościach wędrowca;
Ani go zbudzić.

Profos. I jemu nikt w świecie
Już nie pomoże. Idź się przygotować.
Lecz cyt! ten hałas!

(Słychać pukanie).

Niechże twojej duszy
Pociechę ześlą niebiosa.

(Klaudyo wychodzi).

Już idą!
Z ułaskawieniem pewnie lub z odwłoką
Dla szlachetnego Klaudya. — Witam, ojcze.

(Wchodzi Książę).

Książę. Niech was otoczą, szlachetny Profosie,
Najlepsi nocy duchowie. Nikt tutaj
Nie był?

Profos. Nikt nie był od wieczornych dzwonów.

Książę. Ni Izabella?

Profos. Nie.

Książę. Więc przyjdzie zaraz.

Profos. Jaka pociecha dla Klaudya?

Książę. Jest pewna
Nadzieja.

Profos. Srogi ten namiestnik księcia.

Książę. Nie, nie, bo życie jego zawsze zgodne
Z sprawiedliwości jego zasadami;
Z wstrzemięźliwością świętą on przytłumia
W sobie to wszystko, co pragnie swą mocą
Zdusić u innych. Gdyby sam on popadł
W to, co tak karci, to byłby tyrańskim,
Tak zaś jest tylko sprawiedliwym... Idą.

(Ktoś puka do drzwi. Profos wychodzi).

Zacny to Profos, a rzadko dla ludzi
Litość w surowych dozorcach się budzi.
Cóż to za hałas? Snać śpieszno tej duszy,
Jeśli tak w bramę niecierpliwie tłucze.

(Profos wraca, rozmawiając z osobą poza sceną).

Profos. Niech tam poczeka, aż klucznik nadejdzie,
Który go wpuści; kazałem go wołać.

Książę. Czy co do Klaudya niema odwołania?
Czy musi umrzeć rano?

Profos. Niema, panie.

Książę. Choć świt się zbliża, to jednak, Profosie,
Nim przyjdzie rano, usłyszysz coś więcej.

Profos. Może co wiecie; mnie się jednak zdaje,
Że odwołanie nie przyjdzie; takiego
Nie było jeszcze przykładu. Ponadto
Sam lord Angelo z swego sędziowskiego
Ogłosił krzesła uszom powszechności
Wyrok przeciwny.

(Wchodzi posłaniec).

Książę. Poseł namiestnika!

Profos. Ułaskawienie przynosi dla Klaudya.

Posłaniec. Pan mój posyła wam to pismo, a ponadto daje wam rozkaz przeze mnie, ażebyście nie odstąpili od tego ani co do czasu, ani co do sprawy, ani co do innych okoliczności. Dzień dobry, bo, zdaje mi się, że już dzień.

Profos. Będę posłuszny.

Książę *(na str.).* To przebaczenie, przez taki zdobyte
Grzech, który spełnił sam przebaczający.
Łatwo i szybko zbrodnia się rozszerza,
Gdy z nią się władza wysoka sprzymierza;
Gdzie grzech ma łaskę, tam też łaska snadnie
Przez miłość grzechu i na grzesznych spadnie.
Więc cóż nowego?

Profos. Tak jak powiedziałem: lord Angelo, przypuszczając widocznie, że się zaniedbują w urzędzie, popędza mnie tem niezwykłem napomnieniem; wydaje mi się to dziwnem, ponieważ dotychczas nigdy tego nie czynił.

Książę. Proszę was, przeczytajcie.

Profos *(czyta).* »Choćbyś waść usłyszał coś wręcz przeciwnego, każ ściąć Klaudya o czwartej z rana, a popołudniu Bernardyna; a dla tem większego upewnienia przyślij mi głowę Klaudya o piątej. Rozkaz ten spełnij waść jak najdokładniej z tą myślą, że więcej mi na tem zależy, aniżeli mógłbym ci to powiedzieć w tej chwili. Nie zaniedbaj więc swego obowiązku, bo odpowiesz własną głową«. Cóż wy na to panie?

Książę. Cóż to za Bernardyn, który ma być stracony po południu?

Profos. Cygan z pochodzenia, ale tutaj się wychował i wyrósł, a w więzieniu siedzi lat dziesięć.

Książę. Skąd to pochodzi, że nieobecny książę nie dał mu dotychczas wolności, albo ściąć go nie kazał? Słyszałem, że przecież tak zawsze zwykł był postępować.

Profos. Przyjaciele umieli postarać się o zwłokę dla niego; a coprawda, to jego zbrodnia udowodniona została niewątpliwie dopiero za rządów Angela.

Książę. A więc teraz już dowiedziona?

Profos. Jak najoczywiściej, i on sam jej nie zaprzecza.

Książę. A okazywał on skruchę w więzieniu? Czy widzieć po nim, że jest wzruszony?

Profos. Jest to człowiek, któremu śmierć nie wydaje się straszniejszą od snu pijanego: bez strachu o przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, nieczuły na śmierć ani życie.

Książę. Potrzeba mu dobrej rady.

Profos. Nie chce nikogo słuchać; miał zawsze dużo swobody w więzieniu; gdyby mu dano sposobność ucieczki, nie skorzystałby z tego; upija się kilka razy na dzień, a nieraz całymi dniami pijany. Niejednokrotnie budziliśmy go, że niby chcemy prowadzić go na ścięcie, i pokazywaliśmy mu rzekomy wyrok: nie wzruszało go to bynajmniej.

Książę. Później więcej o nim. Na czole waszem, Profosie, wypisana uczciwość i stałość; jeżeli źle czytam, to zawiodło mnie stare moje doświadczenie; ale ufny w mój sąd, stawiam całego siebie na kartę. Klaudyo, którego wyrok śmierci macie w ręku, nie więcej zawinił przeciw prawu, niż Angelo, który go skazał. Ażeby wam na to widocznego dostarczyć dowodu, potrzeba mi czterech dni zwłoki; tymczasem zechciejcie mi wyświadczyć natychmiastową, choć niebezpieczną przysługę.

Profos. A jaką, ojcze?

Książę. Odłożycie jego śmierć.

Profos. Ach! jakże ja to mam uczynić, gdy godzina już naznaczona, a ja mam wyraźny rozkaz dostawić pod karą oczom Angela jego głowę? Ściągnąłbym na siebie los Klaudya, gdybym choć na źdźbło wystąpił przeciw rozkazowi.

Książę. Na śluby zakonne odpowiadam wam za wszystko, jeżeli tylko pójdziecie za mojemi wskazówkami. Każcie tego rana stracić Bernardyna i głowę jego zanieść panu Angelo.

Profos. Angelo widział obu i rysy rozpozna.

Książę. O, śmierć jest wielką w przeobrażaniu, a wy dodacie coś od siebie. Ogólcie mu głowę, ostrzyżcie brodę i powiedzcie, że to było życzeniem skazańca przed śmiercią. Wiecie, że to się często zdarza. Jeżeli stąd wyniknie dla was co innego, niż podzięka i łaska, to na mego patrona świętego! oddaję własne swe życie.

Profos. Wybaczcie, dobry ojcze, ale to się sprzeciwia mej przysiędze.

Książę. Komuście przysięgali, księciu, czy jego namiestnikowi?

Profos. I księciu i jego zastępcy.

Książę. A mielibyście się za niewinnego, gdyby książę uznał słuszność waszego postępku?

Profos. Ale jakież prawdopodobieństwo dla mnie?

Książę. Nie prawdopodobieństwo, lecz pewność. Ale ponieważ widzę wasz przestrach i że ani mój habit, ani moja uczciwość, ani moje namowy przekonać was nie mogą, pójdę dalej, aniżelim zamierzał, ażeby wam odjąć wszelką obawę. Patrzajcie, panie, oto ręka i pieczęć księcia. Znacie charakter jego pisma, nie wątpię, a i sygnet nie jest wam obcy.

Profos. Znam jedno i drugie.

Książę. Zawartość tego pisma dotyczy powrotu księcia: możecie je sobie zaraz według upodobania przeczytać, przekonacie się z tego, że za dwa dni książę będzie już tutaj; Angelo o tem nic a nic nie wie, ponieważ właśnie dzisiaj odebrał listy dziwnej treści, może o śmierci księcia, może o wstąpieniu jego do jakiegoś klasztoru; ale ani słowa o tem, co napisane jest tutaj. Patrzajcie, jutrzenka budzi już pasterza. Nie dziwcie się, jak się to dzieje: wszystkie trudności łatwiejsze, gdy je poznamy. Zawołajcie kata natychmiast i każcie ściąć głowę Bernardynowi. Wyspowiadam go natychmiast i przygotuję do lepszego świata. Ale jesteście zdziwieni: ten list wpłynie jednak na wasze postanowienie. Idźmy, bo dzień już świta. *(Wychodzą).*

SCENA III.

Inna izba w więzieniu.

(Wchodzi Błazen).

Błazen. Jestem tutaj tak znany, jak w domu naszej profesyi; tak mi się zdaje, jakby to był dom pani Przepędzonej, bo widzę tutaj niejednego z jej starych gości. Nasamprzód jest tutaj młody pan Postrzeleniec, siedzi za ładunek bibuły i starego imbieru, razem za sto dziewięćdziesiąt i siedm funtów, z czego on wytrzaskał pięć grzywien w gotówce: widać imbier nie był tak bardzo poszukiwany, bo wszystkie stare baby pomarły. Jest tutaj dalej niejaki pan Pędziwiatr, którego bławatnik, pan Trzywłosik, za trzy lub cztery kawałki ciemnego atłasu przepędził do ciemnicy. Jest tu dalej młody pan Zawrocik i młody Przeklinalski i pan Ostróżka i pan Głodomorski, człowiek od szabli i sztyletu, i młody Tracigrosz, co to zabił wesołego Pudynga, i fechtmistrz Rębasiewicz, i poczciwy pan Rzemyczek, sławny obleciświat, i szalony Półkwartek, co to zakłuł Garnca i jakich czterdziestu innych — same tęgie majstry naszego rzemiosła, a którzy dzisiaj żyją z miłosierdzia Bożego.

(Wchodzi kat).

Kat. Hej! przyprowadź mi tu Bernardyna.

Błazen. Mości Bernardynie! musicie wstać i dać się powiesić, mości Bernardynie.

Kat. Dalej, Bernardynie!

Bernardyn *(za sceną).* A bodajże wam gardło zatkało! Co tak hałasujecie? Co wy za jedni?

Błazen. Wasi przyjaciele, mości dobrodzieju; oprawcy! Musicie nam wyświadczyć łaskę, mości dobrodzieju, i wstać i pójść z nami na szubienicę.

Bernardyn *(za sceną).* Precz, wy łajdaki, precz! Jestem śpiący.

Kat. Powiedz mu, że musi się obudzić i to natychmiast.

Błazen. Proszę was, mości Bernardynie, obudźcie się, nim was powieszą, potem możecie spać sobie.

Kat. Idź do niego i wyprowadź go tutaj.

Błazen. Idzie, panie, idzie; słyszę, jak chrzęści pod nim słoma.

(Wchodzi Bernardyn).

Kat. Słuchaj, a jest topór na pniu?

Błazen. Wszystko w porządku, panie.

Bernardyn. A, mości kacie, cóż tam nowego?

Kat. Naprawdę, mopanku, wyklepcie swoje pacierze, bo, widzicie, nadszedł wyrok.

Bernardyn. A szubrawcze ty jeden! piłem całą noc, nie jestem na to przygotowany.

Błazen. O, tem lepiej, panie; jeżeli pił całą noc, a rano ma być powieszony, to będzie miał czas wyspać się następnego dnia.

(Wchodzi Książę).

Kat. Patrzajże waść, idzie twój ojciec duchowny: więc cóż, myślisz waść, że to żarty?

Książę. Wiedziony chrześcijańską miłością, a usłyszawszy, jak prędko trzeba wam pójść na tamten świat, przychodzę pocieszyć was i pomodlić się z wami.

Bernardyn. Mnichu, nic z tego! Piłem na zabój całą noc, potrzebuję też więcej czasu, aby się przygotować; chyba mi łeb drągami rozwalą; nie zgodzę się na to, aby umierać już dzisiaj, to pewno.

Książę. O, musisz waść; i dlatego proszę was, pomyślcie o podróży, która was czeka.

Bernardyn. Przysięgam, że nikt mnie nie przekona, abym miał umrzeć dzisiaj.

Książę. Ale słuchajcie —

Bernardyn. Ani słowa, jeżeli macie mi coś do powiedzenia, to przyjdźcie do mnie do celi, bo dzisiaj z niej się nie ruszę. *(Wychodzi).*

(Wchodzi Profos).

Książę. O, zatwardziałe serce! ni do życia
Ani do śmierci!... Na pień go prowadźcie.

(Wychodzą kat i błazen).

Profos. Więc w jakim stanie znaleźliście więźnia?

Książę. Jest to stworzenie na śmierć niegotowe;
W takim go stanie wyprawiać, byłoby
Zbrodnią.

Profos. Dziś, ojcze, we więzieniu umarł
Z silnej gorączki niejaki Ragozyn,
Głośny zbój morski, człowiek lat Klaudyusza,
Mający włosy i brodę tej samej,
Co i on, barwy. Cóż, gdybyśmy dali
Czas grzesznikowi, by się przygotował,
Zaspokajając namiestnika licem
Ragozynowem, więcej podobniejszem
Do Klaudyusza?

Książę. O, snać samo niebo
Przyszło nam w pomoc! Zróbcie to natychmiast,
Bo przez Angela oznaczona chwila
Już się przybliża; zarządźcie, co trzeba,
By spełnić rozkaz, ja zaś swoje zrobię:
Tego wstrętnika na śmierć przysposobię.

Profos. Wszystko natychmiast spełnię, dobry ojcze.
Bernardyn umrzeć musi dziś pod wieczór,
Cóż począć z Klaudyem, by mnie uratować
Od niebezpieczeństw, które spadną na mnie,
Skoro się wyda, że on żyje?

Książę. Otóż
W ukrytym lochu trzeba zamknąć obu —
I Bernardyna i Klaudya; nim słońce
W swoim obiegu po dwakroć pozdrowi
Tych, co pod nami, będziecie bezpieczni.

Profos. Chętnie was słucham.

Książę. Śpieszcie się, natychmiast
Poślijcie głowę do Angela.

(Profos wychodzi).

Ja do Angela teraz list napiszę —
Zaniesie mu go dozorca — tej treści,
Że już powracam i że z ważnych przyczyn
Zmuszony jestem odbyć wjazd publiczny.
Wezwę go przytem, by się spotkał ze mną
Przy świętem źródle, o milę od miasta;
Stamtąd zaś wszystkie roztrząsając sprawy
Z zimną rozwagą, podążym w pochodzie
Razem z Angelem.

(Wraca Profos).

Profos. Oto jest głowa, sam mu ją zaniosę.

Książę. To bardzo dobrze; wracajcie coprędzej,
Bo chciałbym z wami pomówić o sprawach,
Dla waszych tylko przeznaczonych uszu.

Profos. Jak najpośpieszniej wrócę.

Izabella *(za sceną).* Pokój z wami.
Proszę otworzyć!

Książę. To głos Izabelli.
Idzie posłyszeć, czy brat ułaskawion;
Ale ja szczęście jej utaję przed nią,
By się w niebiańską uciechę zmieniła
Rozpacz, w godzinie najmniej spodziewanej.

(Wchodzi Izabella).

Izabella. Za pozwoleniem...

Książę. Dzień dobry, szlachetna,
Nadobna córko!

Izabella. Tem lepszy, jeżeli
Życzy go człowiek tak święty. Dla brata
Ułaskawienie czy przysłał namiestnik?

Książę. On go wyzwolił od świata, ma córko;
Już do Angela poniesiono głowę.

Izabella. Nie, być nie może!

Książę. O tak, nie inaczej.
Mądrości dowiedź cierpliwością, córko.

Izabella. Pójdę do niego i wydrę mu oczy!
Książę. On was nie puści przed swoje oblicze.
Izabella. Nieszczęsny Klaudyo! Biedna Izabello!
Nikczemny świecie! Przeklęty Angelo!
Książę. Nie zaszkodzicie jemu, ani sobie
Nie pomożecie w ten sposób; przestańcie,
Sprawę tę zdajcie na Boga. A teraz
Zważcie, co powiem, a każda ma zgłoska
Najszczerszą prawdą: książę jutro wraca —
Otrzyjcie oczy! — donosi mi o tem
Brat mój zakonny, a jego spowiednik.
Wie już Eskalus o tem i Angelo;
Mają się spotkać z nim przed bramą miasta,
By mu tam oddać władzę poruczoną.
Jeśli możecie, prowadźcie swą mądrość
Drogą, na której pragnę ją zobaczyć,
A na tym łotrze wnet swój gniew wywrzecie
I względy księcia znajdziecie i pomstę
I cześć powszechną.
Izabella. Słucham waszej rady.
Książę. Księdzu Piotrowi raczcie list ten oddać,
W którym mi doniósł o powrocie księcia;
Znak ten oddając, powiedzcie, że pragnę
Widzieć go w noc tę w domu Maryjanny.
Jemu poruczam waszą i jej sprawę,
On was zawiedzie przed księcia; tam śmiało,
Otwarcie, w oczy, oskarżcie Angela,
Bo mnie, biednego, wiążą śluby święte,
Że być obecnym nie mogę. A zatem
Idźcie z tym listem i wypędźcie z oczu
Tę gorzką wilgoć, ulżyjcie swej duszy;
Przestańcie wierzyć zakonowi memu,
Jeśli na złe was zawiodę. A któż tam?
(Wchodzi Lucyo).
Lucyo. Hej! dobry wieczór, księże, a gdzie profos?
Książę. Niema go, panie.
Lucyo. O, nadobna Izabello! Bledną me lice, gdy tak spoglądam na poczerwieniałe twe oczy: bądź cierpliwą: wszakci i ja zadowolić się muszę na obiad i wieczerzę garścią otrąb i wodą; ze względu na moją głowę nie śmiem napełnić brzucha; jedna sutsza uczta, a po mnie! Ale powiadają, że książę jutro wraca. Dalibóg, Izabello, kochałem twego brata! Gdyby ten dziwak książę, ten wycieracz ciemnych kątów, pozostał był w domu, brat twój żyłby dotychczas.
(Izabella wychodzi).

Książę. Panie! Książę szczególnie mało będzie wam zobowiązany za wasze o nim sądy; to tylko dobrze, że w niczem do tego, co o nim mówicie, niepodobien.
Lucyo. Mnichu! nie znasz tak dobrze księcia, jak ja; lepszy z niego strzelec, niżeli ci się zdaje.
Książę. I owszem; przyjdzie czas, że odpowiecie za to. Bądźcie mi zdrowi.
Lucyo. Nie, poczekaj, pójdę z tobą; mogę ci o księciu ładną opowiedzieć historyjkę.
Książę. Opowiedzieliście mi ich za dużo, panie, jeżeli są prawdziwe, jeżeli zaś nie, to i jednej byłoby za dużo.
Lucyo. Stawałem raz przed nim za zrobienie dziecka jakiejś dziewce.
Książę. I wyście coś podobnego zrobili?
Lucyo. A jakże, zrobiłem, byłem jednak na tyle mądry, żem się tego wyprzysiągł, inaczej byłby mi był gotów kazać ożenić się z tym zgniłym niesplikiem.
Książę. Panie, towarzystwo wasze więcej zabawne, niż uczciwe; idźcie się wyspać.
Lucyo. Na uczciwość, pójdę z tobą aż do rogu; jeżeli was takie nieprzyzwoitości rażą, to nie damy wam ich zbyt wiele. Tak, mnichu, jestem z gatunku łopuchów, umiem się przyczepić. *(Wychodzą).*

SCENA IV.

Pokój w domu Angela.

(Wchodzi Angelo i Eskalus).

Eskalus. Każdy list, który pisze, stoi w sprzeczności z poprzednim.
Angelo. W najnierozumniejszy i najbezładniejszy sposób. Czyny jego wyglądają niemal, jak szaleństwo. Daj Boże, aby tylko rozum jego nie ucierpiał. I dlaczego mamy się z nim spotkać przed bramami i tam zwrócić mu nasze urzędy?
Eskalus. Nie umiem odgadnąć.
Angelo. I dlaczego mamy ogłosić godzinę przed jego przybyciem, że każdy, ktoby chciał się użalić na jakąś

niesprawiedliwość, ma prośby swoje przedłożyć mu na ulicy?

Eskalus. Przytacza tego powody: chce odrazu załatwić się z wszystkiemi zażaleniami i ochronić nas na przyszłość od skarg, które odtąd nie będą miały przeciwko nam żadnej mocy.

Angelo. I owszem, proszę, każcie to ogłosić,
A jutro rano przyjdę do was do dom:
Dajcie znać wszystkim, co na mocy stanu
Oraz urzędu, mają witać księcia.

Eskalus. Spełnię to, panie: żegnajcie.
(Wychodzi).

Angelo. Dobranoc.
Całkiem mnie czyn ten ubezwładnił, stępił
Zdolność działania. Zbeszczeszczone dziewczę!
I to przez męża, który na to prawo
Ukuł surowe! Gdyby jej wstydliwość
Nie zakazała obwieścić utraty
Swej dziewiczości, jakżeżby mnie mogła
Podać na ludzkie języki! Lecz rozum
Czy jej pozwoli? Nie! Bo władza moja
Tyle na sobie dźwiga zaufania,
Że ktoby chciał niem zachwiać poszczególną
Jakąś potwarzą, wnetby marnie zginął. —
Żyłby, lecz jego niekiełzana młodość
Mogłaby kiedyś pomyśleć o zemście
Za spotwarzone życie, odzyskane
Takim okupem haniebnym. A jednak,
A jednak chciałbym, aby żył dotychczas.
Lecz gdy raz człowiek zapomni o cnocie,
Wszystko wspak idzie, wbrew jego ochocie.

SCENA V.

Pole pod miastem.

(Wchodzą Książę w własnym stroju i zakonnik Piotr).

Książę. W stosownej porze wręczysz mi te listy.
(Daje mu listy).
Profos zna nasze plany i zamiary.
Sprawa jest w toku; trzymaj się instrukcyi
I do naszego ciągle zmierzaj celu,

Choć nieraz będziesz musiał jąć się tego
Albo owego, stosownie do sprawy.
Flawijuszowi powiedz, gdzie mnie znajdzie;
I Walentyna, Rowlanda i Krassa
Również powiadom o tem i trębaczy
Każ im sprowadzić do bramy. Lecz naprzód
Przyślij mi tutaj Flawijusza.

Zakonnik Piotr. Śpieszę.
(Wychodzi. Wchodzi Warryusz).

Książę. Dziękić za pośpiech, Warryjuszu; idźmy,
Bo jeszcze inni chcą nas przyjaciele
Przywitać tutaj, zacny Warryjuszu.
(Wychodzą).

SCENA VI.

Plac w pobliżu bramy miasta.

(Wchodzą Izabella i Maryanna).

Izabella. Tak ogródkami mówić wstręt mi sprawia;
Całąbym prawdę wolała powiedzieć;
Tak go oskarżać waszem jest zadaniem.
A przecież tak mi uczynić kazano
Dla dobra naszych — jak powiedział — planów.

Maryanna. Idźcie za jego poradą.

Izabella. Ponadto
I to rzekł jeszcze, że, gdyby przypadkiem
Mówił przeciwko mnie za moim wrogiem,
Ażebym na to nie zważała; jest to
Lekarstwo gorzkie, lecz skuteczne.

Maryanna. Gdyby
Mnich Piotr —

Izabella. O, cicho; jest i on...
(Wchodzi zakonnik Piotr).

Zakonnik Piotr. Więc chodźcie.
Miejsce znalazłem jak najdogodniejsze,
Tak, że was książę ominąć nie może.
Lecz już dwa razy trąby się rozległy,
Już się u bramy zebrali dostojni
Obywatele, i niebawem książę
Wjazd swój odbędzie. A więc dalej! idźmy!
(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Plac publiczny w pobliżu bramy miasta.

(Maryanna zakwefiona, Izabella i Piotr w pewnem oddaleniu. Z przeciwnych stron wchodzą: Książę, Waryusz, panowie, Angelo, Eskalus, Lucyo, Profos, oficerowie i obywatele).

Książę *(do Angela).* Witam was, drogi kuzynie.
(Do Eskalusa).
Rad jestem,
Że znów was widzę, stary, wierny druhu.
Angelo i Eskalus. Szczęsny niech będzie powrót waszej [łaski.
Książę. Obu wam mnogie i serdeczne dzięki;
Tyle dobrego słyszeliśmy o was
I waszych rządach, że tylko publiczne
Winna wam złożyć dzięki nasza dusza,
Jako zadatek pełniejszej nagrody.
Angelo. Tem bardziej rośnie ma wdzięczność.
Książę. O, głośno
Przemawia wasza zasługa i krzywdą
Byłoby dla niej, gdybym ją zamykał
W tajni mej piersi; zasługuje bowiem
Na twierdzę głosek spiżowych przeciwko
Zębowi czasu oraz zapomnienia
Niszczącej sile. Podajcie mi rękę,
Niech was zobaczą poddani, niech wiedzą,
Jak ma zewnętrzna uprzejmość obwieszcza
Względy, ukryte we wnętrzu. Eskalu,
Stańcie po drugiej mej ręce, dobremi
Bądźcie mi obaj podporami.
(Wchodzi Piotr i Izabella).
Piotr. Teraz czas na was, uklęknijcie przed nim
I mówcie głośno.
Izabella. O, królewski książę!
Sprawiedliwości! Zwróćcie swe źrenice
Na pokrzywdzoną — jakżebym pragnęła
Rzeknąć: dziewicę! O szlachetny książę,
Nie hańbcie ócz swych, na inny je przedmiot

Zwracając wprzódy, zanim wysłuchacie
Mej szczerej skargi, nim mi wymierzycie
Ach! sprawiedliwość, sprawiedliwość, książę.
Ach! sprawiedliwość, sprawiedliwość!
Książę. Krzywdę
Wytoczcie swoją — przez co i przez kogo —
Tylko po krótce; oto lord Angelo,
Co wam wymierzy sprawiedliwość; przed nim
Otwórzcie wnętrze.
Izabella. O, szlachetny książę!
Zbawienia szukać każecie u czarta;
Raczcie wysłuchać mnie sami, bo albo
To, co wam powiem, ściągnie karę na mnie,
Jeśli nie znajdzie wiary, lub was zmusi
Do naprawienia mej krzywdy. Więc wy mnie
Tu wysłuchajcie; wy mnie wysłuchajcie!
Angelo. Boję się, panie, że straciła zmysły!
Błagała u mnie o łaskę dla brata,
Co zginął z prawa!
Izabella. Z prawa!
Angelo. I zapewne
Cierpko tu będzie przemawiać i dziwnie.
Izabella. Tak! bardzo dziwnie, lecz bardzo prawdziwie,
Że ten Angelo jest krzywoprzysięzca,
Czyż to nie dziwne? Że z tego Angela
Zwykły morderca, czyliż to nie dziwne?
Że cudzołożny złodziej ten Angelo,
Że zeń obłudnik i gwałciciel dziewic,
Czyż to nie dziwne? Czyliż to nie dziwne?
Książę. O, dziesięćkrotnie to dziwne.
Izabella. A niema
Większej w tem prawdy, że to jest Angelo,
Niż że to wszystko prawdziwe i dziwne!
O, dziesięćkrotnie to wszystko prawdziwsze,
Bo prawda prawdą do końca obliczeń.
Książę. Weźcie ją na bok! to biedna istota!
Mówi to wszystko w pomieszaniu zmysłów.
Izabella. Zaklinam ciebie, książę, jeśli wierzysz,
Że inna jeszcze istnieje pociecha,
Niż na tym świecie, nie pomijaj słów mych
W tem przekonaniu, że mnie obłęd dotknął.
Na niemożliwe nie chciej zmieniać tego,
Co się wydaje nieprawdopodobnem;

To niemożliwem nie jest, by najgorszy
Zbrodniarz na ziemi wydawał się skromnym,
Pobożnym, prawym i tak doskonałym,
Jak ten Angelo; tak też i Angelo,
Mimo tytułów, układu, godności,
Może być arcynikczemnikiem. Gdyby
Czemś mniej był, wierzaj, o królewski panie,
To byłby niczem, ale on czemś więcej,
Tylko dla jego łotrostwa nie mogę
Znaleźć nazw więcej.
Książę. Na uczciwość moją!
Jestli szalona (a snać nie jest inną),
To jej szaleństwo ma dziwny kształt sensu,
Tak się w niem wiąże jeden przedmiot z drugim,
Żem tego nigdy nie słyszał w szaleństwie.
Izabella. O, nie uderzaj w tę strunę, mój książę,
Nie chciej rozsądku wykluczać z sprzeczności,
Lecz niech ci własny pomoże rozsądek
Odsłonić prawdę tam, gdzie kryć się zdaje
I fałsz pokrywa, zdający się prawdą.
Książę. Niejeden człowiek, choć nie jest szalony,
Mniej ma rozumu... Cóż chcecie powiedzieć?
Izabella. Otom ja siostra niejakiego Klaudya,
Który skazany został za porubstwo
Na stratę życia; skazał go Angelo.
Do mnie, w klasztorze spełniającej próbę
Nowicyjatu, przysłał brat: posłańcem
Był pewien Lucyo.
Lucyo. To ja, z przeproszeniem
Waszej książęcej dostojności. Otóż
Poszedłem do niej od Klaudyja, prosząc,
Aby zechciała popróbować szczęścia
Z lordem Angelo względem przebaczenia
Biednemu bratu.
Izabella. Tak, to on, wistocie.
Książę. Nikt waści mówić nie kazał.
Lucyo. Nie prosił
Nikt też, bym milczał, mój szlachetny książę.
Książę. Więc ja was proszę, pamiętajcie o tem:
A gdy wam przyjdzie w własnej mówić sprawie,
Błagajcie Boga, by wam poszło gładko.
Lucyo. Upewniam księcia...

Książę. Upewnij waść siebie
I strzeż się, proszę.
Lucyo. A dobrze.
Książę. Być może,
Że to i dobrze, ale waść niedobrze
Czynisz, że mówisz przed czasem. Więc dalej.
Izabella. Kiedym więc przyszła do tego nędznika —
Książę. Wyraz to, zda się, szalony.
Izabella. Przepraszam,
Wyraz ten całkiem odpowiada rzeczy.
Książę. Być może; zatem do rzeczy!... Więc dalej.
Izabella. Otóż pokrótce... Pomijając wszystko,
Co niepotrzebne: jak doń przemawiałam,
Jak go prosiłam, jak klękałam przed nim,
Jak mnie odprawił i com mu odrzekła
(Bo długo trwało to wszystko), od końca
Pocznę wstrętnego, choć w tem ból i hańba.
Chciał ułaskawić brata pod warunkiem,
Że niekiełzanej, jurnej jego żądzy
Oddam dziewiczość mego ciała; wreszcie,
Po długiej walce, ma litość siostrzana
Cześć mą przemogła. I oddałam mu się,
A on tymczasem następnego rana,
Po nasyceniu swej chuci, z wyrokiem
Posłał po głowę mego brata.
Książę. Wielce
Prawdopodobne!
Izabella. O, bodajby było
Prawdopodobnem tak, jak jest prawdziwem!
Książę. Na Boga! dziewko szalona, ty wcale
Nie wiesz, co mówisz, albo cię nienawiść
Przeciw czci jego podszczuła. Po pierwsze,
Jego uczciwość jest dotąd bez plamy;
Dalej, byłoby przeciw rozsądkowi,
By tak zaciekle ścigać grzech, którego
Sam się dopuścił. Gdyby był tak zgrzeszył,
To podług siebie byłby ważył brata.
Ktoś was nasadził; wyznajcie mi prawdę;
Kto was poduszczył do skargi?
Izabella. To wszystko?
Więc cierpliwości dajcie mi, o święci,
A gdy dojrzeje czas, odsłońcie zbrodnię,
Tak się kryjącą pod osłoną władzy!

Niech tak od bolu Bóg wam chroni duszę,
Jak ja skrzywdzona stąd odchodzić muszę.
Książę. Wiem, iżbyś chętnie odeszła! Hej! służbo!
Wziąć ją do kaźni! Bo czyż mam pozwolić,
By ten zatruty, ten potwarczy oddech
Ział tak na moich najbliższych?... Intryga!
Któż o twem przyjściu wiedział i zamiarze?
Izabella. Człowiek, któregoby chciałabym tu widzieć —
Ksiądz Ludwik.
Książę. Pewnie spowiednik... Któż tutaj
Zna tego księdza Ludwika?
Lucyo. Ja, panie!
Mnich to, co wszędzie się wścibi, nie lubię
Tego człowieka, i gdyby nie habit,
Byłbym za pewne wyrazy, zwrócone
Przeciwko waszej dostojności w czasie,
Kiedy was tutaj nie było, mój książę,
Dobrze przetrzepał mu skórę.
Książę. Przeciw mnie słowa? Zacny to księżunio!
I on podburzył tę nieszczęsną dziewkę
Na namiestnika naszego? Wyszukać
Tego księżunia.
Lucyo. Jeszczem wczoraj w nocy
Widział ją z mnichem tym w kaźni. Bezczelny
Mnich to, szubrawiec!
Zakonnik Piotr. Bóg z waszą
Królewską moścją, mój książę! Słyszałem,
Jak nadużyli, książę, waszych uszu.
Nasamprzód, wielce krzywdząco ta dziewka
Oskarża tutaj waszego zastępcę;
Tak on jest wolny od grzesznych z nią zetknięć,
Jak ona wolna z kimś, co dzisiaj jeszcze
Na świat nie przyszedł.
Książę. O, nie wierzyliśmy.
Czy znacie księdza Ludwika, o którym
Mówiła?
Zakonnik Piotr. Znam go, człek Boży i święty,
A nie szubrawiec ani wszędowścibiec,
Jak go przedstawił ten szlachcic, i nigdy,
Jak on powiada, nie śmiałby obrazić
Waszej królewskiej dostojności.
Lucyo. Książę!
Chciejcie mi wierzyć, to łotr jest prawdziwy.

Zakonnik Piotr. W swym czasie sam się uniewinnić [przyjdzie,
Ale narazie chory on, mój książę,
Na silną febrę. Na jego zlecenie
(Jako mu było wiadomem, że mają
Oskarżać tutaj Angela), przyszedłem
Wykazać w jego imieniu, co prawdą,
A co jest fałszem, a co on przysięgą
I dowodami stwierdzić jest gotowy
Na twe wezwanie. Najpierw, co się tyczy
Tej oto dziewki — by usprawiedliwić
Tego zacnego pana od publicznych,
Jego osobę krzywdzących oskarżeń —
W oczy jej tutaj udowodnię kłamstwo,
Że się do niego przyzna sama.
Książę. Słucham.
(Izabellę wyprowadzają pod strażą. Wchodzi Maryanna).
Nie uśmiechacież się na to, Angelo?
O, czcze zachody nieszczęsnych szaleńców!...
Podajcie krzesła!... Kuzynie Angelo,
Chcę być bezstronnym, więc wy bądźcie sędzią
Swej własnej sprawy! Czy to świadek, księże?
Niech nam nasamprzód odsłoni oblicze,
A potem mówi.
Maryanna. Wybaczcie mi, książę,
Ale nie prędzej odsłonię oblicze,
Aż mi rozkaże mój małżonek.
Książę. Jakto?
Wyście mężatką?
Maryanna. Nie, książę.
Książę. Więc panna?
Maryanna. O nie, mój książę.
Książę. Więc wdowa?
Maryanna. Nie, książę.
Książę. Więc nie mężatka, dziewica, ni wdowa?
Lucyo. Mości książę, zapewne jest tłukiem, bo niejedna z takich nie jest ani panną, ani mężatką, ani wdową.
Książę. Zamknąć mu gębę; oby miał sposobność
Paplać w swej własnej sprawie.
Lucyo. Owszem, panie.
Maryanna. Książę! wyznaję, nie jestem mężatką,
Wyznaję również, iż nie jestem panną;

Poznałam mego małżonka, choć on się
W tem nie wyznaje, że mnie poznał.
Lucyo. A zatem był pijany, mój książę; nie może być inaczej.
Książę. Ze względu na milczenie życzyłbym sobie, abyś i ty był pijany.
Lucyo. I owszem, mości książę.
Książę. To nie jest świadek dla lorda Angela.
Maryanna. A właśnie o tem chcę mówić, mój książę.
Ta, co go przyszła skarżyć o porubstwo,
Oskarża przez to i mego małżonka,
A taką książę zarzuca mu porę,
W której, jak pragnę udowodnić, w moich
Był on objęciach miłosnych.
Angelo. Oskarża
Kogo innego, oprócz mnie?
Maryanna. Nie sądzę.
Książę. Nie? Wszak o swoim mówiliście mężu?
Maryanna. Tak, mości książę, to właśnie Angelo.
Mniema, że wie to, iż nigdy nie poznał
Mojego ciała, lecz wie to, jak mniema,
Że Izabellę był poznał.
Angelo. A, tego
To już zanadto! Pokaż swe oblicze.
Maryanna. Małżonek każe, zdejmuję zasłonę.
(Odrzuca kwef).
Oto oblicze, ty srogi Angelo,
Które, jak ongi przysięgałeś, godne
Było twych spojrzeń; oto dłoń, co silnie
Ściskała twoją w czas świętych zaręczyn.
Oto jest ciało, które cię odwiodło
Od Izabelli uścisków, przybrawszy
W twojej altanie jej postać udaną.
Książę. Znasz tę niewiastę?
Lucyo. Zna cieleśnie, rzekła.
Książę. Ani słóweczka!
Lucyo. Dosyć, panie.
Angelo. Muszę
Wyznać, mój książę, że znam tę niewiastę.
Przed pięciu laty była między nami
Mowa o stadle; lecz to się zerwało
Częścią z przyczyny, że posag układom
Nie odpowiadał, a głównie dlatego,

Że lekkomyślność obniżyła wartość
Jej reputacyi; lecz od lat tych pięciu
Anim z nią mówił, ani ją widziałem,
Anim coś słyszał o niej, na mój honor
I mą uczciwość.
Maryanna. Jak to światło z nieba,
A słowo idzie z oddechu, cny książę,
Jak rozum w prawdzie, a prawda jest w cnocie,
Tak jam małżonką jego zaręczoną,
Jeśli coś znaczą przysięgi zrękowin.
W ostatni wtorek, nocą, on mnie poznał
W swojej altanie, jako swą małżonkę:
Jeśli to prawda, obym tutaj zdrowa
Wstała z tych klęczek, jeśli nie, na wieki
Niech tu uwięznę, jak pomnik z marmuru.
Angelo. Dotąd na wszystko tylkom się uśmiechał,
Lecz teraz, książę, daj mi prawo sądu,
Bo się przerwała ma cierpliwość; widzę,
Że te nieszczęsne, obłąkane dziewki
Są tu narzędziem kogoś silniejszego,
Co ich nasadził przeciw mnie; o książę,
Pozwól mi odkryć intrygę.
Książę. Z całego
Serca; i karę naznacz według woli.
Szalony mnichu, przewrotna kobieto,
Będąca w zmowie z tą, która odeszła!
Sądzisz, że twoje przysięgi, choć z nieba
Wszystkich z kolei wzywałabyś świętych,
Mogłyby świadczyć przeciw jego cnocie,
Niejedną próbą przypieczętowanej?
Usiądźcie przy mym kuzynie, Eskalu,
Raczcie mu pomódz uprzejmie w odkryciu
Źródła, z którego wyszły te intrygi.
I drugi jeszcze podszczuł je braciszek,
Posłać po niego.
Zakonnik Piotr. Chciałbym, ażeby był tutaj, mój książę;
On tę niewiastę podszczuł do tej skargi;
Wie to wasz Profos, gdzie on się ukrywa,
On go sprowadzi.
Książę *(do Profosa).* Idźże waść natychmiast.
(Profos wychodzi).
A wy, mój zacny i wypróbowany,
Drogi kuzynie, któremu zależy,

Aby wybadać tę sprawę, pomścijcie
Według uznania swą krzywdę; co do mnie,
Muszę na chwilę odejść; wy zostańcie
Aż z potwarzami nie zrobicie końca.

Eskalus. Wszystko zbadamy troskliwie, mój książę. *(Książę wychodzi).* Panie Lucyo, nie powiedzieliście, że według waszych wiadomości, to ów mnich Ludwik jest osobą nieuczciwą?

Lucyo. *Cucullus non facit monachum;* niema na nim nic uczciwego, prócz habitu; przytem wyrażał się o naszym księciu jak najniegodziwiej.

Eskalus. Prosimy was, abyście zostali tutaj aż do chwili, gdy on się zjawi, i świadczyli przeciw niemu; pokażemy, że ten mnich to łotr osławiony.

Lucyo. Jak nikt inny w Wiedniu, na moje słowo!

Eskalus *(do jednego z świty).* Przywołać tutaj raz jeszcze ową Izabellę. Chcę z nią pomówić; proszę was, panie, pozwólcie mi ją badać; zobaczycie, jak jej dojadę.

Lucyo. Nie lepiej, panie, od tego, o którym sama mówiła.

Eskalus. Powiadasz?

Lucyo. Dalibóg, panie, gdybyście jej dojechali tak sam na sam, łatwiejby się wyspowiadała; bo publicznie, to będzie się może wstydziła.

(Wraca służba sądowa z Izabellą, książę w przebraniu mnicha i Profos).

Eskalus. Wezmę się z nią do rzeczy po omacku.

Lucyo. To właściwy jest sposób; z kobietami najłatwiej o północy.

Eskalus *(do Izabelli).* Bliżej, panienko; ta oto szlachcianka przeczy wszystkiemu, coś powiedziała.

Lucyo. Panie, oto idzie ten łotr, o którym mówiłem, idzie tu z profosem.

Eskalus. W samą porę; ale nie gadajcie z nim, dopóki was nie wezwiemy.

Lucyo. Pst!

Eskalus. Zbliżcie się, panie; nie nasadziliście tych kobiet, aby spotwarzyły lorda Angela! Zeznały, że tak było.

Książę. To fałsz.

Eskalus. Cóż to? Wiecie wy, gdzie jesteście?

Książę. Poszanowania dla waszej godności!
Nieraz i dyabła trzeba czcić ze względu
Na płomienisty jego tron. Gdzie książę,
Bo przed nim tylko chcę się wytłómaczyć!

Eskalus. W nas macie księcia; my was wysłuchamy.
A mówcie prawdę.

Książę. Przynajmniej śmiało!... Lecz, o biedne dusze,
Cóż to? jagnięcia chcecie szukać w lisie?
Zatem dobranoc waszych krzywd naprawie!
Znikł książę? Znikła i wasza wygrana.
Niesprawiedliwy książę, że odrzucił
Tę waszą skargę i włożył wasz wyrok
W usta zbrodniarza, którego oskarżać
Przyszłyście tutaj!

Lucyo. Tak, to ten nędznik, o którym mówiłem.

Eskalus. Ty niegodziwy, ty bezbożny mnichu!
Nie dość, żeś podszczuł te oto niewiasty,
By dostojnego oskarżyły męża,
Lecz śmiesz bezecnie wobec jego uszu
Zwać go zbrodniarzem?
Śmiesz wzrok swój zwracać na samego księcia,
Niesprawiedliwość mu zarzucać? Precz z nim!
Precz, na tortury! Ha, staw ci za stawem
Wykręcać będziem, aż nie odkryjemy
Twojej intrygi. Co, niesprawiedliwy?

Książę. Nie tak gorąco! wasz książę nie więcej
Miałby odwagi wywichnąć mój palec,
Niżby się ważył własny storturować!
Nie jestem jego poddanym, nie jestem
Z waszej prowincyi. Me sprawy w tem państwie
Dały niejedno ujrzeć mi tu, w Wiedniu:
Widziałem tutaj zepsucie tak wrzące,
Że aż kipiało; prawo na grzech każdy,
Ale grzech każdy tak protegowany,
Że wszystkie wasze surowe ustawy
Są pośmiewiskiem, jak powywieszane
Przepisy w sklepie balwierza.

Eskalus. Spotwarza państwo! Precz z nim do więzienia!

Angelo. Cóż przeciw niemu powiesz, sinior Lucyo?
Czy to jest człowiek, o którymś nam mówił?

Lucyo. Ten sam, panie. Bliżej, ty mój poczciwcze, ty łysa pałko! znacie mnie?

Książę. Przypominam was sobie po dźwięku waszego słowa, panie. Spotkałem się z wami w więzieniu, kiedy jeszcze nie było tu księcia.

Lucyo. O świcie spotkaliście się ze mną! A przypominacie sobie, coście mówili o księciu?
Książę. Jak najzupełniej, panie.
Lucyo. O, więc pamiętacie, panie? A więc książę to podwikarz, to głupiec i tchórz, jak mi to wtedy powiedzieliście?
Książę. Musimy wprzódy zamienić role, mój panie, nim to będzie moje zdanie; wyście to mówili tak o nim! i daleko więcej, daleko gorzej!
Lucyo. O, ty przeklęty łotrze! Czy ci nie dałem szczutka w nos za takie gadanie?
Książę. Zaprzeczam, kocham tak księcia, jak siebie samego.
Angelo. Słuchajcie tylko, jak ten nędznik chciałby się teraz wykręcić, popełniwszy tyle zdradą pachnących bezeceństw.
Eskalus. Z takim łotrem niema co się rozprawiać. Precz z nim do więzienia; a zaryglujcie go jak należy; zamknijcie mu gębę; zabierzcie i te tłuki i wiernego ich sprzymierzeńca!

(Profos zabiera się do księcia).

Książę. Zaczekaj waść, zaczekaj chwilę.
Angelo. Cóż to, opiera się? Dopomóżcie mu Lucyo.
Lucyo. Dalej, mości panie, dalej, mości panie, dalej, mości panie; fe, mości panie! Ha, łysa pałko, kłamcze szubrawy! Musisz być waść zakapturzony? musisz? Pokaż ino waść swą złodziejską gębę; a, do kata z waścią! Pokaż waść tę wilczą mordę i hejże na szubienicę! Nie zdejmiesz go?

(Zrywa mnichowi kaptur i odsłania księcia).

Książę. Pierwszy łotr z ciebie, który zrobił księcia.
Naprzód, Profosie, ja za trzech tych ręczę.
(Do Lucya).
Nie wymykaj się, mopanku, bo słówko
Ma jeszcze z tobą mnich do pogadania.
Pod straż go weźcie.
Lucyo. Będzie coś gorszego
Od szubienicy!
Książę *(do Eskala).* Siądźcie; przebaczamy
Wszystko, co tutaj mówiliście. *(Do Angela).* Od was
Wypożyczamy to miejsce, pozwólcie!
Masz jeszcze słowo, myśl lub też bezczelność,

Coby ci mogły dziś posłużyć? Jeśli
Masz je, to weź je na pomoc, dopóki
Mej opowieści nie skończę, bo potem
Będzie zapóźno.
Angelo. O, straszliwy książę!
Winniejszy byłbym, niźli moja wina,
Gdybym pomyślał, że ujdę bezkarnie;
Widząc, jak łaska wasza, by moc Boża,
Śledziła moje postępki; cny książę,
Nie chciej przeciągać sądu na mą hańbę,
Niech skargą na mnie będzie me wyznanie,
Zaś bezpośredni wyrok i śmierć moja —
Oto jest wszystko, o co jeszcze błagam.
Książę. Chodź tutaj bliżej, Maryjanno. Powiedz,
Czy z tą niewiastą byłeś zaręczony?
Angelo. Byłem, mój książę.
Książę. A więc natychmiast pojmij ją za żonę.
Połącz ich, księże; a skoro to spełnisz,
Sprowadź ich tutaj... Idź z nimi, Profosie.

(Wychodzą Angelo, Maryanna, zakonnik Piotr i profos).

Eskalus. Bardziej mnie, panie, dziwi jego hańba,
Niźli niezwykłość jej wykrycia.
Książę. Bliżej,
Ma Izabello. Tak jak wprzódy byłem
Waszym doradcą, waszych spraw rzecznikiem,
Tak dziś, z odzieżą nie zmieniwszy serca,
Jestem do waszych usług.
Izabella. O, wybaczcie.
Że ja, poddanka wasza, śmiałam trudzić
I molestować nieznany majestat.
Książę. Wszystkom przebaczył. Teraz, drogie dziewczę,
Zechciej i dla mnie być tak samo względną.
Wiem, że śmierć brata ciąży ci na sercu;
Zdziwisz się pewno, dlaczegom się taił,
Gdym mu się starał uratować życie,
Czemum swej skrytej nie ujawnił mocy,
Miast dać mu zginąć. O, szlachetne dziewczę,
Tylko zbyt nagła szybkość jego śmierci,
Której leniwszą przypuszczałem stopę,
Unicestwiła mój powzięty zamiar.
Pokój mu teraz! Bo żyć lepiej życiem,
W którem obawa śmierci przeminęła,

Niż życiem, pełnem obawy. Pociechą
Niech ci to będzie, że twój brat tak szczęśliw!
(Wraca Angelo, Maryanna, Piotr i Profos).
Izabella. Mam tę pociechę, mój książę.
Książę. A teraz
Nowożeńcowi, który się tu zbliża,
A który skrzywdził swą myślą rozpustną
Twą cześć, bronioną tak usilnie, przebacz
Dla Maryjanny! Ale że on brata
Na śmierć ci skazał (sam podwójny zbrodniarz,
Bo świętą czystość zgwałcił i przysięgę,
Którą za życie brata ci poręczył),
Więc najłaskawsze woła dzisiaj prawo
Przez jego usta: »Angelo za Klaudya!
Śmierć żąda śmierci! Za pośpiech pośpiechem,
Zwłoką za zwłokę odpłacać należy,
Miarką za miarkę niechaj każdy mierzy!«
Zatem, Angelo, że jasna twa zbrodnia —
A choćbyś przeczył, na nic twe przeczenie —
Na pniu tym samym położysz swą głowę,
Na którym Klaudyo zginął, i z tym samym,
Co on, pośpiechem... Więc precz z nim!
Maryanna. O, panie!
Chybaś mi męża nie dał dla szyderstwa!
Książę. Nie! sam małżonek pragnął z was zaszydzić,
Dając wam męża. Mnie zaś dla czci waszej
Ślub się wydawał niezbędnym; inaczej
Mógłby was zarzut ścigać całe życie,
Że on was poznał, i wszelkie w przyszłości
Tamować szczęście. Jego zaś majątki,
Przez konfiskatę choć nam się należą,
Wam przeznaczamy jako wiano wdowie,
Byście lepszego mogli kupić męża.
Maryanna. O, drogi panie, nie żądam innego,
Ani lepszego małżonka.
Książę. Daremne
Wasze żądanie; wyrok nasz niezmienny.
Maryanna *(klęka).* Szlachetny książę!
Książę. Płonne wszelkie trudy;
Precz z nim — na pieniek!
(Do Lucya).
Teraz ty, mospanie!
Maryanna. O, drogi książę!... Pomóż, Izabello,

Użycz mi kolan, ja całegoć życia
Na twe usługi użyczę!
Książę. Daremnie
Wbrew rozumowi nalegacie na nią.
Gdyby tu klękła, błagając o łaskę
Dla takiej sprawy, toby duch jej brata
Swoją kamienną rozsadził łożnicę
I z zgrozy siostrę stąd porwał.
Maryanna. O, słodka
Ma Izabello! Uklęknijcie przy mnie,
Podnieście ręce i milczcie, ja sama
Przemawiać będę. Z grzechów ulepieni
Wszyscy są ludzie i zwykle, jak mówią,
Tem się lepszymi stają, jeśli przedtem
Byli cokolwiek złymi; tak i mąż mój...
Nie użyczycież kolan, Izabello?
Książę. On za śmierć Klaudya umrze.
Izabella. O, litośny,
O, drogi książę! Na skazańca tego
Raczcie tak patrzeć, błagam, jakby dzisiaj
Brat mój żył jeszcze. Niemal mi się zdaje,
Że póty w czynach swoich był uczciwy,
Póki nie ujrzał mnie; gdy tak się stało,
Niech nie umiera. Brat mój wedle prawa
Zginął, spełniwszy czyn, za który umarł.
Co do Angela,
To czyn zamiaru złego nie prześcignął,
Więc go też pogrześć trzeba jako zamiar,
Co padł, nim drogę swą przebył. Wszak myśli
Nie są czynami; a zaś tylko myślą,
I niczem więcej, jest zamiar.
Maryanna. O, panie!
Tak, niczem więcej.
Książę. Bezpłodne błagania.
Mówię wam, wstańcie; inny mi przychodzi
Na myśl występek... Profosie, powiedzcie,
Jak się to stało, że Klaudyja ścięto
W niezwykłej porze?
Profos. Tak mi nakazano.
Książę. Macie li na to piśmienne dowody?
Profos. Nie, dobry książę; to ustny był rozkaz.
Książę. Więc za to dzisiaj składam was z urzędu;
Oddajcie klucze.

Profos. Przebaczcie mi, książę!
Czułem, że błąd to, lecz nie byłem pewien;
Żal mnie ogarnął później, po rozwadze,
A w dowód tego jest w więzieniu człowiek,
Co również umrzeć miał na rozkaz ustny,
Alem przy życiu go zostawił.
Książę. Któż to?
Profos. Nazwisko jego Bernardyn.
Książę. Wolałbym,
Abyś to samo był postąpił z Klaudyem.
Sprowadź go tutaj, niech mu się przypatrzę.
(Profos wychodzi).
Eskalus. Smutno mi wielce, że człowiek tak mądry
I tak uczony, jak wy, o Angelo,
Tak strasznie zbłądził przez swej krwi gorącość,
Potem tak mało miarkował się w sądzie.
Angelo. I mnie jest smutno, żem sprawił ten smutek,
I tak to rani me serce skruszone,
Że raczej błagam o śmierć, niż o łaskę,
O śmierć więc proszę, bom zasłużył na nią.
(Wraca Profos, Bernardyn, Klaudyo i Julietta).
Książę. Który to z nich jest Bernardyn?
Profos. Ten, książę.
Książę. Mówił mi o nim pewien mnich... Człowieku,
Słyszę o tobie, żeś jest zatwardziały,
Niczego za tym światem się nie lękasz
I według tego stosujesz swe życie.
Skazany jesteś, ale ci przebaczam
Twe ziemskie winy, a tylko cię proszę,
Abyś korzystał z mego miłosierdzia
I dbał o lepszą swą przyszłość. Nauki
Udziel mu, księże. Tobie go powierzam.
Cóż to za jeden ten zakapturzony?
Profos. To drugi więzień, któregom ocalił,
A co miał umrzeć w dniu, gdy Klaudyo ginął;
Jak sam do siebie, tak on jest podobny
Do Klaudyusza. *(Odsłania Klaudya).*
Książę *(do Izabelli).* Jeśli on podobny
Do twego brata, przebaczam i jemu
Przez pamięć jego. Teraz — przez twą lubość —
Podaj mi rękę, powiedz, żeś jest moją,
A on zostanie mym bratem. Lecz o tem
W porze właściwszej. Angelo więc widzi

Że jest ocalon; snać radość dostrzegam
W jego źrenicach; grzech wam się odpłacił,
Mości Angelo; kochajcie swą żonę,
Jej zacność waszą zacnością. Me wnętrze
Pełne jest chęci przebaczenia wszystkim,
Jednemu tylko odpuścić nie mogę.
(Do Lucya).
Ty, ty, mopanku, coś tak dobrze wiedział,
Żem rozpustnikiem, tchórzem i głuptasem,
Że jestem osłem i szaleńcem, powiedz,
Czem zasłużyłem, żeś mnie tak wywyższył?
Lucyo. Na uczciwość, mój książę, wszystko to powiedziałem ot, tak sobie, z żartów. Jeżeli mnie chcecie kazać za to powiesić, to i owszem, wolałbym jednak, jeżeli łaska, abyście mnie kazali ochłostać.
Książę. Nasamprzód chłosta, potem szubienica.
Trzeba, Profosie, obwieścić po mieście,
Że jeśli łotr ten skrzywdził jaką dziewkę,
(A sam przysięgał przede mną, że jedna
Zaszła przez niego w ciążę), niech się zjawi,
A on ją będzie musiał wziąć za żonę;
Po ceremonii ślubnej będzie chłosta
I szubienica!
Lucyo. Błagam waszej wysokości, nie każcie mi się żenić z kurwą! Wasza wysokość powiedziała właśnie przed chwilą, że zrobiłem was księciem; dobry mój panie, nie chciejcie w nagrodę robić ze mnie rogala.
Książę. Nie, na mój honor, weźmiesz ją za żonę.
Twoim potwarzom przebaczam, zarazem
I wszystkie inne opuszczam ci grzechy.
Wziąć go do kaźni i wypełnić rozkaz.
Lucyo. Żenić się z tłuczykijem, miłościwy panie, to znaczy skazanym być na śmierć, na chłostę, na szubienicę.
Książę. Potwarz na księcia zasługuje na to.
Pamiętaj, Klaudyo, ażebyś naprawił
Krzywdę, niewinnej wyrządzoną dziewce,
Ciesz się, Maryanno! Kochaj ją, Angelo!
Jej spowiednikiem byłem, znam jej cnoty...
Dzięki, mój dobry druhu Eskalusie,
Za twoją dobroć: większa cię zapłata
Czeka w przyszłości. Dzięki ci, Profosie,
Za twą gorliwość i że tajemnicę
Chować umiałeś; dam ci lepsze miejsce.

Przebaczcie wy mu, Angelo, że przysłał,
Miast Klaudyjusza, głowę Ragozyna.
Błąd ten sam siebie uniewinnia. Prośbę
Mam jeszcze do was, droga Izabello:
Jeżeli chętne znajdę posłuchanie,
Twem to, co moje, co twe, mem zostanie.
Teraz do zamku, a tam należycie,
Co jeszcze trzeba, wszystko usłyszycie.



TŁÓMACZENIE JANA KASPROWICZA.

The Comedy of Errors to może najwcześniejsze dzieło komicznej muzy Shakespeara. Wymienia je między jego komedyami Meres w roku 1598; w święto Niewinnych Młodzianków (28 grudnia) roku 1594 wśród innych uroczystości gwiazdkowych w londyńskiem kollegium prawniczem *Gray's Inn* graną była według zapisków »Komedya omyłek, podobna do *Menechmów* Plauta«, prawdopodobnie ten właśnie utwór Shakespeara. W samem dziele jest aluzya, która jako dwuznacznik da się odnieść do wojny domowej we Francyi, toczącej się od roku 1589[1]); w tej wojnie królowa Elżbieta stanęła po stronie protestanckiego pretendenta, posyłając mu z pomocą 4000 ludzi pod wodzą hrabiego Essex w roku 1591. Datę w blizkości tych wypadków nadają utworowi także właściwości wersyfikacyi i stylu: tok białego wiersza często przerywany jest przez chropawe wiersze czterotaktowe starego autoramentu i przez czterowiersze, powiązane rymami; a w rozmowie prozą wszechwładnie panuje charakterystyczne dla młodocianych komedyi Shakespeara rozmiłowanie w grze słów.

Że chodzi o dzieło początkującego poety, za tem przemawia także ścisła zależność od gotowego w formie dramatycznej wzoru literackiego. Głównem źródłem komedyi

---

[1]) W humorystycznym katalogu wdzięków niewiasty, prześladującej Dromia (III, 2) »Francya« ma miejsce »na czole; zbrojna i zbuntowana, w otwartej wojnie z głową«. Angielski zwrot *France... in her forehead, armed and reverted, making war against her hair* oznacza zanik włosów na głowie, jako symptom choroby wenerycznej, wszędzie w Europie zwanej »francuską«; z drugiej strony, biorąc *hair* jako *heir*, tłómaczyć go można jako wzmiankę o wojnie Francyi przeciwko »własnemu dziedzicowi«, t. j. Henrykowi z Nawarry, którego zwalczała Liga katolicka, a którego Anglia uznawała za uprawnionego do tronu.

jest dzieło Plauta *Menaechmi,* w angielskiem tłómaczeniu Williama Warnera drukowane dopiero w roku 1595, ale może znane poecie w rękopisie; zresztą z roku 1577 posiadamy notatkę o przedstawieniu jakiejś *Historie of Error,* która już mogła być angielskiem opracowaniem plautyńskiej komedyi.

Oprócz »Menechmów«, dostarczył poecie niektórych komicznych motywów także *Amphitruo* Plauta; stąd wyraźnie pochodzi zabawna scena, gdzie pana domu wpuścić nie chcą na obiad do własnej żony, bo u niej rozgościł się jego sobowtór (III, 1); jak tam Jowisz i Merkury przybierają postać pana Amfitruona i niewolnika Sozyi, tak u Shakespeara, obok dwóch braci podobnych do siebie, spotykamy dwóch służących również podobnych; losy ich więcej mają wspólnego z przygodami Sozyi, niż jedynego niewolnika, jaki figuruje w »Menechmach«; szczególnie w tem biednego Sozyę przypominają, że często są bici na scenie jeden za drugiego; obfitość tego fizycznego czynnika popularnej komiki — widoczna zresztą i w innych wczesnych farsach Shakespeara — świadczy o wpływie harlekinad włoskich, które poeta mógł czasem oglądać w swej ojczyźnie. Także z literacką komedyą włoską ten i inne młodociane utwory Shakespeara łączą się, jako należące do typu komedyi intryg i zawikłań, stosunkowo nielicznie poza tem reprezentowanego w angielskiej produkcyi dramatycznej okresu, o ile nam jest zachowana.

Z trzeciego jeszcze źródła, obok dwóch komedyi plautyńskich, zdawałoby się pochodzić ujęcie głównej akcyi komedyi w ramy dziejów nieszczęśliwie rozłączonej, a wreszcie znowu szczęśliwie złączonej rodziny; wypadki te, kronikarskim sposobem opowiedziane w początkowych i końcowych scenach utworu, mają podobieństwo do starej powieści greckiej o Apolloniuszu z Tyru, która w rozlicznych formach krążyła po Zachodzie przez całe średnie wieki i którą sam Shakespeare później systematycznie zużytkował w dramacie »Perykles«; w jakiej wersyi korzystać z niej mógł do »Komedyi omyłek«, niewiadomo; w każdym razie i tam, i u niego żona, rozłączona z mężem przez burzę morską, znajduje później schronienie w Efezie; u Plauta miejscem akcyi jest miasto Epidamnus.

W powieści o Apolloniuszu przytułkiem nieszczęśliwej niewiasty jest świątynia Dyany, u Shakespeara klasztor:

nie jedyny to anachronizm [1]) w dziele, gdzie zresztą z nieśmiałością nowicyusza literackiego zachowane jest plautyńskie środowisko starożytne: nawet zmieniając imiona własne — jak to i później zwykle czyni, jakby dla lekkiego zamaskowania zależności — Shakespeare dobiera także starożytne; jedno z nich, Dromio, przypomina Terencyusza, u którego jest niewolnik imieniem Dromo. Tożsamość imion braci, potrzebną do komicznych efektów, Shakespeare lakonicznie uzasadnia w jednym wierszu [2]), streszczającym obszerniejsze wyjaśnienia sprawy u Plauta. Niezbyt dbały i w późniejszej swej twórczości o prawdopodobieństwo i staranne umotywowanie tych szczegółów, których mu potrzeba jako danych do wprowadzenia w ruch akcyi, Shakespeare i tutaj całą sieć wypadków, umożliwiających komiczne komplikacye, zamyka w treściwem sprawozdaniu pierwszej sceny; zarazem w tej scenie mechanicznym sposobem zapewnia sobie napiętą uwagę widza na cały czas trwania komedyi, zapowiadając przez usta księcia, że w ciągu jednego dnia tajemnicze losy rodziny sędziwego kupca rozstrzygająco wyjaśnić się muszą, inaczej on zginie, nie znalazłszy przyjaciół w obcem mieście. Istotnie w tym jednym pośród wszystkich utworów Shakespeara zachowana jest jedność miejsca i czasu; wypadki nie zajmowałyby wiele więcej czasu w rzeczywistości; to szybkie tempo wobec nagromadzenia potwornych nieprawdopodobieństw [3]) jest warunkiem powodzenia u widza, który wprost nie dochodzi do opamiętania; objawem tej techniki jest także niewielka rozciągłość utworu: liczy 1770 wierszy i jest najkrótszem z dzieł Shakespeara.

Pomysły do szeregu zabawnych *qui pro quo,* z których

---

[1]) Nie brak drobniejszych; np. zaraz w drugiej scenie słyszymy z ust Antyfolusa zaklęcie (pominięte w tłómaczeniu Ulricha): *Now, as I am a Christian, answer me* (»Jakem chrześcijanin, odpowiedz mi«).

[2]) I, 1: »...z sługą, który także
Utracił brata, jednego z niem miana«.

[3]) By wyszczególnić tylko kilka logicznych niemożliwości: Antyfolus wobec wyrzutów małżeńskich ze strony obcej osoby, z własnem imieniem połączonych, ani na chwilę nie myśli o tem, że może to żona brata, którego tak długo i usilnie szuka (II, 2); w scenie rozpraw przez zamknięte drzwi (III, 1) nikomu nie przychodzi na myśl wyjrzeć przez okno na hałasujących przed domem ludzi, co odrazu sprowadziłoby rozwiązanie; ksieni (V, 1) żyła długie lata w mieście, a nie słyszała nigdy imienia jednego z poważanych obywateli. Ale o tem wszystkiem myśli krytyczny czytelnik, nie rozbawiony widz w teatrze, a dla niego pisał Shakespeare.

składa się cały prawie utwór, poddały podobne, choć mniej obfite konfuzye u Plauta; odmienna od plautyńskiej atmosfera owiewa nas u Shakespeara w akcie drugim, gdzie pojawia się żona mieszczanina efeskiego. Plautowi postać żony służy jedynie jako maryonetka dla sprowadzenia komplikacyi komicznych; zaniedbanie jej dla hetery nie ma nic tragicznego w sobie; u Shakespeara przedstawiona jest sentymentalnie: z utęsknieniem wyczekuje powrotu małżonka, którego nawet dręczy i niecierpliwi swą zazdrosną miłością; naganę, jaka ją za to spotyka z ust poważnej ksieni (V, 1), uważano za refleks niedawnych własnych przejść młodo żonatego poety przed ucieczką ze Stratfordu do Londynu. W świetle takich przypuszczeń żywej barwy istotnie nabiera długa i wymowna tyrada zazdrosnej żony (II, 2), mijająca się zresztą z efektem, bo wypowiedziana do obcego Antyfolusa. Mimo przykrej swej zazdrości, Adryana, jak tyle późniejszych bohaterek shakespearowskich, traktowana jest przez poetę po rycersku, jako istota pokrzywdzona i cierpiąca; niemal że symbolem przeznaczenia niewiast na ofiary bezwzględności męskiej staje się, gdy siostra wypowiada o niej piękne słowa:

»Z łatwowierności ulepiona cała,
Cieszy się żona miłości pozorem;
Daj rękę innej, byle rękaw miała,
Biegnie posłuszna wskazanym jej torem«. (III, 2).

Ta siostra, postawiona obok zazdrosnej żony, jest postacią, stworzoną przez samego poetę. Jej dziewiczy wdzięk wnosi element wyższej poezyi do farsy, wnosi też obcy zupełnie światowi Plauta i jego greckich wzorów, nowożytny motyw romantycznej miłości: na scenie shakespearowskiej komedya bez małżeństwa na końcu już jest niemożliwa.

Wprowadzając do komedyi jako dodatek od siebie uroczą postać dziewczęcą i nowoczesną formę miłości, nie pominął jednak Shakespeare z drugiej strony nieodzownej w starożytnem pojęciu komedyi figury kurtyzany: u Plauta jej stosunki z mężem dają słuszny powód do zazdrości żonie; u Shakespeara nie wpuszczony do domu małżonek, dotąd niewinny zdrady, raczej na złość żonie niż z przekonania idzie na obiad do tamtej (III, 1); samą jej postać ukazuje nam poeta tylko epizodycznie (IV, 3, 4; V, 1),

tylko jako proste narzędzie komicznych zawikłań, i w scenach z nią łagodzi wiele rubaszności plautyńskich.

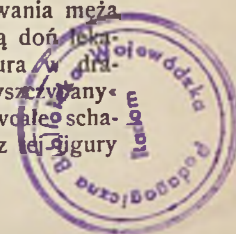
Piękna Lucyana, jako najmilsza poecie postać niewieścia utworu, służy mu do wypowiadania własnych zasadniczych zapatrywań na stanowisko społeczne niewiasty; nie bez rozczarowania człowiek dzisiejszy, wychowany wśród postępów równouprawnienia kobiet, dostrzega, że Shakespeare tu, jak w »Poskromieniu złośnicy« i gdzieindziej, okazuje się zwolennikiem zupełnej uległości żony wobec męża:

»Wszystko, co widzą słoneczne źrenice,
W morzu, na lądzie, ma swoje granice;
Skrzydlate ptaki, ryby i zwierzęta
Znoszą w milczeniu ciężkie samców pęta,
A mąż, przez Boga wyżej postawiony,
Pan mórz i lądów nieograniczony,
Silny rozumem, nieśmiertelną duszą,
Gdy go stworzenia wszystkie słuchać muszą,
Nad żoną także potęgę ma króla:
Niech ci wyrokiem jego będzie wola«. (II, 1).

W tej sprawie, jak we wszelkich innych, poglądy społeczne Shakespeara to poglądy jego wieku, a nie następnych. Także stosunek pana do podwładnego jest nawskróś staroświecki, arystokratyczno-feudalny:

»Że czasem z tobą mówię poufale,
W wesołej chwili z twych śmieję się błazeństw,
To już zuchwale bratać się chcesz ze mną
I w moje troski bezczelnie się wtrącać?
Gdy słońce świeci, niech komary brzęczą,
Lecz kiedy chmurno, niech w szpary się kryją.
Nim żarty zaczniesz, patrz na me oblicze,
Słowa twe stosuj do mego humoru,
Lub kij metodę wpędzi ci do pałki«. (II, 2).

Do dawnej też raczej, niż do dzisiejszej publiczności przemawia siłą komiczną scena egzorcyzmu nad mniemanym waryatem (IV, 4); widocznie się podobała, skoro Shakespeare powtórzył motyw w komedyi »Wieczór Trzech Króli« (IV, 2). U Plauta znalazł epizod traktowania męża jako waryata i związania go; ale tam wzywają doń lekarza; shakespearowski egzorcysta — jedyna figura w dramacie, co nosi angielskie nazwisko: *Pinch* (»wyszczypany« czyli »chudzina«) — słowami poety prawie wcale scharakteryzowany nie jest; widocznie wydobycie z jej figury



dowolnych efektów pozostawione było aktorowi; wobec gradu obelg, jakim potem jest obrzucony (V, 1), nasuwa się przypuszczenie, że chodzi o karykaturę jakiejś rzeczywistej postaci, niesympatycznej poecie [1]). Podobnież fakt, że poważanemu mieszczaninowi w komedyi tak źle się dzieje, daleko gorzej niż drugiemu bratu, tłómaczyć, by można jako objaw socyalnych antypatyi poety i jako zemstę jego wrażliwej natury na przesadnie pewnych siebie, statecznych filistrach; zemstę tego samego rodzaju, co ośle uszy ateńskiego rzemieślnika w »Śnie Nocy Letniej«, lub upokorzenie Malvolia w »Wieczorze Trzech Króli«.

Obok rozlicznych samodzielnych dodatków do akcyi plautyńskiej, potrzebnych, by komedyi nadać rozmiary odpowiednie dla nowożytnej sceny, są u Shakespeara i opuszczenia: pominął wielce przydatną do zabawnych efektów plautyńską figurę komicznego starca, teścia mieszczanina.

Powagi obok komizmu daleko mniej w tej farsie znajdujemy, niż w późniejszych komedyach Shakespeara: prawdziwie tragiczne akcenty rozlegają się tylko przelotnie w scenach początkowej i końcowej, w roli sędziwego ojca rozbitej rodziny; jest melodramatyczny sentyment w rolach Adryany i Lucyany; jest przedewszystkiem nuta melancholii w pierwszym monologu Antyfolusa ze Syrakuzy, znękanego długiem szukaniem brata po świecie; przypuszczano, że jego samotny smutek w obcem mieście to obraz uczuć samego poety po przybyciu z rodzinnego Stratfordu do obcej mu, jak głębie oceanu, stolicy.

»A więc cię z własnem twem zostawiam szczęściem«.
»Kto z mojem własnem zostawia mnie szczęściem,
Ten mnie zostawia w smutnem towarzystwie.
Jestem na świecie, jak ta kropla wody,
Co drugiej kropli szuka w oceanie,
A co, nim znajdzie swoją towarzyszkę,
Ginie samotna i niepostrzeżona«. (I, 2).

Na tym szkicu smętnej zadumy widzimy dowodnie, jak i w tem najbardziej błazeńskiem z komicznych dzieł Shakespeara wszystkie prawie duchowe składniki jego twórczości późniejszej — także czysto poważnej — choć w małej dozie, jednak jakby w zarodku, odnaleźć się dadzą.

[1]) W niezbyt przekonywujący sposób starano się utożsamić tego egzorcystę z astrologiem imieniem John Dee, znanym i w Polsce, gdzie jakiś czas przebywał, pod nazwą »Dr. Deus«.

Z bardziej oczywistych i bezpośrednich związków między tem dziełem a najbliższem jego sąsiedztwem chronologicznem warto wyszczególnić fakty, że dowcipny pomysł topograficznej analizy wdzięków kobiecych (III, 2) w odmiennej formie krytycznego rejestru przymiotów podjęty jest na nowo w komedyi »Dwaj panowie z Werony« (III, 1); że wobec dziwacznych i niespodzianych przygód pan-racyonalista wyobraża sobie miasto — po plautyńsku i po starogrecku — jako pełne oszustów i czarowników, ale sługa — romantycznie i po ludowemu, jako pełne istot nadprzyrodzonych, i mówi o nich fantastycznym językiem »Snu Nocy Letniej« [1]). W końcu i o tem raz jeszcze wspomnieć warto, jak osobliwie a pięknie wiąże się sam początek twórczości poety z jej zakończeniem przez wspólny »Komedyi omyłek« i dramatycznym romancom lat ostatnich temat nieszczęśliwego rozłączenia i szczęśliwego w końcu połączenia rodzin; jest to jakby włożony w sztukę symbol własnych losów autora, które i na początku i na końcu życia jednoczą się z miastem i gniazdem rodzinnem.

[1]) Antyfolus (I, 2):
»Mówią, że w mieście tem oszustów nie brak;
Jest tu dostatkiem ćwiczonych kuglarzy
I czarowników durzących zaklęciem,
Czarownie zdolnych z duszą ciało zabić;
Poprzebieranych rzezimieszków bandy
Z głównej kwatery sąsiednich opryszków;
Bez straty czasu musim stąd uciekać«.
Dromio (II, 2):
»To nie są ludzie: to wróżek dzielnice;
Duchy, upiory, elfy, czarownice;
Jeśli rozkazu nie spełnię coprędzej,
Okrutną śmiercią zginę od tej nędzy«.

OSOBY:

Solinus, książę Efezu.
Egeon, kupiec z Syrakuzy.
Antyfolus z Efezu.
Antyfolus z Syrakuzy.
Dromio z Efezu.
Dromio z Syrakuzy.
Baltazar, kupiec.
Angelo, złotnik.
Kupiec, przyjaciel Antyfola z Syrakuzy.
Szczypak, bakałarz i czarnoksiężnik.
Emilia, żona Egeona, ksieni z Efezu.
Adryana, żona Antyfola z Efezu.
Lucyana, jej siostra.
Laura, jej służąca.
Kurtyzana.

Dozorca więzienny, zbiry i świta.

Rzecz dzieje się w Efezie.

KOMEDYA OMYŁEK.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Sala w pałacu Księcia.

(Wchodzą: Książę, Egeon, dozorca więzienny, woźni sądowi, świta).

Egeon. Prowadźże dalej mą sprawę, Solinie,
Niech z twym wyrokiem ból i wszystko zginie.
Książę. Przestań się spierać, kupcze z Syrakuzy,
Stronniczo gwałcić naszych praw nie myślę.
Waśń i nieprzyjaźń, wyrosłe niedawno
Z podstępnej złości, przez waszego księcia
Kupcom, poddanym moim, okazane
(Którzy, nie mając pieniędzy, by życie
Swoje okupić, opieczętowali
Krwią srogie prawo) wygnały mi z groźnej
Źrenicy litość wszelaką. Od czasu
Śmiertelnych sporów wewnętrznych, wynikłych
Pomiędzy nami a zgrają twych ziomków,
Na walnych radach zapadły uchwały,
Zarówno u nas jak i w Syrakuzie,
By wszystek handel ustał między nami.
Co więcej!
Jeżeli człowiek, urodzon w Efezie,
Na Syrakuzy targach się pokaże,
A i odwrotnie, gdy Syrakuzańczyk
Zjawi się w porcie efeskim, ma umrzeć,

A jego dobra skonfiskuje książę.
Chyba, że zechce tysiąc grzywien złożyć,
Aby okupić swe gardło. Że jednak,
Cenion najwyżej, nie ma twój majątek
Większej wartości ponad setkę grzywien,
Dlatego prawo śmiercią cię ukarze.
Egeon. To mą pociechą; gdy spełnisz swe słowa,
Ból się mój skończy, nim się słońce schowa.
Książę. Opowiedzże nam, Syrakuzańczyku,
Czemuś wyjechał z rodzinnego miasta
I po coś przybył do nas, do Efezu?
Egeon. Z wszystkich ciężarów ciężar to największy,
Żal opowiadać niewypowiedziany.
Lecz, aby świat mi poświadczył, że śmierć ma
Spowodowaną była przyrodzeniem,
A nie poziomem przestępstwem, opowiem,
O ile na to pozwoli ma boleść.
W syrakuzańskiem rodziłem się mieście,
Pojąłem żonę, przez którą szczęśliwym
Byłbym, tak samo, jak ona przeze mnie,
Gdyby nie klęska, która nas spotkała.
Żyliśmy razem w radości; z dnia na dzień
Rósł nasz dobytek dzięki mym zyskownym
Do Epidamnu podróżom. Wtem, słyszę,
Umarł mój ajent. Troska o majątek,
Na szwank wystawion, wydarła mnie z drogich
Objęć małżonki; ale sześć miesięcy
Nie upłynęło od mego odjazdu,
Gdy ona (mając słodkiej uledz karze,
Będącej kobiet udziałem) poczyni
Kroki, ażeby pośpieszyć w me ślady.
Rychło też do mnie przybyła bezpiecznie.
Ale niedługo zabawiwszy, ślicznych
Dwóch chłopców matką stała się szczęśliwą,
A tak do siebie — rzecz dziwna — podobnych,
Że tylko imię obu rozróżniało.
O jednej porze, w tej samej gospodzie
Powiła jakaś uboga niewiasta
Również bliźnięta, podobne do siebie.
Obu, że biedni byli ich rodzice,
Dla swoich synków kupiłem na służbę.
Ma żona, dumna z swych dzieci, nagliła,
By jak najrychlej powracać. Niechętniem

Zgodził się na to; niestety! za prędko
Odpłynęliśmy;
Ale o milę poza Epidamnem
Głębia, posłuszna zawsze nawałnicom,
Stała się wróżbą naszego nieszczęścia.
Nadziei długo żywić nie mogliśmy,
Bo mgławe światło, spadające z nieba,
Dawało tylko przerażonym duszom
Straszną rękojmię niechybnego końca.
Co do mnie, radbym przyjął go w objęcia,
Lecz bezprzestanne jęki mojej żony,
Opłakującej to, co stać się miało,
Oraz żałosne zawodzenia dziatek,
Które kwiliły, nieświadome grozy,
Wzdyć mnie zmuszały, abym szukał zwłoki —
Zwłoki, bo środka ratunku nie było.
Żeglarze w łodzi szukali zbawienia,
Nam zostawiając okręt, w głąb idący;
Żona, troskliwsza o starsze niemowlę,
Przywiązała je do masztu (na zapas
Branego zwykle przez majtków na burzę),
A razem z synkiem jedno z tamtych bliźniąt,
Ja zaś to samom uczynił z drugiemi.
Tak rozdzieliwszy dziecięta, ja z żoną,
Oczy zwrócone mając w cel swej troski,
Uchwyciliśmy się dwóch kończyn masztu
I, na bałwanach płynąc razem z prądem,
Docieraliśmy snać ku Koryntowi,
Kiedy nad ziemią zajaśniało słońce
I rozpędziło mgły, leżące w drodze,
Wnet dzięki jego dobroczynnym blaskom
Uspokoiły się głębie i statki
Dwa ujrzeliśmy, ku nam zmierzające —
Jeden z Koryntu, drugi z Epidamnu.
Lecz nim dotarły — ach! zamilknąć wolę,
Ty sam odgadnij, książę, mą niedolę.
Książę. Nie, nie urywaj tak, starcze, mów dalej,
Acz nie przebaczę, litować się mogę.
Egeon. Czemuż bogowie tak nie postąpili!
O brak litości nie miałbym powodu
Dziś ich oskarżać! bo nim mogły statki
Pięć mil przepłynąć, o jakąś potężną
Uderzyliśmy opokę, tak silnie,

Że w samym środku strzaskała się nasza
Zbawienna nawa i los, sprowadziwszy
Niesprawiedliwy ten rozwód, w dwóch różnych
Zostawił działach mnie i żonie mojej
Powód rozkoszy i przyczynę troski.
Jej część — tej biednej! — widać, obarczoną
Mniejszym ciężarem, acz nie mniejszym bolem,
Z większą chyżością uniósł wicher z sobą;
Ich troje w naszych ocalili oczach,
Jak nam się zdało, rybacy z Koryntu.
Nas także wkrótce zbawił okręt drugi.
Załoga, słysząc, kto zacz ocaleni,
Miłe rozbitkom sprawiła przyjęcie
I łup rybakom byłaby wydarła,
Gdyby jej statek szybciej żagle niosły,
Lecz tak musiała zawrócić do domu.
Usłyszeliście, jak straciłem szczęście;
Niedola na to przedłużyła życie,
Bym opowiadał tych klęsk moich dzieje.
Książę. Na miłość ku tym, których opłakujesz,
Uczyń mi łaskę i mów, co od owej
Działo się chwili z tobą i z tamtymi.
Egeon. Młodszego syna, lecz ból mój najstarszy,
Po osiemnastu ogarnęła latach
Wielka tęsknica za bratem, więc błagał,
Ażeby sługa (który, pozbawiony
Tak samo brata, nosił jego imię)
Poszedł z nim razem szukać straconego.
Żem ku tamtemu usychał z tęsknoty,
Na zgubęm puścił to, com tak ukochał.
Pięć lat błądziłem po szerokiej Grecyi
I wszystkiem Azyi przetrząsnął wybrzeża
I do Efezu dotarłem z powrotem,
Choć bez nadziei, nie chciałem żadnego
Ominąć miejsca, gdzie się gnieżdżą ludzie.
Tutaj się kończą dzieje mego życia.
I śmierć przedwczesną przyjmę, uszczęśliwion,
Bylem rękojmię miał, że tamci żyją.
Książę. O, Egeonie biedny, przeznaczeniem
Na ostateczną skazany niedolę!
Gdyby to prawom nie było przeciwne,
Naszym przysięgom, koronie, godności,

Których pogwałcić książęta nie mogą,
Chociażby chcieli, wierz mi, dusza moja
Byłaby twoim najlepszym obrońcą,
Ale choć jesteś już na śmierć skazany,
Chociaż wyroku odwołać nie mogę
Bez wielkiej ujmy dla swego honoru,
Okażęć łaskę, jaka jest w mej mocy:
A więc dzień jeden zostawiam ci, kupcze,
Być pomoc dała pomoc dobrych ludzi.
Próbuj przyjaciół, jakich masz w Efezie,
Żebrz lub pożyczaj, byleś zebrał sumę
I żył, inaczej trzeba będzie umrzeć.
Weź go, dozorco, pod swą straż!
Dozorca. Tak, książę.
Egeon. Choć mu nadzieja ni pomoc nie służy,
Egeon życie do jutra przedłuży.

SCENA II.

Plac publiczny.

(Wchodzą Antyfolus i Dromio z Syrakuzy, tudzież Kupiec).

Kupiec. A więc udajcie, żeście z Epidamnu,
Lub konfiskacie ulegnie wasz towar;
Toć właśnie dzisiaj kupiec z Syrakuzy
Został przytrzyman za to, że tu przybył,
A że swej głowy nie ma czem okupić,
Umrze, stosownie do ustawy miasta,
Nim na zachodzie padnie senne słońce.
Oto pieniądze, które miałem od was.
Antyfolus z Syrakuzy *(do Dromia).* Weź je i ponieś, Dromio, pod Centaura
I czekaj na mnie w gospodzie, aż wrócę.
Godzinę jeszcze mamy do obiadu,
Do tego czasu przyjrzę się mieszkańcom,
Przypatrzę kupcom i pałacom miasta,
A potem przyjdę i spać się położę,
Podróże bowiem wielce mię zmęczyły;
Teraz się oddal.
Dromio z Syrakuzy. Niejeden może wziąłby was za słowo
I poszedł sobie z tak porządną kiesą.
(Dromio z Syrakuzy odchodzi).

Antyfolus z Syrakuzy *(do kupca).* Wierny to sługa, panie; [nie raz jeden,
Gdy mnie ogarnie troska albo smutek,
On swymi żarty powrócił mi humor.
Cóż? nie przejdziecie się ze mną po mieście?
Potem na obiad pójdziem do gospody.
Kupiec. Zaproszon jestem do pewnego kupca,
Zyskowną sprawę mam nadzieję ubić;
Przebaczcie zatem, mój panie; po piątej,
Jeżeli chcecie, spotkam was na rynku
I pozostanę, aż spać nie pójdziecie,
Lecz teraz pilny woła mnie interes.
Antyfolus z Syrakuzy. Do zobaczenia; sam się zatem [puszczę
I powałęsam się nieco po mieście.
Kupiec. A więc waszemu poruczam was szczęściu.
Antyfolus z Syrakuzy. Kto mnie poruczać chce mojemu [szczęściu,
Ten mnie porucza temu, czego nie mam.
Jestem tak w świecie, jak kropelka wody,
Co w oceanie szuka drugiej kropli,
A co, szukając swojej towarzyszki,
Niepostrzeżona ginie, nie znalazłszy.
Tak ja, szukając matki mej i brata,
Sam, nieszczęśliwy, nie znalazłszy, ginę.
(Wchodzi Dromio z Efezu).
Moich urodzin chodzący almanach,
Cóż to? dlaczego powracasz tak prędko?
Dromio z Efezu. Prędko? powiedzcie raczej, że tak późno.
Kapłon się pali, prosię z rożna spada,
Zegar już wybił dwunastą, a pierwszą
Wybiła moja pani na mej gębie.
Tak jej gorąco, że wystygł wasz obiad,
A obiad wystygł, żeście nie wrócili,
Nie wróciliście zaś, boście nie głodni,
A nie głodniście, boście post złamali.
Lecz my, co modły spełniamy i posty,
Za wasze grzechy dostajemy chłosty.
Antyfolus z Syrakuzy. Przestań mleć waćpan, a powiedz [mi, proszę,
Gdzie masz pieniądze, któreś wziął ode mnie.
Dromio z Efezu. Szostaczek, panie, któryś dał mi w środę

Na podogonie dla mojej imości?
Siodlarz go dostał, ja go nie schowałem.
Antyfolus z Syrakuzy. Do żartów dzisiaj wcale nie mam [chęci;
Powiedz, a nie kpij: coś zrobił z pieniędzmi?
Jesteśmy tutaj obcymi, jak możesz
Tyle pieniędzy zostawiać bez straży?
Dromio z Efezu. Proszę was, panie, żartujcie przy stole;
Tu z dokumentem pani mnie posłała.
Aby mieć na czem pisać wasze grzechy,
Tak dokumentnie skórę mi garbuje:
Nie wiem, dlaczego, panie, wasz żołądek,
Jak mój, na obiad bez posłów nie dzwoni.
Antyfolus z Syrakuzy. Idźże, idź, Dromio, to niewczesne [żarty,
Schowaj je sobie na właściwszą porę.
Gdzież owo złoto, którem ci powierzył?
Dromio z Efezu. Mnie, panie, złota wcaleś nie powierzył.
Antyfolus z Syrakuzy. Skończ swe błazeństwa, mości [panie błaźnie,
A powiedz lepiej, jakeś mi się sprawił?
Dromio z Efezu. Mą sprawą było pójść po was na rynek
I pod Feniksa sprowadzić na obiad;
Pani ma czeka razem z swoją siostrą.
Antyfolus z Syrakuzy. A teraz powiedz, jakem chrześci- [janin,
W którem bezpiecznem miejscu skryłeś złoto,
Bo ci roztrzaskam krotochwilny czerep,
Co żarty stroi, gdym ja źle nastrojon;
Cóżeś z tysiącem mych czerwieńców zrobił?
Dromio z Efezu. Mam ci ja kilka czerwieńców na głowie,
Kilka od mojej imości na skórze,
Lecz razem nie mam tysiąca czerwieńców.
Gdybym je zwracać miał twej łaskawości,
Pewnie nie zgarniałbyś ich zbyt cierpliwie.
Antyfolus z Syrakuzy. »Od mojej pani!« jaką ty masz [panią?
Dromio z Efezu. Twej żony, pani mojej z pod Feniksa,
Poszczącej, póki nie wrócisz na obiad,
I błagającej, byś śpieszył na obiad.
Antyfolus z Syrakuzy. Cóż to? kpisz sobie ze mnie [w żywe oczy,
Choć zakazałem? Masz tu, mości błaźnie!

Dromio z Efezu. Co chcecie, panie? powstrzymajcie rękę,
Bo jak nie, panie, to ja dam drapaka.
(Dromio z Efezu wychodzi).
Antyfolus z Syrakuzy. Na moje życie! w jakiś chytry [sposób
Zabrano temu trutniowi me złoto.
Mówią, że pełno oszustów w tem mieście;
Czarnoksiężników, tumaniących oczy,
I jędz krwiożerczych, skrytych rzezimieszków,
Zręcznych kuglarzy i oberwipołciów
I tym podobnej, niesfornej hołoty.
Jeśli to prawda, czas w drogę! A teraz
Iść pod Centaura trzeba jak najprędzej,
Choć już zapewne nie ujrzę pieniędzy.
(Wychodzi).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Plac publiczny.

(Wchodzą Adryana i Lucyana).

Adryana. Ani małżonek nie wraca ni sługa,
Com go posłała, by poszukał pana.
Pewno już będzie druga, Lucyano?
Lucyana. Jakiś, być może, kupiec go zaprosił
I prosto z targu poszli gdzieś na obiad.
Chodź jeść, ma siostro, i przestań się gniewać,
Wszakże mężczyzna panem swej wolności,
A jego panem czas; jak czas rozkaże,
Tak i mężczyzna wraca albo idzie,
A zatem, siostro, bądź nieco cierpliwszą.
Adryana. Mająż panować nad naszą swobodą?
Lucyana. Tak, bo zajęcia poza dom ich wiodą.
Adryana. Niech ja tak zrobię, zobaczysz, co powie.
Lucyana. Uzdą dla naszej woli są mężowie.
Adryana. Dźwigać tej uzdy osieł się nie wzbrania.
Lucyana. Ból jest pogromcą wszego wyuzdania.
Więzy ma wszystko, co żyje w przestworzu,
Czy to na niebie, na ziemi, czy w morzu.

Ryby, zwierzęta, ptactwo, wszelkie płazy
Spełniają kornie swych samców rozkazy.
I człek, co władnie ponad tymi płody,
Pan wielkich lądów i burzliwej wody,
Duszą obdarzon i bystrym rozumem,
Który go stawia ponad zwierząt tłumem,
Jest panem żony, on to nad nią włada,
Więc się do niego stosować wypada.
Adryana. Nie chcesz iść za mąż, straszy cię obroża.
Lucyana. Nie, trosk się boję małżeńskiego łoża.
Adryana. Gdy wyjdziesz za mąż, czy zniesiesz obrożę?
Lucyana. Nim zacznę kochać, w uległość się włożę.
Adryana. A gdy małżonek ku innej się rzuci?
Lucyana. Zniosę cierpliwie, aż do domu wróci.
Adryana. Łatwa cierpliwość, gdzie nie drażnią człeka,
Łatwa jest słodycz, gdzie ból nie dopieka,
I nędzarzowi, gnanemu rozpaczą,
Łatwo powiedzieć, by dał spokój płaczom.
Lecz niech się tylko smutki na nas zwalą
Tak jeszcze większym oddamy się żalom.
Ty, że ci serca nie miał kto zakrwawić,
Chcesz mnie bezwładną cierpliwością zbawić;
Lecz cierpliwości wnet cię mąż oduczy,
Gdy ci raz w życiu porządnie dokuczy.
Lucyana. Ha! trza wyjść za mąż, lecz tylko na próbę.
Sługa twój wraca, więc znajdziesz swą zgubę.
(Wchodzi Dromio z Efezu).
Adryana. Czy pan twój wraca? czy masz go pod ręką?
Dromio z Efezu. Nie! ale za to on mnie miał pod dwiema rękami; jak to dwoje mych uszu poświadczyć może.
Adryana. Czyś z nim co mówił? znasz jego zamysły?
Dromio z Efezu. Oj, na mych uszach swe zamysły spisał:
Przeklęta ręka, trudno ją zrozumieć!
Lucyana. Czyż się tak niejasno tłómaczył, że nie mogłeś pojąć jego myśli?
Dromio z Efezu. Nie! tak dobitnie mi wypalił, żem aż za dobrze pojął to jego palnięcie, a jednak tak niewyraźnie, że trudno mi było to pochwycić.
Adryana. Lecz powiedz, błagam, czy wróci do domu?
Widać, ogromnie troszczy się o żonę.
Dromio z Efezu. Pan mój szaleje, jakby dostał rogów.
Adryana. Co ty mi, łotrze, pleciesz znów o rogach.
Dromio z Efezu. Nie to, ażeby ktoś mu przypiął rogi,

Tylko powiadam: pan całkiem oszalał.
Kiedym go prosił, żeby szedł na obiad,
To on mnie pytał o tysiąc czerwieńców.
»Na obiad« — rzeknę. — »Czerwieńce«, odrzeknie.
»Pieczeń się spali«. — »Czerwieńce«, odrzeknie.
Czy pan powróci?« — »Czerwieńce«, odrzeknie.
»Gdzie te czerwieńce, którem dał ci, łotrze?«
»Gęś się spaliła«. — »Czerwieńce«, odrzeknie.
»Pani ma« — rzeknę. »Do kata z twą panią,
Nie znam twej pani; precz mi z twoją panią«.

Lucyana. On tak powiedział?

Dromio z Efezu. Tak mój pan powiedział:
»Nie mam« — powiedział — »domu, żony, pani«.
Tak to poselstwo, zamiast na języku,
Na grzbiecie swoim przynoszę do domu,
Gdyż — koniec końcem — wytłukł mnie porządnie.

Adryana. Wracaj, nędzniku, sprowadź go do domu.

Dromio z Efezu. Wracaj i przynieś znów cięgi do domu.
Przebóg! innego poszukajcie posła.

Adryana. Ruszaj, lub głowę na krzyż ci rozwalę.

Dromio z Efezu. Krzyż ten poświęci pan nowymi cięgi.
Przez was mieć będę poświęcaną głowę.

Adryana. Precz, ty paplaczu, idź, przyprowadź pana!

Dromio z Efezu. Czym ja tak gładki z wami, jak wy ze [mną,
Byście rzucali mną, by jaką piłką?
On mnie odbija, pani ciskasz w górę,
Gdy tak, to wprzódy zaszyjcie mnie w skórę.
(Wychodzi).

Lucyana. Ta niecierpliwość jak szpeci twe lica!

Adryana. On się innemi dziewkami zachwyca,
A ja tu w smutku swoje życie wiodę.
Jeśli mi lata zabrały urodę
Z mej biednej twarzy, to wina w tem czyja?
Ciężkie me zwroty, dowcip mi nie sprzyja,
Stała się twardą ma wymowa płynna,
To, jak głaz zimna, jego dusza winna.
Jeśli go piękne zachwycają stroje,
Z czyjejż przyczyny brzydsze suknie moje?
Jeżeli ze mnie stała się ruina,
To on mnie zniszczył; na nim ciąży wina,
Żem tak pobrzydła; wszystek czar powróci,
Gdy wzrok swój jasny znowu na mnie rzuci.

On na żer rwie się gdzieś za obce płoty,
A ja, rzucona, umieram z zgryzoty.

Lucyana. Porzuć tę zazdrość, co cię tak katuje!

Adryana. Jedynie głupiec takich krzywd nie czuje!
Mąż mój swe hołdy składa byle komu,
Bo wszak inaczej pozostałby w domu.
Chciał mnie łańcuszkiem obdarować, biedną:
Gdybyć zapomniał tylko rzecz tę jedną,
Byłoby wciąż mu drogiem moje łoże!
Klejnot swą piękność, widzę, stracić może,
Choćby w najlepszej oprawie; zostanie
Złotem, co złote, ale używanie
Zbyt częste blask mu odbiera; tak właśnie
I dobre imię w rękach fałszu gaśnie.
Nie umiem wdziękiem przykuć go do łona,
Niech zatem we łzach moje życie kona.

Lucyana. Co to z nas robi ta zazdrość szalona!
(Wychodzą).

SCENA II.

Ten sam plac publiczny.

(Wchodzi Antyfolus z Syrakuzy).

Antyfolus z Syrakuzy. Złoto, co wziął je Dromio ode [mnie,
Bezpiecznie w schowku pod Centaurem leży.
Wierny mój sługa wyszedł mnie poszukać.
Według rachuby i słów gospodarza
Nie mogłem z Dromiem rozmawiać, prócz wtedy,
Kiedym go z rynku odsyłał: ot idzie.
(Wchodzi Dromio z Syrakuzy).
Cóż, mościpanie, wywietrzały figle?
Pożartuj sobie, jeśli lubisz cięgi.
Nie znasz »Centaura«? nie brałeś pieniędzy?
Ja pod »Feniksem« mieszkam? Czyś oszalał,
Żeś tak szalone dawał odpowiedzi.

Dromio z Syrakuzy. Kiedyż to było? jakie odpowiedzi?

Antyfolus z Syrakuzy. Niedawno temu, niema pół go- [dzinki.

Dromio z Syrakuzy. Jam cię nie widział, panie, od tej [chwili,
Gdy pod Centaura wysłałeś mnie z złotem.

Antyfolus z Syrakuzy. Nie chciałeś, łotrze, przyznać, żeś [wziął złoto,
O paniś gadał i jakimś obiedzie,
Ale poczułeś, jak mnie to bawiło.
Dromio z Syrakuzy. Cieszę się bardzo, widząc was we- [sołym,
Powiedzcie, panie, co znaczą te żarty?
Antyfolus z Syrakuzy. Co? znowu szydzisz ze mnie w żywe [oczy?
Żartuję, myślisz? Masz tu raz i drugi.
(Uderza go).
Dromio z Syrakuzy. Panie! ze żartów zrobiła się prawda!
Za jaki handel to porękawiczne?
Antyfolus z Syrakuzy. Że poufale nieraz ci pozwalam
Błaznować nieco, że żartuję z tobą,
Jesteś bezczelnym, dufając w mą przyjaźń,
I chwilę smętku zakłócasz paplaniem.
Gdy słońce świeci, niechże owad igra,
Ale gdy zgaśnie, niech włazi do dziury.
Nim zaczniesz żarty, popatrz na oblicze,
Do mego wzroku stosuj zachowanie,
Lub kij metodę wbije ci do pałki.
Dromio z Syrakuzy. Pałką to zwiecie? Gdybyście tylko zechcieli dać sobie pokój z kijem, toby ta pałka pozostała głową. Jeżeli nie przestaniecie bić tak dalej, to trzeba sobie będzie sprawić opałkę dla niej, aby ją ochronić przed waszą pałką; albo też będę musiał rozumu szukać w łokciach. Panie! powiedźcie, proszę, za co mnie bijecie?
Antyfolus z Syrakuzy. Nie wiesz, za co?
Dromio z Syrakuzy. Nie, panie, wiem tylko tyle, że jestem obity.
Antyfolus z Syrakuzy. Mam ci powiedzieć za co?
Dromio z Syrakuzy. Tak panie, i dlaczego, bo jak to [mówią,
Każde »za co« ma swoje »dlaczego«.
Antyfolus z Syrakuzy. Za co? żeś ze mnie żartował — [dlaczego?
Oto dlatego, żeś powtórzył żarty.
Dromio z Syrakuzy. Zostałem dziś obity za czczy, wido- [cznie, dym:
W tem »za co« i »dlaczego« nie wabi sens ni rym!
Zresztą dziękuję...

Antyfolus z Syrakuzy. Dziękujesz? A za co?
Dromio z Syrakuzy. Prawdziwie, panie, dziękuję wam za to coś, które dostałem od was za nic.
Antyfolus z Syrakuzy. Poprawię się przy najbliższej sposobności i za coś nie dam ci nic. Ale powiedz, mości panie, czy już czas na obiad?
Dromio z Syrakuzy. Naszemu mięsu brak jeszcze tego, na czem mnie nie zbywa.
Antyfolus z Syrakuzy. Czego mu braknie?
Dromio z Syrakuzy. Skropienia.
Antyfolus z Syrakuzy. A więc jest suche?
Dromio z Syrakuzy. Dlatego, proszę, byście go nie jedli.
Antyfolus z Syrakuzy. Z powodu?
Dromio z Syrakuzy. Zrobiłoby was, panie, cholerykiem i obilibyście mnie znowu.
Antyfolus z Syrakuzy. Ucz się żartować w odpowiednim [czasie.
Czas jest na wszystko.
Dromio z Syrakuzy. Miałbym ochotę wam zaprzeczyć, ale jesteście cholerykiem.
Antyfolus z Syrakuzy. Mości panie, a na jakiej zasadzie?
Dromio z Syrakuzy. Na zasadzie tak jasnej, jak jasna, łysa czaszka samego tatusia Czasu.
Antyfolus z Syrakuzy. Posłuchamy.
Dromio z Syrakuzy. Na odzyskanie włosów niema czasu dla człowieka, który wyłysiał z natury.
Antyfolus z Syrakuzy. A nie mógłbym ich odzyskać przez kaucyę i przysądy?
Dromio z Syrakuzy. I owszem, składając kaucyę za perukę i przysądzając sobie stracone włosy.
Antyfolus z Syrakuzy. Dlaczego czas tak skąpi włosów, choć to jest porost tak pospolity.
Dromio z Syrakuzy. Ponieważ to jest błogosławieństwo, którem obdarza bydlęta, a co ludziom poskąpił we włosie, to im przysporzył w dowcipie.
Antyfolus z Syrakuzy. Jakto? przecież niejeden człowiek ma więcej włosów, niż dowcipu.
Dromio z Syrakuzy. Niema ani jednego człowieka, któryby nie miał dostatecznego dowcipu na ich stracenie.
Antyfolus z Syrakuzy. Jakto? zakonkludowałeś przecie, że ludzie włosiści to głupcy bez dowcipu.
Dromio z Syrakuzy. Im głupszym jest człowiek, tem

łatwiej je straci, ale, dodać trzeba, z pewnym rodzajem przyjemności.

Antyfolus z Syrakuzy. Z jakiego powodu?

Dromio z Syrakuzy. Nawet z dwóch powodów i do tego zdrowych.

Antyfolus z Syrakuzy. Proszę cię, chyba niezdrowych.

Dromio z Syrakuzy. Właściwie z pewnych.

Antyfolus z Syrakuzy. Chyba nie z pewnych, w tak niepewnej sprawie.

Dromio z Syrakuzy. A więc z niejakich.

Antyfolus z Syrakuzy. Wymień te powody.

Dromio z Syrakuzy. Pierwszy, że nie potrzebuje tracić pieniędzy na trefienie, a drugi, że przy obiedzie nie wpadnie mu włos do rosołu.

Antyfolus z Syrakuzy. Ale przez cały ten czas chciałeś mi dowieść, że niema czasu na wszystko.

Dromio z Syrakuzy. Tak jest, łaskawy panie, udowodniłem mianowicie, że niema czasu do odzyskania włosów, straconych przez naturalne wyłysienie.

Antyfolus z Syrakuzy. Ale dowód twój nie był rzeczowy co do pytania, dlaczego niema czasu na odzyskanie utraconych włosów?

Dromio z Syrakuzy. A więc dowód ten naprawię w ten sposób: Czas sam jest łysy, dlatego, aż do końca świata, będzie miał łysych towarzyszy.

Antyfolus z Syrakuzy. Wiedziałemci ja, że konkluzya będzie łysa. Lecz cicho, ktoś nam znaki tam daje.

(Wchodzą Adryana i Lucyana).

Adryana. Tak, Antyfolu, dziw się i marszcz czoło,
Inne kochanki darz uśmiechem słodkim,
Jam nie twa żona, jam nie Adryjana!
Czas ten przeminął, gdzieś składał przysięgi,
Że dla twych uszu niema już muzyki,
Dla twoich oczu pięknego obrazu,
Dla twojej ręki miłego dotknięcia,
Dla podniebienia twego smacznej strawy,
Chyba, że ja to przemówię do ciebie,
Że spojrzę na cię, że dotknę twej ręki,
Chyba, że ja ci podam pożywienie.
Czem się to dzieje, mężu, czem się dzieje,
Że sam dla siebie takeś się odmienił?
Dla siebie, mówię, boś się zmienił dla mnie,
Co, nierozłączna i wcielona ciebie,

Twojego wnętrza jestem lepszą cząstką,
O, nie odrywaj tak się sam ode mnie,
Bo, wiedz, mój miły, prędzej kroplę wody
Wrzucisz do nurtów spienionych i prędzej
Wyjmiesz ją z morza bez najmniejszej zmiany,
Nie umniejszoną ani też zwiększoną,
Niźli mi siebie zabierzesz beze mnie.
Jakby to ciebie przejęło do głębi,
Gdybyś usłyszał, żem jest swawolnicą
I że to ciało, poświęcone tobie,
Jakiś lubieżnik splugawił swą chucią?
Nie plułbyś na mnie? nie skopał nogami?
I w twarz nie rzucił imienia małżonki?
Wszetecznej skóry nie ściągnąłbyś z czoła?
Pierścienia z kłamnej nie odciąłbyś ręki?
Nie skruszyłbyś go przekleństwem rozwodu?
Wiem, że to możesz i dlatego zrób to!
Mam już na sobie plamę wiarołomstwa,
Krew moja grzeszną zarażona chucią,
Bo jeśli jedno tworzymy my dwoje,
A tyś fałszywy, to i w moich żyłach
Mieści się również trucizna; twój dotyk
I mnie, wiedz o tem, zmienia w nałożnicę.
Nie łam przysięgi, szanuj ślubne łoże,
A żyć będziemy — ja w czci, ty w honorze.

Antyfolus z Syrakuzy. Do mnie się, pani, zwracasz? nie [znam ciebie.
Jestem w Efezie ledwie dwie godziny:
Twojemu miastu i twym słowom obcy,
Wytężam dowcip, każde słówko ważę,
Pojąć choć jedno, tego nie dokażę.

Lucyana. A fe! mój bracie, świat się z tobą zmienił!
Kiedyż tak z moją przemawiałeś siostrą?
Wysłała Dromia, byś przyszedł na obiad.

Antyfolus z Syrakuzy. Dromia?

Dromio z Syrakuzy. Mnie?

Adryana. Ciebie — i oto z czemeś odeń wrócił:
Bił cię — mówiłeś — i bijąc, zaprzeczył,
Jakoby dom miał tu i żonę we mnie.

Antyfolus z Syrakuzy. Czyś ty już przedtem rozmawiał [z tą damą?
W jakim to celu wyście się sprzysięgli?

Dromio z Syrakuzy. Ja, panie? Nigdym nie widział jej [dotąd.
Antyfolus z Syrakuzy. Kłamiesz, nędzarzu, bo wszakże [na rynek
Te, a nie inne przyniosłeś mi słowa.
Dromio z Syrakuzy. W mem całem życiu nigdym z nią [nie mówił.
Antyfolus z Syrakuzy. Jakżeż nas może wołać po na- [zwisku?
Chyba, że w jakiem przemawia natchnieniu.
Adryana. Z twoją godnością, jak to źle się godzi
Tak się sprzysięgać z głupim niewolnikiem
I przeciw własnej podszczuwać go żonie!
Że mnie porzucasz, ból się we mnie mieści,
Ty swą pogardą nie zwiększaj boleści.
Chodź! niechże twoje obejmę ramiona:
Wszak mąż jest wiązem, winogradem żona,
I oto na mnie przechodzi twa siła,
Gdy moja słabość z nią się połączyła.
Dziś jakieś zielsko dzieli nasze drogi:
Bluszcz pasorzytny, nędzny mech i głogi;
Że ich nie tępisz, twoje soki piją,
I tylko na to, by cię zniszczyć, żyją.
Antyfolus z Syrakuzy. Czyż się przeciwko mnie ten gniew [rozpienił?
A może we śnie jam się z nią ożenił?
Może to wszystko jeszcze sen głęboki?
Na oczy, uszy padłyż mi uroki?
Lecz nim wątpliwa wyjaśni się sprawa,
Wezmę, co dzisiaj przypadek mi dawa.
Lucyana. Idźże, idź, Dromio, każ, by stół nakryli.
Dromio z Syrakuzy. Różańcu święty! żegnać się w tej [chwili!
To kraj czarownic i duchów! O, biada!
Człek z upiorami i z sowami gada!
Trzeba ich słuchać, trza chodzić, jak każą,
Bo dech nam wyssą, sińcami obdarzą.
Lucyana. Nie odpowiadasz, a coś mruczysz zasię,
Dromio, ty trutniu, ślimaku, głuptasie!
Dromio z Syrakuzy. Czy to nie prawda, panie, żem [przemienion?
Antyfolus z Syrakuzy. Duszą — to prawda, i jam tak [przemienion.

Dromio z Syrakuzy. Nie tylko duszą, panie, lecz i ciałem.
Antyfolus z Syrakuzy. Masz swoją postać.
Dromio z Syrakuzy. Nie! małpą zostałem.
Lucyana. Jeśliś przemienion, to w osła.
Dromio z Syrakuzy. Prawdziwie,
Bo jeżdżą na mnie i ku trawce żywię
Wielką tęsknotę... Osieł! to skończona
Sprawa: wszak znałbym ją, jak zna mnie ona.
Adryana. Chodź, chodź! nie myślę już dłużej, jak głupiec,
Trzymać swych palców koło ócz i płakać,
By z mej boleści szydził pan i sługa.
Panie, na obiad; Dromio, ty strzeż bramy.
Dzisiaj na górze będziem jeść, mój mężu,
I ty mi wyznasz tysiąc pustych grzeszków.
Słuchaj, jeżeli kto spyta o pana,
Powiedz, że wyszedł, nie wpuszczaj nikogo.
Chodź, siostro; Dromio, stój pilnie na straży.
Antyfolus z Syrakuzy. Czy to na jawie, czy też mi się [marzy?
Jestem na ziemi, w piekle, czy też w niebie?
Czym rozum stracił? nie poznaję siebie!
Wypełnię wszystko, czego chcą ode mnie,
Na wolę losów płynąc przez te ciemnie.
Dromio z Syrakuzy. Panie, u bramy mamże mieć ba- [czenie?
Adryana. Tak, bo ci plecy na miazgę przemienię.
Lucyana. Chodź, Antyfolu, wystygnie jedzenie.
(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Tamże.

(Wchodzą: Antyfolus z Efezu, Dromio z Efezu, Angelo i Baltazar).

Antyfolus z Efezu. Panie Angelo, musicie wybaczyć;
Żona ma gderze, gdy na czas nie wracam.
Wy jej powiedzcie, żem był w waszym sklepie,
Aby zrobione dla niej ujrzeć kolie,

I że je rano jutro przyniesiecie.
Ten łotr mi w żywe wmawia tutaj oczy,
Żem go na rynku spotkał, żem go obił,
Żem zwrotu żądał tysiąca czerwieńców
I że się żony wyparłem i domu;
Gadaj, pijaku, co ty sobie myślisz?
Dromio z Efezu. Wiem to, co wiem, mój panie, gadajcie
[wy, co chcecie,
Wszak waszej ręki ślady na moim widać grzbiecie,
Na inkaust zmieńcie cięgi, mój grzbiet na pergaminy,
A wszystko, co myślałem, zgadniecie tej godziny.
Antyfolus z Efezu. Myślę, że osieł z waści.
Dromio z Efezu. Prawdziwie, jestem osłem,
Żem tyle krzywd udźwignął, że tyle cięgów zniosłem.
Winienem był powierzgać, pokazać wam kopyta,
A osłabyście w dy poczuli aż do syta.
Antyfolus z Efezu Rozpędźcie, Baltazarze, te troski; ot
[śniadanie
I dobre moje ch na wasze powitanie!
Baltazar. Biesiady ja ie cenię, lecz twoje chęci, panie!
Antyfolus z Efezu. Za mięso i za rybę nie starczą dobre
[chęci:
Niżeli powitanie, więcej nas pieczeń nęci,
Baltazar. Postawić dobrą pieczeń, to sprawa lada chłystka.
Antyfolus z Efezu. A witać — jeszcze bardziej, bo słowem
[treść jest wszystka.
Baltazar. Niech będzie potraw mało, dobrego wiele słowa,
A oto jest i bankiet, biesiada jest gotowa.
Antyfolus z Efezu. O tak! skromnych gości, dla ską-
[pych gospodarzy
Jedzenie u mnie proste, niech gość się mój nie skarży.
Gdzieś indziej lepsza pieczeń, lecz nigdzie szczersze
[serce.
Lecz cóż to? dom zamknięty! Idź, niech otworzą
[dźwierce!
Dromio z Efezu. Joasiu! Cesiu! Julciu! Brygidko i Doroto!
Dromio z Syrakuzy *(za drzwiami).* Ty durniu; koniu młyń-
[ski, kapłonie, idyjoto,
A pójdziesz ty do kojca! po co aż tyle wołać,
Jeżeli nawet jednej niełatwo jest podołać!
Dromio z Efezu. Jakiż tam dureń stróżem? mój pan stoi
[na dworze!

Dromio z Syrakuzy. Skąd przyszedł, niechaj wróci, bo
[się zaziębić może.
Antyfolus z Efezu. Cóż, szelmo? otwórz, radzę, jeżeli nie
[chcesz biedy!
Dromio z Syrakuzy. Wprzód wy powiedzcie »po co«, a ja
[wam powiem »kiedy«.
Antyfolus z Efezu. Ażeby spożyć obiad; jesteśmy obaj
[głodni.
Dromio z Syrakuzy. Przybądźcie innym razem, to będzie
[wam wygodniej.
Antyfolus z Efezu. Któż to me drzwi zamyka i jeszcze
[drwiny ciska?
Dromio z Syrakuzy. Odźwierny tymczasowy, a Dromio
[z nazwiska.
Dromio z Efezu. Okradłeś mnie z imienia, oraz z urzędu,
[biesie!
Choć tamto wstyd mi sprawia, kredytu to nie niesie,
Gdybyś na mojem miejscu był rano Dromiem został,
Byłbyś za swoje imię nazwisko osła dostał.
Łucya *(za drzwiami).* Cóż to za wrzaski, Dromio! Któż do
[drzwi się dobywa?
Dromio z Efezu. Otwórzże panu, Łucyo.
Łucya. Zapóźno; jakem żywa!
Powiedz to panu swemu!
Dromio z Efezu. Śmiech bierze, co to będzie!
Przysłowie znasz: »niech każdy siędzie na swojej
[grzędzie«.
Łucya. A »kogo w dom nie proszą, na kijach go wy-
[noszą«.
Dromio z Efezu. Łucyą się zwiesz? o Łucyo! twe wargi
[mądrze głoszą.
Antyfolus z Efezu. Otworzysz, kochaneczko? w tobie na-
[dzieja cała!
Łucya. Ja was się zapytałam?
Dromio z Syrakuzy. I »nie« odpowiedź brzmiała.
Dromio z Efezu. Więc walmy, panie, w wrota!
Antyfolus z Efezu. Otworzysz, ty ladaco?!
Łucya. Mój panie, odpowiedzieć możecież wy mi »na co«?
Dromio z Efezu. Panie, rozbijmy bramę!
Łucya. Rozbijcie, gdy ochota.
Antyfolus z Efezu. Zapiszczysz, ty kochańcu, skoro roz-
[walę wrota...
Łucya. I owszem, a w areszcie nie dobre będą kije?

Adryana *(za sceną)*. Któż wrzaski te wyprawia? Któż to [tak we drzwi bije?
Dromio z Syrakuzy. To jacyś ulicznicy tak niepokoją [miasto.
Antyfolus z Efezu. Ty? żono! czemuż zaraz nie przyszłaś [tu, niewiasto?
Adryana. Twa żona, mości łotrze? a idź, co tchu ci stanie!
Dromio z Efezu. Żałować będzie łotra, skoro się włamiesz, panie.
Angelo. Ni witań tu, ni strawy; choć jednoby się zdało.
Baltazar. Był spór, co z nich jest lepsze, i nic nam nie [zostało.
Dromio z Efezu. Ugościć ich nareszcze pewnieby wypadało.
Antyfolus z Efezu. Pójdziemy stąd gdzieindziej; zbyt ostry [wiatr tu wieje.
Dromio z Efezu. Wy macie płaszcz swój, panie, więc dobrze wam się dzieje;
Lecz my na zimnie stoim, gdy tam się dymi z rożna;
W istocie, na tę zdradę całkiem oszaleć można.
Antyfolus z Efezu. Przynieście drąg mi jaki, a wrota te [rozwalę.
Dromio z Syrakuzy. A ja ci łeb roztrzaskać nie będę bał [się wcale.
Dromio z Efezu. A ja cię stąd wymiotę bez wielkiej zbyt [roboty!
Dromio z Syrakuzy. To widać, że lubicie, o panie mój, [wymioty!
Antyfolus z Efezu. Jak długoż wy mnie jeszcze trzymać [będziecie chcieli?
Dromio z Syrakuzy. Wprzód ptaka wskaż bez pierza i rybę [wskaż bez skrzeli.
Antyfolus z Efezu. Roztrzaskam drzwi, pobiegnij i zaraz [wróć z baranem.
Dromio z Efezu. Z baranem, lecz bez wełny... Hej! dam ja [ci z mym panem!
Za rybę twą bez skrzeli, za ptaki twe bez pierzy,
Dziś w ciebie, łotrze jeden, wnet baran nasz uderzy.
Antyfolus z Efezu. Baran żelazny przynieś mi tej chwili.
Baltazar. Niech na cierpliwość, duch się twój wysili:
Wstępujesz w szranki przeciw własnej sławie
I wciągasz przytem w podejrzenia obręb
Nienaruszony honor swej małżonki.

Chciej zważyć jedno: doświadczony rozum,
Jej dawna cnota, jej skromność, jej lata,
Świadczą, że jest w tem nieznany ci powód.
Niema wątpienia, że się uniewinni,
Czemu kazała zamknąć drzwi przed tobą;
Słuchaj mej rady: chodźmy stąd cierpliwie
I zjedzmy razem obiad pod Tygrysem:
Koło wieczora wrócisz sam do domu
I poznasz powód takiej upartości.
Jeżeli gwałtem włamiesz się do wnętrza,
Teraz, w dzień biały, gdy wre życie wokół,
Pójdziesz odrazu na język pospólstwa;
Motłoch się zwróci, skłonny do podejrzeń,
Przeciw czci twojej, dotąd nieskalanej,
Błoto wstęp znajdzie do twojej dziedziny
I nawet grób twój obryzga, gdy umrzesz.
Bo to jest znamię potwarczego sromu:
Gdy raz zamieszka, nie wyjdzie już z domu.
Antyfolus z Efezu. Masz słuszność, panie. Odejdę w spo- [koju
I będę wesół, choć mi niewesoło.
Znam ja tu w mieście złotoustą dziewkę,
Dziką a miłą, wdzięczną i dowcipną:
U niej jeść będziem; dla tej to dziewczyny
Nieraz mi żona (choć twierdzę, bez racyi)
Suszyła głowę, gdym wrócił do domu.
Do niej pójdziemy na obiad. *(Do Angela)*. Mój panie,
Idź po ten łańcuch; sądzę, że już gotów.
Przynieś go, proszę, zaraz pod »Jeżatkę«,
Tam ona mieszka. Ten łańcuch daruję
(Chociażby tylko na przekorę żonie)
Naszej gosposi: śpiesz się, panie drogi.
Gdy mi tu własne zamykają wrota,
Pukać gdzieindziej bierze mnie ochota.
Angelo. Jeszcze godzinkę, a waćpanu służę.
Antyfolus z Efezu. Dobrze... Ten żarcik koszty sprawia [duże.

SCENA II.

Ten sam plac publiczny.

(Wchodzą Lucyana i Antyfolus z Syrakuzy).

Lucyana. Mógłżeś tak zbyć się męża powinności,
Mój Antyfolu? mógłżeś, o szalony,
W młodości wiośnie zwarzyć kwiat miłości
I gmach rozburzyć, zaledwie wzniesiony?
Jeśliś mą siostrę dla bogactw poślubił,
To dla tych bogactw darz ją pieszczotami,
A jeśliś serce gdzieindziej zagubił,
Ukryj to przed nią, niech ją złuda mami.
Niechajże tego nie czyta w twem oku,
Niech twego wstydu język twój nie głosi,
Mile patrz na nią, udawaj co kroku,
Niech twój występek zbroję cnoty nosi.
Brudne masz serce, miejże czyste skronie,
Płaszczem świętości zakrywaj przewiny:
Kłam, bo i na cóż mówić wszystko żonie?
Głupi to złodziej, co zdradza swe czyny!
Grzech to podwójny, porzucać jej łoże
I przy jej stole wzrokiem mówić o tem:
Srom, spełnian mądrze, chwałą stać się może,
Złe słowo zdwaja brud zbryzganych błotem.
Jakie my biedne! tylko wiarę wzbudźcie
(A my ufamy), że nas miłujecie!
Ręki nie dacie, więc choć rękaw rzućcie;
My się kręcimy tak, jak sami chcecie.
Luby mój bracie, wróć znowu w swe progi;
Pociesz mą siostrę, okryj ją pieszczotą;
Jeśli to spokój ma powrócić drogi,
To kłamać trochę będzie świętą cnotą.

Antyfolus z Syrakuzy. Urocza pani (chociaż nie znam [ciebie,
A skąd ty mnie znasz, któż to pojąć umie?)
Cudem ty jesteś nad cuda na niebie
W swojej postaci, wdzięku i rozumie!
Ucz mnie, co myśleć, o mój skarbie luby,
Promienie światła wprowadź mi do głowy;
Słaby mój umysł, omylny i gruby,
Niechaj odgadnie treść twej ciemnej mowy.

Chcesz z objęć prawdy wyrwać mego ducha?
Chcesz go na nowe zaprowadzić łany?
Boginią jesteś? Moje serce słucha;
Zmień mnie! jam cały twej mocy oddany.
Lecz jeśli złe mnie nie durzą potęgi,
To wiedz: twa siostra nie jest moją żoną!
Jam na jej łoże nie składał przysięgi,
Raczej ku tobie zwraca się me łono.
Po co, syreno, w łez siostrzanych łonie
Rozwdzięczonymi masz mnie wabić głosy?
Śpiewaj dla siebie, a w ślad twój pogonię!
Po srebrnej fali rozwij złote włosy,
Na takie lube złożę się posłanie,
Zachwytu złuda ogarnie mnie słodka;
W błogiej tęsknocie niech skona kochanie:
Szczęsny, kto z śmiercią w takim śnie się spotka.

Lucyana. Szalonyś, panie, rozumś stracił cały.

Antyfolus z Syrakuzy. Tylko z miłości jestem oszalały.

Lucyana. Grzech się, mój panie, przebija w twem oku.

Antyfolus z Syrakuzy. Takiem się stało w twych blasków [potoku.

Lucyana. Patrz, gdzie należy, a oko nie zgaśnie.

Antyfolus z Syrakuzy. O, moja luba, wszystko jedno [właśnie
Patrzeć w pomrokę lub wzrok stracić ostry.

Lucyana. Zwiesz mnie swą lubą! mów tak do mej siostry.

Antyfolus z Syrakuzy. O nie, do siostry twej siostry.

Lucyana. To znaczy: Do mojej siostry.

Antyfolus z Syrakuzy. Nie, do ciebie raczej,
Coś mej istoty lepszą jest istotą,
Mojej źrenicy tą źrenicą złotą,
Mojego serca sercem, szczęściem mojem,
Moją nadzieją i słodkim spokojem,
Niebem mej ziemi, szczytem mego nieba.

Lucyana. Tak! o tem wszystkiem siostrze mówić trzeba.

Antyfolus z Syrakuzy. Ty się zwij siostrą, luba, wszak [niezbicie
Ciebie ja kocham, z tobą chcę wieść życie.
Ja nie mam żony, ty męża, kochanie!
Podaj mi rękę.

Lucyana. Cicho, miły panie!
Pójdę, gdy to się z wolą siostry stanie. *(Wychodzi).*

(Z domu Antyfola z Efezu wychodzi Dromio z Syrakuzy).

Antyfolus z Syrakuzy. Cóż tam nowego, Dromio? Dokądże tak pędzisz?

Dromio z Syrakuzy. Czy znacie mnie, panie? Czy ja jestem Dromio! Czy ja jestem waszym sługą? Czy ja jestem ja?

Antyfolus z Syrakuzy. Jesteś Dromio! Ty jesteś moim sługą! Ty jesteś ty!

Dromio z Syrakuzy. Ja jestem osłem! ja jestem sługą kobiety! ja nie należę do siebie.

Antyfolus z Syrakuzy. Jakiej kobiety sługą? i dlaczego nie należysz do siebie?

Dromio z Syrakuzy. Naprawdę, panie! ja nie należę do siebie, ja jestem własnością kobiety, która ma pretensye do mnie, która mi następuje na pięty, która chce mnie koniecznie mieć.

Antyfolus z Syrakuzy. Jakież ona ma pretensye do ciebie?

Dromio z Syrakuzy. Naprawdę, panie, te same, jakie wy macie do swojego konia; i ona chciałaby mnie mieć, jak jakie bydlę; nie dlatego chce mnie mieć, że ja jestem bydlę, ale dlatego, że sama rozbydlęconem jest stworzeniem, ma do mnie pretensye.

Antyfolus z Syrakuzy. Któż to taki?

Dromio z Syrakuzy. Bardzo uczciwa osoba; tak, osoba, o której mówić nie można, nie dodając co chwila »uczciwszy uszy«. Ja z tej całej gry wychodzę strasznym chudziną, a jednak dziwnie to tłusty ożenek.

Antyfolus z Syrakuzy. Cóż to ma znaczyć ten »tłusty ożenek«?

Dromio z Syrakuzy. Naprawdę, panie. Jest za kucharę i do tego samo sadło; nie wiem, na co by jej użyć można; możeby zrobić z niej lampę i uciec od niej przy jej własnem świetle. Założę się, że łachmany na niej i jej tłuszcz paliłyby się całą polską zimę.

Antyfolus z Syrakuzy. A jakaż jej cera?

Dromio z Syrakuzy. Czarna, jak moje buty, ale jej oblicze wcale nie jest tak czysto utrzymane. Dlaczego? Tak się poci, że trzebaby powyżej butów brnąć w tej kałuży.

Antyfolus z Syrakuzy. Jest to błąd, któremu zaradzi woda.

Dromio z Syrakuzy. Nie, panie! to leży w rdzeniu. Potop Noego na nicby się tutaj nie przydał.

Antyfolus z Syrakuzy. A jak jej na imię?

Dromio z Syrakuzy. Emilka, panie, ale jej nazwisko,

odjąwszy od niego jedną szóstą, oznacza odległość od jednego jej biodra do drugiego.

Antyfolus z Syrakuzy. A więc jest dosyć szeroką?

Dromio z Syrakuzy. Nie jest dłuższą od stóp do głowy, niżeli od biodra do biodra, kulista tak, jak globus. Mógłbym na niej wszystkie kraje znaleść.

Antyfolus z Syrakuzy. A zatem, gdzie leży Irlandya?

Dromio z Syrakuzy. Na lędźwiach; poznałem ją po bagnach.

Antyfolus z Syrakuzy. A Szkocya?

Dromio z Syrakuzy. Poznałem ją po nieużytkach: właśnie na samej dłoni.

Antyfolus z Syrakuzy. A gdzie Francya?

Dromio z Syrakuzy. Na jej czole, uzbrojonem i zbuntowanem w ciągłej wojnie z głową.

Antyfolus z Syrakuzy. A gdzież jest Anglia?

Dromio z Syrakuzy. Szukałem skał wapiennych, ale nie mogłem na niej znaleźć nic białego; myślę jednak, że Anglia znajduje się na jej podbródku, a to z powodu tej słonej cieczy, która płynie pomiędzy nią a Francyą.

Antyfolus z Syrakuzy. Gdzie jest Hiszpania?

Dromio z Syrakuzy. Naprawdę, nie widziałem jej, ale ją czułem w jej gorącym oddechu.

Antyfolus z Syrakuzy. A gdzie Ameryka? gdzie Indye?

Dromio z Syrakuzy. O panie, w jej nosie, mieniącym się rubinami, karbunkułami, szafirami, nachylającym wszystkie swe bogactwa ku gorącym oddechom Hiszpanii, która wysyła całe armaty z ładunkami dla jej nosa.

Antyfolus z Syrakuzy. A Belgia i Niderlandy gdzie leżą?

Dromio z Syrakuzy. O, tak głęboko nie szukałem, panie; krótko mówiąc, ta klępa, czyli czarownica, rości sobie do mnie pretensye; nazywała mnie Dromiem; przysięgała, żem się z nią zaręczył; opowiadała, jakie mam znaki na ciele, mianowicie chrostę na łopatce, znamię na karku i wielką brodawkę na lewem ramieniu, tak że przerażony uciekłem od niej, jak od jakiej czarownicy. Myślę też, że gdyby moje piersi nie były ukute z wiary, a moje serce ze stali, to byłaby mnie przemieniła w psa kusego i kazała mi obracać rożen.

Antyfolus z Syrakuzy. Teraz się zabierz i ruszaj do portu;
Jeśli od brzegów lada wiatr zawieje,

To już w tem mieście nie przepędzę nocy.
Gdy jaki okręt dziś jeszcze odejdzie,
Wracaj na rynek, gdzie czekać cię będę.
Stąd, gdzie nas wszyscy znają, my nikogo,
Trza z manatkami pierwszą zmykać drogą.

Dromio z Syrakuzy. Jak przed niedźwiedziem, człek ucho-
[dzi stroną;
Tak i ja przed tą, co chce być mą żoną.
(Wychodzi).

Antyfolus z Syrakuzy. Tu przemieszkują same czaro-
[wnice,
Dlatego czas stąd uciekać coprędzej,
Przed tą, co mężem mnie zwała, ma dusza
Uczuwa zgrozę; za to piękna siostra,
Mająca tyle szlachetnego wdzięku,
Taka urocza w postaci i mowie,
Sprawia, że mógłbym zdrajcą być dla siebie,
To też, by z smutnym nie spotkać się losem,
Zatkam swe uszy przed syreny głosem.
(Wchodzi Angelo).

Angelo. Otóż i jestem, panie Antyfolu.

Antyfolus z Syrakuzy. Tak, to me imię.

Angelo. Wiem o tem; jest łańcuch.
Miałem się z wami spotkać pod »Jeżatką«,
Alem się spóźnił, łańcuch nie był gotów.

Antyfolus z Syrakuzy. Cóż mam z nim czynić, powiedz-
[cie mi, proszę.

Angelo. Czyńcie, co chcecie; dla was go zrobiłem.

Antyfolus z Syrakuzy. Dla mnie, mój panie? jam go nie
[zamawiał.

Angelo. Nie raz to było, lecz z dwadzieścia razy,
Idźcie do domu, dajcie go swej żonie.
A po wieczerzy to się zjawię u was,
Aby za łańcuch odebrać zapłatę.

Antyfolus z Syrakuzy. Proszę was, panie, bierzcie go tej
[chwili,
Bo nie ujrzycie łańcucha ni złota.

Angelo. Żartowniś z pana; niech wam Bóg da zdrowie.

Antyfolus z Syrakuzy. Co o tem myśleć, któż mi to wy-
[powie?
Ale to myślę, że nie znaleźć człeka,
Który przed takim łańcuchem ucieka.
Snać, że tam ludziom nieznane frasunki,
Gdzie tak rozdają złote podarunki.
Pójdę na rynek i, gdy Dromio wróci,
Pierwszy mnie okręt co tchu stąd wyrzuci.
(Wychodzi).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Ulica.

(Wchodzą: Kupiec, Angelo i Zbiry).

Kupiec. W Zielone Święta dzień spłaty upłynął:
Jam was nie naglił, choć ten termin minął,
I dziś bym jeszcze nie żądał, lecz muszę
Jechać do Persyi i grosz mi potrzebny;
Dlatego, proszę, uiścić się zaraz,
Lub was w tej chwili zbir zaaresztuje.

Angelo. Właśnie tę sumę, którą jestem dłużny,
Mam dziś otrzymać od Antyfolusa;
Chwilkę przed waszem spotkaniem wziął łańcuch
Złoty ode mnie; o godzinie piątej
Mam zań otrzymać pieniądze: więc chodźmy,
Jeżeli łaska, do jego mieszkania,
A sam wam złożę dług z podzięką razem.
(Wchodzi Antyfolus z Efezu i Dromio z Efezu).

Zbir. Właśnie nadchodzą, więc trud wasz zbyteczny.

Antyfolus z Efezu. Ja do złotnika, a ty idź tymczasem
I kup postronek, chcę nim poczęstować
Moją małżonkę i jej sprzymierzeńców,
Że drzwi me własne zamknęli przede mną.
Lecz oto złotnik; biegajże coprędzej,
Kup mi postronek i przynieś do domu!

Dromio z Efezu. Kupię tysiączek rocznego dochodu!
Kupię postronek.
(Dromio z Efezu wychodzi).

Antyfolus z Efezu. Dobrze na tem wyszedł,
Kto wam uwierzył: na wizytę waszą,
Oraz na łańcuch liczyłem napewno,
Lecz się ni złotnik, ni łańcuch nie zjawił.
Byliście zdania, że zbyt długo nasza

Trwałaby przyjaźń, związana łańcuchem,
I z tej przyczyny wcaleście nie przyszli.
Angelo. Schowajcie żarty; tutaj macie notę,
Ile wasz łańcuch waży, do karatu,
Jaki jest wyrób, jakie śliczne złoto:
Wszystko to, razem wziąwszy, trzy dukaty
Więcej wynosi nad mój dług u tego
Obywatela; zapłaćcie mu zaraz:
On jechać musi; czeka tylko na to.
Antyfolus z Efezu. Nie mam w tej chwili pieniędzy przy [sobie,
A oprócz tego mam interes w mieście;
Idźcie z tym kupcem do mojego domu,
Weźcie ze sobą łańcuch i mej żonie
Zlećcie ode mnie: niech wam zań zapłaci;
A może jeszcze będę prędzej od was.
Angelo. A więc jej łańcuch zaniesiecie sami?
Antyfolus z Efezu. Nie, wy go weźcie; jabym mógł się [spóźnić.
Angelo. I owszem, panie; macie łańcuch z sobą?
Antyfolus z Efezu. Jeśli go nie mam ja, to wy go macie;
Lub też wrócicie sobie bez pieniędzy.
Angelo. Nie, proszę bardzo, chodźcie, dajcie łańcuch.
Na tego pana wiatr i przypływ czeka,
A ja go tutaj wstrzymuję zbyt długo.
Antyfolus z Efezu. Widzę, że chcecie pokryć żarcikami
Niedotrzymanie słowa, pod »Jeżatką«
Przez was danego; jam się gniewać winien,
Tymczasem wyście niby sekutnica.
Kupiec. Śpieszcie się, proszę, bo czas mi ucieka.
Angelo. Widzicie sami, jak mnie nagli łańcuch.
Antyfolus z Efezu. Dajcie mej żonie, ona wam zapłaci.
Angelo. Wszak go wam dałem, wiecie, przed chwileczką.
Poślijcie łańcuch, albo też znak inny.
Antyfolus z Efezu. To znaczy z żartów ciągnąć dech ostatni.
Gdzież macie łańcuch? niechże go zobaczę!
Kupiec. Ja nie mam czasu na te krotochwile:
Mój dobry panie, płacisz czy nie płacisz?
Jeżeli nie chcesz, aresztować każę.
Antyfolus z Efezu. Ja wam mam płacić? i cóż ja mam [płacić?
Angelo. To, co mi winien jesteście za łańcuch.

Antyfolus z Efezu. Nic nie winienem, bo nie mam łań- [cucha.
Angelo. Przecież go dałem wam przed pół godziną.
Antyfolus z Efezu. Coście mi dali? Krzywdę mi czynicie!
Angelo. Wy mnie krzywdzicie, zaprzeczając temu;
Zważcie, że na tem polega mój kredyt.
Kupiec. Proszę natychmiast go zaaresztować.
Zbir. W imieniu księcia wzywam: idźcie za mną.
Angelo. To mi zepsuje całą reputacyę.
Albo przyznajcie i zapłaćcie sumę,
Albo was oddam w ręce tego zbira.
Antyfolus z Efezu. Płacić mam za coś, czego nie do- [stałem?
Aresztujże mnie, błaźnie, jeśli możesz.
Angelo. Masz tu na koszty, aresztuj go, zbirze.
Tubym własnemu nie przepuścił bratu,
Gdyby publicznie tak mnie hańbić zechciał.
Zbir. Słyszałeś skargę; aresztuję pana.
Antyfolus z Efezu. Jestem posłuszny, póki nie dam kaucyi...
A ty za żart ten zapłacisz tak drogo,
Że wszystko złoto w sklepie twym nie starczy.
Angelo. Znajdę ja prawo w Efezie, mój panie,
Ku waszej hańbie, o, nie wątpię o tem.
(Wchodzi Dromio z Syrakuzy).
Dromio z Syrakuzy. Jest tutaj, panie, okręt z Epidamnu,
Co tylko czeka swego kapitana,
A potem zaraz odbija. Na pokład
Pozanosiłem już nasze ładunki:
Kupiłem balsam, oliwę i wódkę.
Żagle napięte; wiatr dogodny wieje
Od strony brzegów; okręt czeka tylko
Na kapitana i na nas obudwóch.
Antyfolus z Efezu. Inny znów waryat! jakiż, durna owco,
Czekać ma na mnie okręt z Epidamnu?
Dromio z Syrakuzy. Okręt, po który wyście mnie wysłali.
Antyfolus z Efezu. Jam cię, pijaku, wysłał po postronek;
Taki to koniec mojego zlecenia?
Dromio z Syrakuzy. Panie! po okręt wyście mnie wy- [słali,
Nie zaś po koniec postronka, zapewniam.
Antyfolus z Efezu. W stosownej chwili pogadamy o tem;
Nauczę ja cię nieco lepiej słuchać.
A teraz, łotrze, pędź do Adryany;

Daj jej ten kluczyk i powiedz, że w kufrze,
Co jest nakryty tureckim dywanem,
Kiesę dukatów znajdzie: to niech przyśle:
Aresztowanym, powiedz, na ulicy
I że mi trzeba wykupu. Idź prędko.
My do więzienia, zbirze, aż on wróci.
Wychodzą Kupiec, Angelo, Zbir i Antyfol z Efezu).

Dromio z Syrakuzy. Do Adryany, gdzieśmy obiad jedli,
Gdzie mnie ten dryblas mianował swym mężem.
Lecz na jej stanik ręce me za krótkie,
Mam tę nadzieję. Pośpieszę atoli:
Sługa po pańskiej musi chodzić woli.
(Wychodzi).

SCENA II.

Tamże.

(Wchodzą Adryana i Lucyana).

Adryana. Ach, i tak kusić śmiał cię, Lucyano?
Cóż ci mówiły, powiedz, jego oczy?
Czy miłość szczerą czyli też udaną?
Był li pobladły? smutny, czy ochoczy?
Czy też dostrzegłaś ślad na jego twarzy?
Lucyana. Jak się w nim walka meteorów żarzy?
Mówił, że nie masz doń żadnego prawa.
Adryana. Tak: bo ze wszystkich praw się naigrawa.
Lucyana. Przysiągł, że obcy tutaj jako żywo!
Adryana. Prawdę powiedział, choć poprzysiągł krzywo.
Lucyana. Potem broniłam ciebie.
Adryana. On cóż powie?
Lucyana. Miłości żądał ode mnie w swem słowie.
Adryana. A jak cię kusił, mów, ten przeniewierca?
Lucyana. Słowem, co mogło trafić mi do serca:
Chwali mój dowcip, mym wdziękom się dziwi,
Adryana. Jakeś się przed nim wdzięczyła?
Lucyana. Cierpliwiej,
Moja siostrzyczko.
Adryana. O, nie na to kolej:
Rozpętam język, gdy serce w niewoli!
On brzydki, stary, wywiędły, koślawy,
Wstrętny na twarzy, ułomnej postawy,

Grubiański, głupi, zły, nieokrzesany,
Bez żadnej cnoty, występkom oddany!
Lucyana. Więc po cóż zazdrość o takiego człeka?
Cieszyć się trzeba, jeśli nam ucieka.
Adryana. O nie! on dobry! mój go język kala,
Inniby chcieli widzieć w nim bezprawia!
Czajka zawodzi, gdy od gniazda zdala!
Serce me przy nim, choć język zniesławia.
(Wchodzi Dromio z Syrakuzy).
Dromio z Syrakuzy. Hej! gdzież jest kufer! szukajcie pie-
[niędzy!
Lucyana. Czyś oddech stracił?
Dromio z Syrakuzy. Pędziłem coprędzej.
Adryana. A cóż się, Dromio, dzieje z panem? zdrowy?
Dromio z Syrakuzy. W Tartaru ciemniach kojec ma go-
[towy;
Trzyma go dyabeł w niezdartej opończy,
Mający serce w twardą stal zakute,
Sam czart przeklęty, srogi, bezlitośny,
Wilk, zły duch jakiś, stwór w kubraku z skóry,
Przyjaciel, co z przyjaźni po plecach klepie z cicha,
Co na cię po alejach i po zaułkach czyha;
Wyżeł, co w miejscu stoi, a tropi wciąż zwierzynę,
Przed sądem ostatecznym w piekielną pcha głębinę.
Adryana. Cóż się tam stało?
Dromio z Syrakuzy. Co się tam stało, nie wiem, wiem
[to: on stoi w kaźni!
Adryana. Aresztowany? powiedzże mi: za co?
Dromio z Syrakuzy. Ja nie wiem wcale: za co; powie-
[dzieć tylko mogę,
Że ten w kubraku z skóry pokazał jemu drogę.
Poślecież, pani, okup? pieniądze, co są w kufrze?
Adryana. Idź przynieś, siostro... Rzecz to osobliwa,
(Lucyana wychodzi).
Że swoje długi przede mną ukrywa.
Czy był on jaką poręką związany?
Dromio z Syrakuzy. Za coś gorszego mąż wasz przy-
[trzymany,
Za łańcuch! łańcuch!... Słyszeliścież, dzwonił?
Adryana. Łańcuch?
Dromio z Syrakuzy. Nie! dzwon... Gdym go pożegnał, to
[była właśnie druga,
A teraz bije pierwsza... Już musi iść wasz sługa.

Adryana. Cóż to? godziny naodwrót się toczą?
Dromio z Syrakuzy. Cofają się ze strachu, gdy tylko zbira
[zoczą.
Adryana. Wszak czas nie jest dłużnikiem! I cóż on je-
[szcze powie?
Dromio z Syrakuzy. Bankrutem, więcej winnym, niż wart
[jest przypadkowi;
Złodziejem! słyszeliście, przysłowie, co powiada:
I dniem i ciemną nocą, jak złodziej, czas się skrada.
Gdy długi ma, gdy kradnie, gdy w zbira ręce wpada,
Że cofa się godzinę na dzień, to nie jest wada.
(Wchodzi Lucyana).
Adryana. Pośpiesz się, Dromio, masz potrzebne złoto,
Idź i do domu sprowadź zaraz pana!
Chodź, siostro! ciężkie dziś mnie myśli gniotą,
Radość mnie chwyta i jestem stroskana.
(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże.

(Wchodzi Antyfolus z Syrakuzy).

Antyfolus z Syrakuzy. Każdy pozdrawia, kto mnie tylko
[spotka,
Jakgdyby dawnym był mi przyjacielem,
Każdy mnie zaraz woła po imieniu,
Ten mnie zaprasza, ten chce dać pieniędzy,
Tamten mi znowu za grzeczność dziękuje;
Ten mi towary poleca na sprzedaż;
Jakiś mnie krawiec zawołał do sklepu,
Kupiony dla mnie pokazywał jedwab
I na ubranie miarę wziął mi gwałtem,
Niema wątpienia, że to wszystko mary,
Że to lapońskich gniazdo czarodziejów.
(Wchodzi Dromio z Syrakuzy).
Dromio z Syrakuzy. Macie tu, panie, złoto, po któreście mnie posłali. A gdzieście zostawili ten obraz starego Adama w nowym mundurze?
Antyfolus z Syrakuzy. Cóż to za złoto? O jakim ty mi mówisz Adamie?
Dromio z Syrakuzy. Nie o tym Adamie, który strzegł raju, ale o Adamie, strzegącym więzienia; o tym, co to chodzi w skórze z cielęcia, zabitego dla marnotrawnego syna, o tym, co to szedł za wami, jak anioł nieczysty, i który wam się kazał wyrzec wolności.

Antyfolus z Syrakuzy. Nic a nic nie rozumiem.
Dromio z Syrakuzy. Nie? sprawa to przecież bardzo jasna: o tym, co to chodzi, jak bas w skórzanym futerale; o tym, panie, co to zmęczonych dżentelmenów klepie po ramieniu i każe im siadać; o tym, co się lituje nad opuszczonymi ludźmi i daje im trwałą opiekę; o tym, co swoją pałką więcej bohaterów w niewolę bierze, niż inny buzdyganem.
Antyfolus z Syrakuzy. Czy masz zbira na myśli?
Dromio z Syrakuzy. Tak, panie, sierżanta zbirów, wiążącego wszystkich tych, którzy nie chcą się wywiązać ze swoich zobowiązań; człowieka, któremu się zdaje, że wszyscy mają ochotę iść spać, bo wszystkim powiada: Daj wam, Panie Boże, dobry odpoczynek.
Antyfolus z Syrakuzy. Mości panie, błazeństwa twoje mogłyby sobie nareszcie spocząć. Czy tej nocy odchodzi jaki okręt; czy możemy dziś odpłynąć?
Dromio z Syrakuzy. Przyniosłem wam, panie, przed godziną wiadomość, że tej nocy odchodzi okręt »Pośpiech«, tymczasem zbir przeszkodził wam i zaprowadził was na statek »Odwłoka«. Tu oto są aniołowie, po których posłaliście mnie, aby was wyzwolili.
Antyfolus z Syrakuzy. Ten człowiek równie, jak ja, głowę
[stracił.
Obaj błąkamy się w krainie złudzeń:
Oby nas jaki dobry duch stąd wyrwał!
(Wchodzi kurtyzana).
Kurtyzana. A! jak się macie, panie Antyfolu,
Widzę, złotnika znaleźliście wreszcie;
Czy to jest łańcuch, dziś mi obiecany?
Antyfolus z Syrakuzy. Idź precz, szatanie, nie kuś mnie,
[zaklinam!
Dromio z Syrakuzy. Panie, czy to jest pani szatanowa?
Antyfolus z Syrakuzy. To jest sam dyabeł.
Dromio z Syrakuzy. Nie, to jeszcze coś gorszego — to dyablica, a przychodzi tutaj w postaci pięknego lekkoducha, albo raczej lekkiego anioła światłości. Jeżeli bowiem takie lekkoduchy mówią: »Boże, mnie potęp«, znaczy to: »Boże! zmień mnie w anioła światłości«,

boć tak jest napisano: »Pokazują się ludziom, jako aniołowie światłości; wszelka atoli światłość idzie z ognia. a ogień parzy, ergo na lekkoduchach tych sparzyć się możesz, a więc się do niej nie zbliżaj.

Kurtyzana. Zarówno wy, mój panie, jak i wasz sługa, jesteście dzisiaj nadzwyczaj krotofilni. Pójdziecie ze mną? sprawimy sobie ucztę.

Dromio z Syrakuzy. Panie, spodziewajcie się zupy i dlatego weźcie długą łyżkę.

Antyfolus z Syrakuzy. Cóż to ma znaczyć, Dromio?

Dromio z Syrakuzy. Kto chce z dyabłem ucztować, musi mieć długą łyżkę.

Antyfolus z Syrakuzy. Odstąp, szatanie, co gadasz o uczcie?
Czarnoksiężnicą jesteś, jak wy wszystkie;
Zaklinam ciebie, odstąp precz ode mnie.

Kurtyzana. Zwróćcie mi pierścień, wzięty przy obiedzie,
Lub za dyjament dajcież mi ów łańcuch
Przyobiecany, a zaraz odejdę.

Dromio z Syrakuzy. Inne szatany chcą kawałka gwoździa,
Słomki, krwi kropli, włoska albo szpilki,
Orzecha, pestki; lecz ta jest łakomsza:
Chce zaraz łańcuch.
Panie! roztropność! nie dajcie, bo dyabeł
Łańcuchów swoich brzękiem nas zatrwoży.

Kurtyzana. Proszę was, panie, pierścień lub też łańcuch:
Mniemam, że w pole wywieść mnie nie chcecie.

Antyfolus z Syrakuzy *(do kurtyzany).* Precz, czarownico!
(Do Dromia).
Chodźmy raz stąd przecie!

Dromio z Syrakuzy *(do kurtyzany).* Uciekaj, pycho, mówi
[paw, jak wiecie.

(Wychodzą Antyfolus i Dromio z Syrakuzy).

Kurtyzana. Nie ma wątpienia, Antyfol oszalał.
Inaczej takby nie postąpił sobie:
Pierścień mój wart był czterdzieści dukatów,
A za ten pierścień łańcuch mi obiecał,
Teraz mi jedno i drugie zaprzecza.
Że zwaryował, na to jest dowodem
(Już pominąwszy objawy przed chwilą)
Jego bredzenie dzisiaj przy obiedzie,
Że mu przed nosem własne drzwi zamknięto.
Widocznie żona, znając jego obłęd,
Z umysłu przed nim swoje drzwi zamknęła.

Najlepiej będzie pójść do jego domu,
Powiedzieć żonie, że w napadzie szału
Wtargnął do mego mieszkania i pierścień
Ściągnął mi z ręki: wybiorę tę drogę,
Stracić czterdziestu dukatów nie mogę.
(Wychodzi).

SCENA IV.

Plac ten sam.

(Wchodzą Antyfolus z Efezu i Zbir).

Antyfolus z Efezu. Ja nie ucieknę, nie bój się, człowieku.
Nim stąd odejdę, dam wam jako okup
Tyle pieniędzy, ile jestem winien.
Ma żona dzisiaj w szczególnym humorze:
I posłańcowi niełatwo uwierzy,
Że mnie w Efezie trzymają w więzieniu,
Wieść to dla uszu jej nie zbyt wesoła.
(Wchodzi Dromio z Efezu z kawałem postronka).
Wraca mój człowiek, zapewne z pieniędzmi.
Cóż to, waćpanie, po cóż cię wysłałem?

Dromio z Efezu. Przyniosłem, panie, dla wszystkich za-
[płatę.

Antyfolus z Efezu. Lecz gdzież pieniądze?

Dromio z Efezu. Pieniądze, panie, dałem za postronek.

Antyfolus z Efezu. Pięćset dukatów, łotrze, za postronek?

Dromio z Efezu. Mogę ich przynieść, panie, jeszcze pięćset.

Antyfolus z Efezu. Takiż to koniec mojego zlecenia?!

Dromio z Efezu. Koniec postronka! powracam z po-
[stronkiem.

Antyfolus z Efezu. A z tobą koniec taki! Witam waści!
(Bije go).

Zbir. Drogi panie, cierpliwości.

Dromio z Efezu. Nie! cierpliwości mnie potrzeba, bo znajduję się w nieszczęściu.

Zbir. Przestań, powstrzymaj swój język.

Dromio z Efezu. Powiedzcie raczej jemu, aby powstrzymał swe ręce.

Antyfolus z Efezu. Łotrze! straciłeś zmysły.

Dromio z Efezu. Obym był, panie, stracił zmysły! nie czułbym teraz waszych cięgów.

Antyfolus z Efezu. Nie masz czucia dla niczego, prócz dla cięgów, a takim jest każdy osioł.

Dromio z Efezu. Tak, jestem osłem, święta prawda; a dowodem tego moje długie uszy. Służyłem mu od godziny moich narodzin aż do tej chwili i nie dostawałem za to niczego, prócz kijów; jak mi zimno, to mnie bije, aby mnie rozgrzać; a jak mi gorąco, to bije mnie, aby mnie ochłodzić. Kijem mnie budzi, kiedy śpię, kijem każe mi wstawać, kiedy siedzę; kijem wyrzuca mnie za drzwi, kiedy wychodzę, i kijem mnie wita, kiedy wracam; nie! dźwigam ten kij na plecach, jak żebrająca baba swojego bachura; mam też nadzieję, że kiedy mi połamie kości, to o tym kiju będę chodził od domu do domu po żebrach.

(Wchodzą Adryana, Lucyana, Kurtyzana, Szczypawka i inni).

Antyfolus z Efezu. Chodźmy; ma żona zbliża się tu do nas.

Dromio z Efezu. Pani, *respice finem*, uważaj na swój koniec; czyli raczej, jak papuga, powtarzając słowa proroctwa: Strzeż się końca postronka.

Antyfolus z Efezu. Wciąż będziesz gadał?

(Bije go).

Kurtyzana. Co pani mówisz? że mąż twój oszalał?

Adryana. Gwałtowność jego zda się to potwierdzać,
Tyś czarodziejem, doktorze Szczypawko;
Przywróć mu znowu utracone zmysły,
Ja ci zapłacę, ile tylko zechcesz.

Lucyana. Co to za wściekłość w tych iskrzących oczach!

Kurtyzana. A jak się trzęsie, istny opętaniec!

Szczypawka. Podajcie rękę, niech wasz puls pomacam.

Antyfolus z Efezu. Masz ją, niech wprzódy pomacam [twe uszy.

Szczypawka. Duchu przeklęty, coś opętał człeka!
Przed moją świętą ustępuj modlitwą!
Wróć, skądeś przyszedł, do państwa ciemności:
Na wszystkich świętych nieba cię zaklinam.

Antyfolus z Efezu. Głupi znachorze! milcz, jam nie sza- [lony!

Szczypawka. O biedna duszo! bodaj tak nie było!

Antyfolus z Efezu *(do Adryany).* Milusia moja, to twoje [kompany?
Z tym to szafrańcem, gołąbeczko moja,
W mym własnym domu ucztowałaś dzisiaj,
Przede mną, grzeszną, zamknąwszy bramicę,
By mnie nie wpuścić do własnego domu?

Adryana. Mężu, na Boga! obiad jadłeś w domu!
Czemuż tam dotąd nie zostałeś ze mną,
Nie byłbyś na się jawnej ściągnął hańby!

Antyfolus z Efezu. Ja jadłem w domu! łotrze, cóż ty [na to?

Dromio z Efezu. Prawdę mówicie, nie jedliście w domu.

Antyfolus z Efezu. Czyliż przede mną nie zamknięto bramy?

Dromio z Efezu. Prawda, że bramę zamknięto przed [wami.

Antyfolus z Efezu. Nie wyłajałaż mnie w ostatni sposób?

Dromio z Efezu. Tak! wyłajała was w ostatni sposób.

Antyfolus z Efezu. Jej kucharzyca nie szydziłaż ze mnie?!

Dromio z Efezu. Tak jest, szydziła kuchenna dziewica.

Antyfolus z Efezu. I rozwścieklony nie uciekłem stamtąd?

Dromio z Efezu. Prawdę mówicie, świadkiem moje kości:
Tę waszą wściekłość czuję do tej pory.

Adryana. Dobrze sprzecznościom takim potakiwać?

Szczypawka. Nieźle, ten łobuz wie, jak rzecz uchwycić:
Wciąż mu przyznając, łagodzi szaleństwo.

Antyfolus z Efezu. Przez ciebie złotnik kazał mnie uwięzić.

Adryana. Jakżeż? pieniądze posłałam na okup
Przez tego Dromia, który przybiegł po nie.

Dromio z Efezu. Przeze mnie, pani? może był ten zamiar,
Ja ani groszam nie widział na oczy!

Antyfolus z Efezu. Czy nie poszedłeś po kiesę czer- [wieńców?

Adryana. Tak! przyszedł do mnie, i ja mu je dałam.

Lucyana. Mogę poświadczyć, że to uczyniła.

Dromio z Efezu. Bóg i powroźnik mogą mi poświadczyć,
Żem był wysłany tylko po postronek.

Szczypawka. I pan, i sługa obaj opętani.
Po ich bladości widzę i po wzroku;
Trzeba ich związać, zamknąć w ciemnym lochu.

Antyfolus z Efezu. Czemuś przede mną drzwi zamknęła, [powiedz?
Czemuś nie chciała dać worka z pieniędzmi?

Adryana. Drzwi ja przed tobą wcale nie zamknęłam.

Dromio z Efezu. Ja zaś pieniędzy nie dostałem, panie,
Lecz to przyznaję, że nam drzwi zamknięto.

Adryana. Ty, obłudniku, kłamiesz w obu razach.

Antyfolus z Efezu. Ty obłudnico! ty kłamiesz we wszyst- [kiem.
Tyś się sprzysięgła z tą nędzną hołotą,
Ażeby wstydem okryć mnie i hańbą!
Ja ci wydrapię te kłamliwe oczy,
Co się tak pragną nasycić mym sromem.
(Szczypawka i towarzysze wiążą Antyfola i Dromia).
Adryana. Związcie go! niech się do mnie nie przybliża!
Szczypawka. Więcej tu ludzi! zły duch w nim jest silny!
Lucyana. Ach! jak on pobladł, jak on pozieleniał!
Antyfolus z Efezu. Cóż to, mordować mnie chcecie? [Hej, zbirze!
Jam twoim więźniem. Czy pozwolisz na to,
Aby mnie z rąk twych wydarli?
Zbir. Puśćcie go!
On moim więźniem i ja go nie wydam.
Szczypawka. Związcie i tego, bo i to jest waryat!
Adryana. Cóż ty chcesz robić, nierozumny zbirze,
Miło ci patrzeć, jak ten biedny człowiek
Sam siebie w hańbę i w nieszczęście wtrąca.
Zbir. On moim więźniem; jeżeli go puszczę,
To za dług jego muszę odpowiadać.
Adryana. Nim stąd odejdę, sprawę tę załatwię,
Do wierzyciela zaprowadź mnie zaraz,
Skoro się dowiem, ile dług wynosi,
Zapłacę wszystko. Mój panie doktorze,
Każ swoim ludziom, aby go zanieśli
Do mego domu. O ty dniu nieszczęsny!
Antyfolus z Efezu. O rozpustnico nieszczęsna!
Dromio z Efezu. Za was to, panie, tak mnie powiązano.
Antyfolus z Efezu. Co? i ty, łotrze! chcesz, abym oszalał?!
Dromio z Efezu. Jakto? Chcecie, aby was powiązano za nic? Oszalejcie, panie! wołajcie dyabła na pomoc!
Lucyana. Niedorzeczności plotą! biedni ludzie!
Adryana. Weźcie go do dom. Ty, siostro, chodź ze mną.
(Wychodzi Szczypawka i tow. z Antyfolem i Dromiem z Efezu).
(Do zbira).
Powiedz, kto kazał mi uwięzić męża?
Zbir. Angelo, jakiś złotnik. Czy go nie znacie?
Adryana. Znam go. A jakąż winien jemu kwotę?
Zbir. Dwieście dukatów.
Adryana. Powiedz, za co winien?

Zbir. Winien za łańcuch, który wziął od niego.
Adryana. Łańcuch mnie przyrzekł, ale go nie przyniósł.
Kurtyzana. Otóż, gdy dzisiaj mąż wasz przyszedł do [mnie,
Jak opętany, i ściągnął mi pierścień
(Miał go na palcu i w tej chwili jeszcze),
Wkrótce go potem spotkałam z łańcuchem.
Adryana. Bardzo być może; jam go nie widziała.
Chodź, do złotnika powiedź mnie, dozorco,
Chciałabym całej dowiedzieć się prawdy.
(Wchodzi Antyfolus z Syrakuzy z wyciągniętą szpadą, a za nim Dromio z Syrakuzy).
Lucyana. Na miłość Boga! znowu się wyrwali!
Adryana. Z mieczami w ręku! Zwołać więcej ludzi,
By ich znów związać.
Zbir. Precz, bo was zabije.
(Wychodzą Zbir, Adryana i Lucyana).
Antyfolus z Syrakuzy. Widzę, że oręż płoszy czaro- [wnice.
Dromio z Syrakuzy. Ta, co przed chwilą chciała wam [być żoną,
Ucieka teraz.
Antyfolus z Syrakuzy. Chodźmy pod Centaura.
Zabierzmy rzeczy, pragnąłbym nareszcie
Zdrów i bezpieczny być już na pokładzie.
Dromio z Syrakuzy. Wistocie, panie, moglibyśmy tutaj jeszcze tę noc przepędzić, bo z pewnością nie zrobią nam nic złego; widzicie sami, jak uprzejmie do was przemawiają, jak nam sypią złoto; jest to — tak mi się zdaje — naród wielce przyzwoity, i gdyby nie ta góra szalonego mięsa, która chciałaby mnie zmusić koniecznie, abym się z nią ożenił, to miałbym serdeczną ochotę pozostać tutaj i pójść w czarownice.
Antyfolus z Syrakuzy. Na noc tu za nic w świecie nie [zostanę,
Więc bież i rzeczy pozanoś na pokład.
(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Plac ten sam, co i w poprzednich aktach.

(Wchodzi Kupiec i Angelo).

Angelo. Bardzo mi przykro, że was zatrzymałem:
Lecz on, zapewniam, łańcuch wziął ode mnie,
Choć przeczy temu w sposób nierzetelny.
Kupiec. Jakiej w tem mieście zażywa on sławy?
Angelo. Imię tu, panie, posiada najlepsze,
Kredyt niezmierny, lubiany jest wielce,
Nikomu w mieście w tem nie ustępuje,
A jego słowo majątki jest warte.
Kupiec. Gadajcie cicho; zdaje się, że idzie.
(Wchodzą Antyfolus i Dromio z Syrakuzy).
Angelo. Tak jest; i łańcuch ma ten sam na szyi,
Chociaż przysięgał, że go nigdy nie miał.
Zbliżmy się, panie, chciałbym z nim pomówić.
Wielce się dziwię, panie Antyfolu,
Żeś mi odebrał spokój, zadał wstydu,
Żeś nie bez hańby dla samego siebie,
Tak uporczywie przysięgał, że łańcuch,
Który tak jawnie nosisz, nie ode mnie:
Wszak, pominąwszy skargę, wstyd, więzienie,
Skrzywdziłeś jeszcze mego przyjaciela,
Co, nie wstrzymany tutaj naszym sporem,
Byłby już dzisiaj żagle swe rozwinął;
Żem ci dał łańcuch, możesz to zaprzeczyć?
Antyfolus z Syrakuzy. Przyznaję, dałeś; nigdym nie za-
[przeczał.
Kupiec. Tak, zaprzeczałeś; nawet pod przysięgą.
Antyfolus z Syrakuzy. Kiedym zaprzeczał? kiedy przy-
[sięgałem?
Kupiec. Na własne uszy, panie, jam to słyszał.
Wstydź się, nędzniku, że tu jeszcze żyjesz,
Że się spotykasz z uczciwymi ludźmi.
Antyfolus z Syrakuzy. Ty jesteś łotrem, że mi to za-
[rzucasz.
Ja ci swój honor zaraz udowodnię,
Jeżeli tylko masz odwagę stanąć.

Kupiec. Stanę i zaraz pokażę, żeś łotrem.
(Wyciągają szpady).
(Wchodzą Adryana, Lucyana, Kurtyzana i inni).
Adryana. Dajcie mu spokój; Boże! to szaleniec.
Precz z nim! zabierzcie mu szpadę! I Dromia
Zwiążcie! Zawiedźcie ich do mego domu.
Dromio z Syrakuzy. Na miłość Boga! uciekajmy, panie!
Tutaj jest klasztor!... Bo nas przytrzymają!
(Antyfolus z Syrakuzy i Dromio z Syrakuzy chronią się do klasztoru. — Wchodzi ksieni).
Ksieni. Cicho, wy ludzie! co za zbiegowisko!
Adryana. Ach! do chorego, biednego małżonka
Puśćcie mnie! puśćcie! trza go związać prędko,
Zanieść do domu, aby tam wyzdrowiał.
Angelo. Wiedziałem zaraz, że nie jest przy zmysłach.
Kupiec. Żałuję teraz, żem wyciągnął szpadę.
Ksieni. Od kiedyż to go napada szaleństwo?
Adryana. Ostatni tydzień smutny był, ponury
I wcale inny, niżeli poprzednio,
Ale dopiero dzisiaj popołudniu
Szał jego z taką wybuchnął potęgą.
Ksieni. Czyli z dobytkiem okręt mu się rozbił?
Zmarł mu przyjaciel? czy też swoje oko
W niedozwolonej zatopił miłości?
Młodzież, do grzechu zbyt skłonna, swym oczom
Zbyt wiele zawsze zostawia swobody.
Któraż, powiedzcie, z trosk go powaliła?
Adryana. Żadna, z wyjątkiem może tej ostatniej —
Jakaś go miłość wyciągała z domu.
Ksieni. Twym obowiązkiem było mu to zganić.
Adryana. Tak się też stało.
Ksieni. Widać, niezbyt ostro.
Adryana. O ile na to pozwalała skromność.
Ksieni. Może sam na sam.
Adryana. Nie! i w towarzystwie.
Ksieni. Nie dosyć często.
Adryana. Było to treścią wszystkich rozmów naszych,
W łóżku — spać nie mógł od moich wyrzutów.
Przy stole — nie mógł jeść od mych wyrzutów;
W domu rozprawy były tylko o tem,
I w towarzystwie przymówek nie brakło:
Wciąż mu gadałam, że to niegodziwie.
Ksieni. Z tej to on właśnie przyczyny oszalał.

Krzyk jadowity zazdrosnej niewiasty
Zatruwa bardziej, niż kieł psa wściekłego.
Sen mu twe kłótnie, mówisz, odbierały,
Z tej to przyczyny mózg mu się zamącił.
Podczas obiadu było mu przyprawą
Twoje zrzędzenie: niespokojny obiad
Złą wywoływał niestrawność w żołądku,
I stąd febryczna pochodzi gorączka,
A czem jest febra, jeśli nie szaleństwa
Pewnym rodzajem? Mówisz, że rozrywki
Wciąż zakłócało mu twoje łajanie,
A z braku zabaw cóż innego idzie,
Prócz melancholii i czarnego smętku,
Krewnych szałowi i gorzkiej rozpaczy?
A w trop za nimi śpieszy bladych chorób
I wrogów życia zaraźliwa zgraja.
Gdy mu rozrywkę i spokój odbierzesz,
Wnet oszaleje i człowiek i zwierzę.
Skutek jest taki: twej zazdrości zbytek
Odjął mężowi rozumu użytek.
Lucyana. Łagodne zawsze były jej wyrzuty,
On za to szorstki, opryskliwy, luty,
Cóż? na przygany nie masz odpowiedzi?
Adryana. Zgryzoty w mojem rozbudza sumieniu.
O, dobrzy ludzie, wyprowadźcie męża!
Ksieni. Do mego domu nikt tutaj nie wejdzie.
Adryana. Rozkażcie służbie, niech go wyprowadzi.
Ksieni. Nigdy!... Opieki szukał w tym przybytku,
Więc tu przed waszą ochronię go ręką,
Aż go do zmysłów przyprowadzę znowu,
Chyba daremnym będzie trud wszelaki.
Adryana. Chcę być przy mężu, chcę go pielęgnować
W jego słabości, to mój obowiązek.
Prócz mnie, żadnego nie trzeba obrońcy:
Puśćcie, niech do dom zabiorę go z sobą.
Ksieni. Bądźcie cierpliwą, on się stąd nie ruszy,
Dopóki wszystkich nie spróbuję środków,
Lekarstw, zbawiennych syropów, modlitwy,
Ażeby znowu zrobić zeń człowieka:
Bo to się wiąże ściśle z mymi śluby,
Mego zakonu święta to powinność,
Dlatego odejdź, niech zostanie ze mną.
Adryana. Nie pójdę, męża nie zostawię tutaj.

Źle to się wiąże z twą świątobliwością,
Ażeby męża rozłączać ze żoną.
Ksieni. Bądź cicho, odejdź! Nie będziesz go miała.
(Wychodzi).
Lucyana. Za twoją krzywdę poskarż się przed księciem.
Adryana. Chodź! chodź! pójdziemy. Do nóg mu upadnę
I nie powstanę, póki łzą i prośbą
Nie zyskam łaski, aby sam tu przyszedł
I mego męża wydarł jej przemocą.
Kupiec. Teraz jest właśnie wskazówka na piątej:
Więc, jestem pewien, w swej własnej osobie
Podąży książę niebawem tą drogą
Ku tej posępnej dolinie, ku miejscu
Śmierci i smutnych wyroków, tam oto
Poza cmentarzem naszego opactwa.
Angelo. Z jakiej przyczyny?
Kupiec. Ażeby patrzeć, jak pewien przezacny
Syrakuzański kupiec, który do nas,
Wbrew tego grodu przepisom i prawom,
Na swoje ciężkie zawinął nieszczęście,
Będzie ścinany w obliczu pospólstwa.
Angelo. Idą... Przypatrzmy się i my tej śmierci.
Lucyana. Klęknij przed księciem, nim minie opactwo.
(Wchodzi Książę ze świtą; Egeon z głową odkrytą; kat i zbiry).
Książę. Teraz publicznie jeszcze raz ogłoście,
Czy jest przyjaciel, co zań grzywnę złoży,
Aby nie umarł. Cóż uczynić więcej?
Adryana. Sprawiedliwości, książę, przeciw ksieni!
Książę. Wszak to szlachetna i cnotliwa pani:
Nikomu krzywdy wyrządzić nie może.
Adryana. Lecz — jeśli łaska — mąż mój, Antyfolus,
Który jest panem mym i mego mienia
Mocą twych uchwał — został w dniu dzisiejszym
Najokropniejszem dotknięty szaleństwem.
W tem obłąkaniu pędził ulicami
(Z nim razem sługa, tak, jak on, szalony),
Mieszkańców miasta turbował po drodze,
Wpadał do domów, zabierał pierścienie
I jakie tylko napotkał klejnoty.
Raz związanego wysłałam do domu,
A sama poszłam, by naprawić krzywdy,
Które naokół wyrządził w swym szale.

Potem — ja nie wiem, w jaki dziwny sposób —
Udało mu się wyłamać z pod straży
Razem ze sługą szalonym; w napadzie
Dzikim i z mieczem wyciągniętym w dłoni,
Znów nas spotkali i, natarłszy na nas,
Spędzili z drogi; dopiero gdy większa
Nadeszła pomoc, chcieliśmy ich znowu
Związać, lecz potem uciekli za mury
Tego klasztoru. Myśmy za ich śladem
Przybyli dotąd, lecz ksieni zamknęła
Przed nami bramy opactwa i nie chce
Wydać szaleńca, nie chce też, by ludzie
Poszli do niego i przed dom przywiedli.
Dlatego rozkaż, miłościwy książę,
Niech go stąd puszczą, by miał pomoc u mnie.
Książę. Mąż twój mi wiernie służył, w moich wojnach,
Stąd też książęcem poręczyłem słowem,
Gdyś go zrobiła panem swego łoża,
Że go otoczę wszelakiemi łaski.
Niech kto zapuka do bramy klasztoru
I niechaj ksienią przyprowadzi do mnie;
Rozstrzygnę sprawę, zanim stąd odejdę.
(Wchodzi sługa).
Sługa. O pani! pani! ratuj się, uciekaj!
Pan mój i sługa dostali napadu,
Pobili dziewki, związali doktora
I podłożyli mu ogień pod brodę,
A ile razy jął z niej płomień buchać,
Lali nań wiadra kału, by zagasić.
Pan mu zalecał cierpliwość, gdy sługa
Głowę mu brzytwą golił, jak błaznowi:
Pani! gdy zaraz nie przyślesz pomocy,
To czarodzieja z pewnością zabiją.
Adryana. Cicho, ty błaźnie! pan i sługa tutaj,
A twa wiadomość nawskróś jest kłamliwą.
Sługa. Pani! na moje życie! prawdę mówię!
Dech utraciłem, od kiedym to widział:
Krzyczał, gdzie pani, przysięgał, że spali
Wasze oblicze i że was oszpeci.
(Słychać krzyki za sceną).
Słyszysz go, pani? to on jest, uciekaj!
Książę. Chodź, stań tu przy mnie, nie bój się niczego.
Halabardnicy!

Adryana. O rety! mąż mój! Jesteście świadkami,
Że niewidzialny spadł tutaj z powietrza.
Wszak był dopiero zamknięty w klasztorze,
A teraz tutaj! wbrew ludzkim rozumom!
(Wchodzą Antyfolus i Dromio z Efezu).
Antyfolus z Efezu. Sprawiedliwości, najłaskawszy książę!
Za me usługi, przed laty spełnione,
Gdym się za ciebie nadstawiał na wojnie,
Gdym zbierał rany, by zbawić ci życie,
Za krew wylaną — wymierz sprawiedliwość!
Egeon. Jeśli strach śmierci nie zabrał mi zmysłów,
To Antyfola widzę, syna mego,
I Dromia.
Antyfolus z Efezu. Książę! wymierz sprawiedliwość
Na tę kobietę, którąś sam za żonę
Dał mi, a która me imię bezcześci
I zwala na mnie srom i szczyt boleści!
Nad wyobraźnię wszelką jest to krzywda,
Przez tę bezwstydną dziś mi wyrządzona.
Książę. Wyjaw, a będę sprawiedliwym sędzią.
Antyfolus z Efezu. Oto przede mną zamknęła dziś bramę,
Sama z gawiedzią ucztując w mym domu.
Książę. Ciężka przewina! Niewiasto, czy prawda?
Adryana. O nie, mój książę! ja i on i siostra
Jedliśmy razem. Niech dusza przepadnie
Jeśli nie kłamstwem to, czem mnie obciąża!
Lucyana. Niech w nocy nie śpię, niech nie widzę we dnie,
Jeśli nie czysta prawda to, co mówi!
Angelo. Nędzne kobiety! Krzywo przysięgają!
Szaleniec słusznie zarzuca im winę!
Antyfolus z Efezu. Wiem ci ja dobrze, co mówię, mój [książę.
Nie rozstroiły mnie tu skutki wina,
I gniew szalony mózgu nie zamącił,
Choćby z tej krzywdy i mędrszy oszalał.
Drzwi w czas obiadu zamknęła przede mną.
Ten złotnik tutaj, gdy z nią nie jest w zmowie,
Może poświadczyć, bo był ze mną razem,
A potem poszedł po łańcuch, przyrzekłszy,
Że go przyniesie do mnie pod »Jeżatkę«,
Gdzie obiadować miałem z Baltazarem.
Obiad się skończył, lecz złotnik nie wrócił.
Ale niebawem, poszedłszy go szukać,

Gdzieś na ulicy spotkałem go razem
Z tym oto panem. Przeniewierczy złotnik
Jął się przysięgać, że mi wręczył łańcuch,
Któregom nigdy — Bóg świadkiem — nie widział.
Kazał mnie za to przytrzymać zbirowi.
Byłem posłuszny; posłałem do domu
Chłopca, ażeby przyniósł mi dukaty.
Lecz ten nie wrócił. Jąłem więc do zbira
Przemawiać grzecznie, by w własnej osobie
Do mego domu poszedł ze mną razem.
Idąc, spotkaliśmy
Żonę, jej siostrę i tę podłą zgraję
Ich sprzymierzeńców. Przywiedli ze sobą
Tego Szczypawkę; nędzny to wymoklak,
Prawdziwy szkielet, głodomorek, kuglarz,
Jarmarczny krzykacz, wróż z pod ciemnej gwiazdy,
Upiór chodzący, żywy trup. Ten podlec
Zaczął udawać niby czarodzieja:
Zaglądał w oczy, puls mi obmacywał
I zaczął krzyczeć, sam jak opętaniec,
Że opętany jestem przez złe duchy.
Ci też odrazu rzucili się na mnie
I, powiązawszy, zawlekli do domu,
Aby mnie zamknąć w ciemnej, stęchłej norze,
Razem z mym sługą, również skrępowanym.
Ale zębami potargawszy więzy,
Znów odzyskałem swobodę i zaraz
Przybiegłem tutaj, błagać twojej łaski.
Uczyń mi zadość, proszę ciebie, książę,
Za wstyd głęboki, za tę hańbę wielką.

Angelo. Książę! to prawda, aż dotąd poświadczam!
On nie jadł w domu; drzwi zamknięto przed nim.

Książę. A wziął od ciebie łańcuch, czy też nie wziął?

Angelo. Wziął, mości książę; kiedy pędził dotąd,
Na jego szyi łańcuch ten widziano.

Kupiec. A ja przysięgnę, żem na własne uszy
Słyszał, jakeście mówili, że łańcuch
Macie od niego; później, gdy na rynku
Zaprzeczaliście, wyciągnąłem szpadę;
Wy do klasztoru uciekliście potem,
Skąd jakimś cudem przyszliście tu do nas.

Antyfolus z Efezu. Nigdym klasztornych nie przekraczał [murów,
Nigdym nie widział łańcucha, Bóg świadkiem;
Niesprawiedliwy ciąży na mnie zarzut.

Książę. Jakiś to wielce zawikłany zatarg.
Wszyscyście, widzę, z kubka Cyrcy pili;
Gdyby szaleńcem był, to snać tak chłodno
Nie skarżyłby się; obiadował w domu,
Tak wy twierdzicie; złotnik zaś zaręcza,
Że tak nie było. *(Do Dromia).* A ty co nam powiesz?

Dromio z Efezu. On obiadował z tą — tu, pod »Jeżatką«.

Kurtyzana. Tak jest; i z palca ściągnął mi pierścionek.

Antyfolus z Efezu. Prawda, ten pierścień ściągnąłem [z jej ręki.

Książę. Czyś go widziała, jak wszedł do klasztoru?

Kurtyzana. Z pewnością, książę, jak was tutaj widzę.

Książę. Dziwna to sprawa, przywołajcie ksienię.
Wszyscy szaleni lub zaczarowani.

(Wychodzi sługa).

Egeon. Przemożny książę! pozwól mi na słowo:
Jest tu przyjaciel, co mi zbawi życie.
Zapłaci grzywnę, by mnie uratować.

Książę. Co chcesz, mów śmiało, Syrakuzańczyku!

Egeon. Nie Antyfolus, panie, twe nazwisko?
A twój niewolnik czy się nie zwie Dromio?

Dromio z Efezu. Tak! tej godziny byłem niewolnikiem,
Lecz on me pęta rozgryzł, dank mu za to,
Dziś jam jest Dromio, jego wyzwoleniec.

Egeon. Pewnie, że sobie mnie przypominacie.

Dromio z Efezu. Przypominamy sobie samych siebie
Przez was; niedawno byliśmy w niewoli,
Tak jak wy teraz... Leczy was Szczypawka?

Egeon. Cóż tak patrzycie na mnie? Wszak mnie znacie?

Antyfolus z Efezu. Nigdym was w życiu nie widział do- [tychczas.

Egeon. Od ostatniego razu żal mnie zmienił;
Godziny troski szpetną ręką czasu
Dziwnie oblicze moje oszpeciły.
Powiedz, czyż mego nie poznajesz głosu?

Antyfolus z Efezu. Nie! nie poznaję.

Egeon. Ani ty, mój Dromio?

Dromio z Efezu. Ani ja, panie.

Egeon. Pewnym, że poznajesz.

Dromio z Efezu. Ej, panie? A ja jestem pewien, że nie!

Ale niech ktokolwiek co chce zaprzeczy, to jesteście dzisiaj tak związani, że musicie mu uwierzyć.

Egeon. Głos mu nieznany! o czasie okrutny!
Taktoś poszarpał, postrzępił mój język
W tych siedmiu latach, że mój syn rodzony
Rozstrajających trosk słabego dźwięku
Poznać nie może! choć mą twarz zoraną
Okryła soki ścinająca zima
Śniegiem puszystym, chociaż w żyłach moich
Krew już przymarza, to noc mego życia
Nie utraciła zupełnie pamięci;
Mrąca ma lampa ma jeszcze płomyczek,
Ogłuchłe uszy umieją coś słyszeć:
Wszyscy ci starzy prawią mi świadkowie,
Że Antyfolem jesteś, moim synem.

Antyfolus z Efezu. Nigdy w swem życiu nie widziałem [ojca.

Egeon. Ale przed laty siedmiu, w Syrakuzie,
Nimeś wyjechał. — A może, mój synu,
Wstydzisz się przyznać do ojca, że w nędzy.

Antyfolus z Efezu. Książę i wszyscy, co mnie znają [w mieście,
Mogą poświadczyć, że tak nie jest, panie.
Jam Syrakuzy nie widział w mem życiu.

Książę. Powiadam tobie, Syrakuzańczyku,
Lat już dwadzieścia żyje Antyfolus
Pod mą opieką, a nigdy w tym czasie
On Syrakuzy nie widział: snać lata,
Oraz cierpienia umysł ci zmąciły.

(Wchodzą Ksieni, Antyfolus i Dromio z Syrakuzy).

Ksieni. Książę! ten człowiek wielkiej doznał krzywdy.

(Wszyscy zbierają się naokoło niego, aby mu się przypatrzeć).

Adryana. Mam dwóch małżonków, lub mnie oczy mylą.

Książę. Jeden z tych mężów jest duchem drugiego
I ci tak samo. Lecz któryż człowiekiem,
A który duchem? Któż ich odcyfruje?

Dromio z Syrakuzy. Ja, Dromio żywy, ten bo nieprawdziwy.

Dromio z Efezu. Nie! ten fałszywy, ja zaś Dromio żywy.

Antyfolus z Syrakuzy. Czy to Egeon? albo li duch jego?

Dromio z Syrakuzy. Mój stary panie!... Któż to was tak [związał

Ksieni. Ktokolwiek związał, ja więzy rozwiążę,
Bo jego wolność małżonka mi wraca.
Mów, Egeonie, jeśliś nim naprawdę,
Nie miałeś żony, Emilią nazwanej,
Co ci dwóch pięknych powiła synaczków?
Jeśli tym samym jesteś Egeonem,
To do tej samej przemów dziś Emilii!

Egeon. Jeśli nie sen to, to jesteś Emilią;
Jeśli nią jesteś, powiedz, co się stało
Z synem, wraz z tobą porwanym przez fale?

Emilia. Mnie razem z synem i z bliźniakiem Dromiem
Wyratowali ludzie z Epidamnu.
Potem Koryncey przybyli korsarze
I gwałtem syna wzięli mi i Dromia,
Mnie zostawiwszy Epidamijczykom.
Co z nimi stało się potem, ja nie wiem.
Mnie oto spotkał los, jaki widzicie.

Książę. Tak, tu rozjaśnia się historya z rana:
Dwóch Antyfolów, do siebie podobnych,
I tych dwóch Dromiów, podobnych tak samo,
Potem na morzu ten okręt rozbity...
Tak! to oboje rodzice tych synów,
Co się przypadkiem spotkali nawzajem,
Wszakżeś z Koryntu przybył, Antyfolu?

Antyfolus z Syrakuzy. Nie, ja przybyłem, książę, z Syrakuzy.

Książę. Usuń się na bok, bo was nie rozróżnię.

Antyfolus z Efezu. Ja, mości książę, z Koryntu przybyłem.

Dromio z Efezu. I ja z nim razem.

Antyfolus z Efezu. Przesławny dotąd przywiódł mnie wo- [jownik,
Książę Menafu, twój stryj przeszlachetny.

Adryana. Z którym z was obu jadłam dzisiaj obiad?

Antyfolus z Syrakuzy. Ze mną, ma pani.

Adryana. Nie jesteś mym mężem?

Antyfolus z Efezu. Nie! przeczę temu.

Antyfolus z Syrakuzy. Ja czynię to samo,
Choć tak mnie nazwać raczyłaś waćpani,
I bratem wasza nazywała siostra.
Com wam nagadał, to jeszcze naprawię,
Jeśli nie sen to, jeśli widzę, słyszę.

Angelo. Oto ten łańcuch wzięliście ode mnie.

Antyfolus z Syrakuzy. Tak mniemam, panie, nie zaprzeczam wcale.

Antyfolus z Efezu. Waść mnie kazałeś zamknąć za ten [łańcuch.
Angelo. Tak mniemam, panie, nie zaprzeczam wcale.
Adryana. Ja dla was okup posłałam przez Dromia,
Lecz Dromio, widać, pieniędzy nie przyniósł.
Dromio z Efezu. Nie, nie przeze mnie.
Antyfolus z Syrakuzy. Ja odebrałem kiesę z czerwieńcami;
A przyniósł mi ją Dromio, mój sługa,
Każdy z nas sługę spotykał drugiego,
I jam uchodził za niego, on za mnie,
Stąd powstawały te wszystkie omyłki.
Antyfolus z Efezu. Ojca okupię tymi dukatami.
Książę. Nie trzeba wcale; ojciec twój żyć będzie.
Kurtyzana. Panie łaskawy, wróć zabrany brylant.
Antyfolus z Efezu. Weź go i dzięki za wyborny obiad.
Ksieni. Przesławny książę! raczże się potrudzić
I z nami razem przestąp próg opactwa,
By naszych losów wysłuchać powieści.
I wy tu wszyscy, zebrani na placu,
Którym dnia tego zawiłe omyłki
Sprawiły krzywdę, chodźcie również z nami,
A my wam wszelką damy satysfakcyę...
Przez lat dwadzieścia pięć ja was w żywocie,
O moje dzieci, nosiłam i oto
Dzisiaj dopiero zbyłam się ciężaru.
Książę, mój mężu i obaj synowie,
Wy, ich urodzin pewne kalendarze,
Na popieliny chodźcie, chodźcie ze mną;
Po takich bolach takie narodziny!
Książę. Z całego serca! niech tu będę kumem.
(Wychodzą Książę, Ksieni, Egeon, Kurtyzana, Kupiec, Angelo i świta).
Dromio z Syrakuzy. Panie, na pokład zanieść wasze rzeczy?
Antyfolus z Efezu. Jakie me rzeczy chcesz na okręt zanieść?
Dromio z Syrakuzy. Wasze pakunki, co są pod »Centaurem«.
Antyfolus z Syrakuzy. On mówi do mnie: ja jestem twym [panem.
Chodź z nami, o tem pomyślimy później.
Uściskaj brata, nacieszcie się sobą.
(Wychodzą Antyfolus z Syrakuzy i Efezu, Adryana i Lucyana).
Dromio z Syrakuzy. Ta tłusta dama w domu twego pana,
Co mnie tak dzisiaj ugościła w kuchni,
Iest więc mą siostrą odtąd, a nie żoną.

Dromio z Efezu. Wydajesz mi się zwierciadłem, nie [bratem.
Widzę po tobie, żem nadobny młodzian.
Cóż, pójdziesz także na te popieliny?
Dromio z Syrakuzy. Naprzód, waćpanie; wszak ty starszy [jesteś.
Dromio z Efezu. To jest pytanie. Jak to udowodnić?
Dromio z Syrakuzy. Pociągniemy węzełki, kto starszy; tymczasem, idź naprzód.
Dromio z Efezu. Nie, chyba tak:
Przyszliśmy na ten świat,
Jak bracia, jak rodzeni,
Więc, dłoń złożywszy w dłoń,
Pójdziemy połączeni.
(Wychodzą).



TŁÓMACZENIE JANA KASPROWICZA.

Tekst komedyi *Much Ado about Nothing* posiadamy w wydaniu *in quarto* z roku 1600, niewiele się różniącem od pośmiertnego w zbiorze *in folio;* w tymże roku 1600 przeszkodzono wydaniu tego utworu wraz z »Henrykiem V« przez jakiegoś przedsiębiorczego księgarza; krótka notatka *to be stayed* (»wstrzymać«) w rejestrze cechu księgarzy nie udziela nam wiadomości, za czyją interwencyą i z jakiego powodu się to stało. Datę powstania komedyi prawdopodobnie niezbyt daleko wstecz od roku 1600 naznaczać należy; że nie wymienia jej Meres w r. 1598 w swej pochwale dzieł shakespearowskich, to niczego dowodzić nie może; cechy stylistyczne jednak nakazują umieścić ją w bezpośredniem sąsiedztwie najdojrzalszych płodów komicznej Muzy poety, »Jak się wam podoba« i »Wieczoru Trzech Króli«.

Główna akcya komedyi ma podobieństwo do dziejów Ariodanta i Genevry w piątej pieśni »Orlanda szalonego« Aryosta; epopeję Shakespeare miał sposobność poznać w tłómaczeniu Haringtona (1591); zresztą epizod, o który chodzi, spopularyzowany był wielokrotnie w ówczesnej Anglii: parafrazowali go drugorzędni poeci, jak Beverley i Turberville; wplótł tę historyę i wielki Spenser do swej epopei alegorycznej *Faerie Queene* (księga II, pieśń IV); wiemy wreszcie także o przedstawieniu przez trupę chłopców przed królową w roku 1583 dramatu o tym przedmiocie. W nie całkiem jasnym stosunku do Aryosta stoi nowela Mattea Bandella *Timbreo di Cardona* (1554), nie tłómaczona, o ile wiemy, za czasów poety na język angielski, ale w jakiejś formie prawdopodobnie mu znana. Z Aryostem Shakespeare ma wspólny właściwie jeden tylko główny motyw: przebranie służącej za panią, jako środek okrycia bohaterki niesławą; tego właśnie motywu

niema u Bandella; tam tylko służący intryganta w obecności ukrytego narzeczonego wchodzi w nocy po drabince do pałacu ojca narzeczonej, jakby na schadzkę z kimś. Shakespeare samego wykonania intrygi na scenie nie przedstawił, niewiadomo dlaczego, bo byłoby teatralnie efektowne; ze słów Borachia w scenie omówienia projektu (II, 2) dowiadujemy się, że plan jest ten sam, co u Aryosta. Z drugiej strony, w innych motywach u Shakespeara wiele jest znacznych różnic od Aryosta, a wiele podobieństw do Bandella; z jego tekstem ostatecznie dzieło Shakespeara porównywać trzeba, gdyż nie zachowało się nam starsze opracowanie dramatyczne, które prawdopodobnie było bezpośredniem źródłem poety.

Z akcyą poważną Shakespeare, bardzo pospolitym u swych kolegów literackich zwyczajem, splótł dodatkową wesołą, której bohaterami dowcipna para, Benedick i Beatrice. Ci, jako dojrzalsze powtórzenie postaci Rozalindy i Birona ze »Straconych zachodów miłosnych«, są prawdopodobnie pomysłem samego poety; podobieństwa Benedicka do żołnierza-samochwała w niemieckiej *Comoedia von Vincentio Ladislao* przez księcia Henryka Juliusza brunszwickiego (druk. 1599) są bardzo nikłe. I z innym niemieckim dramatem łączy komedyę Shakespeara pokrewieństwo: *Die schöne Fenicia*, dzieło Norymberczyka Jakóba Ayrera (zmarłego w r. 1605), polega na francuskiej wersyi noweli Bandella przez Belleforesta; jest i u Ayrera dodatkowa akcya komiczna między błaznem Jahnem a służącą Anną Maryą; ale tych na seryo z Benedickiem i Beatrice porównać nie można. Dla dowcipnych dyalogów pary shakespearowskiej nie brakło wzorów we współczesnej literaturze i w życiu towarzyskiem: w »Dworzaninie« Castigliona, kodeksie etykiety dla całego pokolenia (tłómaczonym na angielskie przez Tomasza Hoby w r. 1561) podobne rozmowy toczą się między Gasparem Pallavicino a Emilią Pią; pod wpływem powieści Jana Lyly »Euphues« i jego komedyi salonowych panował tego rodzaju styl konwersacyjny na dworze królowej Elżbiety; zwierciadłem jego popularności są nowele Roberta Greena: w jego *Farewell to Folly* (1591) Benedetto i Katarzyna przekomarzają się całkiem podobnie, jak para u Shakespeara. Mniej przekonywującem od tych licznych analogii jest przypuszczenie, że wzorem całego zespołu osób u Shakespeara stało się arystokratyczne towarzystwo, zgromadzone w roku 1598 w Essex House w Londynie; że więc Don Pedro to Essex; Klaudyo i Hero to hrabia Southampton (protektor poety) i jego kochanka, a niebawem żona, Elżbieta Vernon; Benedick i Beatrice zaś to hrabia Rutland i córka Filipa Sidney: zbyt mało wiemy o psychologii tych państwa, by módz tak ścisłe równania przyjąć.

Jak to często w komedyach czyni dla wysubtelnienia romantycznego nastroju, Shakespeare pomija aluzye ściśle historyczne, wiążące wypadki noweli z nieszporami sycylijskiemi roku 1283; poprzestaje na zlokalizowaniu akcyi — jak u Bandella — w Messynie, na cele poetyckiej iluzyi dostatecznie odległej od Londynu. Jego Piotr aragoński nie jest królem, lecz księciem tylko zwykłym, w komedyach poety stróżem porządku społecznego; z drugiej strony Lionato (nazwisko przejęte z Bandella) to nie tylko, jak tam, poważany mieszczanin, lecz gubernator miasta, goszczący u siebie księcia; na tem wyrównaniu stosunków społecznych w założeniu znacznie zyskuje prawdopodobieństwo całej akcyi; niema jej rozdwojenia miejscowego na dom obywatelski i nieprzystępną dla zwykłych śmiertelników rezydencyę królewską; niema też drażniąco wciąż w noweli powtarzanego, a dla fabuły niepotrzebnego motywu towarzyskiej niższości bohaterki. Na korzyść także zmieniony jest początek stosunku głównej pary: bohaterem i w noweli, i w dramacie jest dworzanin Pedra, ale zamiast utartej »miłości na pierwsze wejrzenie« mamy u Shakespeara pełne poetyckiego wdzięku słowa Klaudya o tem, jak piękną Hero kochać już poczynał przed wyprawą wojenną (I, 1). Niekorzystną natomiast wydać się musi przemiana w postaci głównego sprawcy zawikłań: w noweli to szlachetny rywal bohatera, równy mu dostojeństwem i rycerskością, przez poryw namiętności tylko chwilowo sprowadzony z drogi honoru i szczerze tego później żałujący: stawiając w jego miejsce zupełnie szablonowy »czarny charakter«, ponurego i mrukliwego księcia Jana, dramaturg pozbawił się między innemi głęboko wzruszającego efektu pogodzenia bohatera ze skruszonym przeciwnikiem nad rzekomym grobem bohaterki: niewiadomo jednak, czy tym dramaturgiem, tutaj niefortunnym, był sam Shakespeare, czy już jakiś jego poprzednik w dramatycznem opracowaniu przedmiotu. Tylko sam Shakespeare natomiast — tak się nam wydawać musi — stworzyć mógł to wspaniałe narzędzie do zaplątania i rozplątania węzła

dramatycznego, jakiem są dwaj głupi policyanci Dogberry i Verges (Ciarka i Kwasek), nieśmiertelne wzory całej bogatej klasy figur w dramacie doby shakespearowskiej; pisarze, jak Middleton *(Blurt, Master-Constable)* i Glapthorne *(Wit in a Constable)*, całe komedye z tego pomysłu wysnuli, co przypomina aforyzm Lessinga o tem, jak to »jeden rękaw z płaszcza olbrzyma na płaszcz dla karła wystarcza«. W twórczości samego Shakespeara poprzedza ich jako szkic Dull (Tępak) w »Straconych zachodach miłosnych«, a następuje po nich jako słabsza kopia Elbow (Łokieć) w dramacie »Miarka za miarkę«. Ci obaj chodzą pojedyńczo; doskonalszy od nich Dogberry ma obok siebie towarzysza, który, jak grono aktorów-rzemieślników ateńskich w »Śnie Nocy Letniej«, przeświadczonych o wyższości umysłowej oślogłowego reżysera, albo jak Nataniel obok pedanta Holofernesa w »Straconych zachodach miłosnych«, przez przytakiwanie i naiwne uwielbienie ironicznie uwydatnia satyrę poety. Boskie niedorzeczności tych dwóch shakespearowskich policyantów niektórzy ich wielbiciele podziwiali poprostu, jako nieorganiczne intermezza czyli łatki humorystyczne w komedyi; ale widoczną jest także ich pożyteczność dramatyczna: z jednej strony to oni pierwsi chwytają pomocników intryganta prawie na gorącym uczynku (III, 3), z drugiej oni przez rozwlekłość swej gadaniny opóźniają wyjaśnienie sprawy (III, 5) i przez to umożliwiają najefektowniejsze momenty akcyi; sam zaś komizm tych figur, szczególnie gdzie się pojawiają zaraz po scenach bardzo poważnych (IV, 2), utwierdza w nas pewność, że mimo nagromadzonych na horyzoncie chmur, jesteśmy w świecie krotochwilnym, gdzie wszystko dobrze skończyć się musi. Mniej udatnym od nich instrumentem akcyi dramatycznej jest służebnica bohaterki; u Aryosta to postać wyidealizowana: działa z miłości dla intryganta i za jego sprawą później wiele cierpi; u Shakespeara Małgorzata nie ma tak silnego powodu do uczynności i milczenia; mimo to w krytycznym momencie nie wyjawia swego udziału w mniemanym żarcie; zaś w końcu świadectwo zupełnej niewinności wystawia jej uczestnik intrygi, a z ust poważniejszych także prawie żadna nie spotyka ją nagana [1]). Te niekonsekwencye przejął może Shakespeare od poprzednika w dramatycznem opracowaniu tematu, a może i sam zaniedbał logicznego wykończenia roli tak podrzędnej. Jedno jeszcze wreszcie narzędzie akcyi dramatycznej stanowi mnich, wymyślony na podobieństwo brata Wawrzyńca w tragedyi »Romeo i Julia«, z podobną jak tamten sympatyą przez poetę traktowany i podobną dający w trudnem położeniu radę, tylko tutaj uwieńczoną powodzeniem; u Bandella pomysł podawania bohaterki za umarłą powstaje w głowie samego jej ojca, któremu u Shakespeara gwałtowne wzruszenie jasno myśleć nie pozwala, a nawet każe zrazu wierzyć w hańbę córki; jak mnich Wawrzyńca, tak on przez gwałtowne słowa wobec spotwarzonej Hero przypomina rozgniewanego Kapuleta w tragedyi (III, 5).

Sceny brutalnego odepchnięcia narzeczonej przed ołtarzem w kościele (IV, 1) niema w noweli; tam zerwanie dokonywa się w formie nieco łagodniejszej, przez posłańca — tak że bohater nie jest nastawiony na bezpośrednią pogardę czytelnika — i nie w miejscu publicznem: ta zmiana, jeżeli jej dokonał Shakespeare, najprzykrzej w dramacie razićby musiała nasz zmysł moralny, gdyby nie należna pamięć o tem, że scena bez rozważań etycznych poprostu obliczona była na silny efekt teatralny. Na postępowanie Klaudya przygotowuje nas nieużyteczny zresztą dramatycznie motyw jego przemijającej zazdrości o księcia na balu maskowym (II, 1), gdzie już nazbyt łatwo daje ucho podszeptom intryganta. Poza tem jednak niema nic niekorzystnego w jego charakterystyce przez pierwsze akty, i nic niekorzystnego nie pozostaje w ostatecznej opinii otoczenia: teść jego pierwszego niewinnym ogłasza narówni z księciem (V, 4). Klaudyo dopiero pod koniec sceny kościelnej od niegodnych mężczyzny obelg wznosi się na poetycki poziom gorzkich skarg, podobnych do wyrzekań samego poety na niewierną kochankę w sonetach (131—152); nikczemnieje potem znowu Klaudyo w naszych oczach przez niewczesne żarty w tragicznem stadyum wypadków (V, 1); krótka zaledwie scena formal-

[1]) Borachio (V, 1):
»Nie, na mą duszę, ona jest niewinna;
Co robi, mówiąc ze mną, nie wiedziała;
Nie, ona nigdy w czynach swoich wszystkich
Nie zeszła z drogi cnoty i honoru«.
Leonato (V, 2):
»Małgorzata nie jest tu bez winy,
Choć jej zeznanie jasno przekonywa,
Że mimowoli przeciw nam zgrzeszyła«.

nej ekspiacyi, ozdobiona pięknymi lirykami (V, 3), zastępuje cały rok żalu i pokuty, nałożony na bohatera w noweli; w końcu nawet bez prośby o przebaczenie uszczęśliwiony jest ręką pięknej Hero; jak Proteus w komedyi »Dwaj panowie z Werony« (V, 4) wyrzekł słowo: »Wybacz!« tylko do pokrzywdzonego mężczyzny, a nie do kochającej niewiasty, tak i Klaudyo przeprasza tylko ojca narzeczonej (V, 1), a nie ją samą (V, 4). W tem wszystkiem jest coś innego, niż przykry rozdźwięk między naszem a renesansowego poety poczuciem moralnem; jest może poprostu zły wybór tematu i niezdolność pogodzenia jego powagi z lekkością i swobodą, której wymaga komedya i którą jako intencyę autora zapowiada żartobliwy tytuł »Wiele hałasu o nic«. O wiele surowszym jest poeta później, gdy już mu mniej zależy na spoistości formy dramatycznej, niż na prawdzie psychologicznej i etycznej: wyrwę całych lat szesnastu robi w »Powieści zimowej« długa pokuta Leontesa; ten także w końcu, odmiennie od Klaudya i Protea, o przebaczenie prosi i żonę, i przyjaciela (V, 3).

W naszej komedyi gładkie rozwiązanie zawikłań, rychłe i konwencyonalne szczęśliwe zakończenie dokonywa się zwykłym u Shakespeara sposobem w zbiorowem *tableau*, gromadzącem osoby utworu. Poprzedza je scena (V, 1), w której ostateczne naprężenie sytuacyi wyraża się przez zupełne wywrócenie naturalnych stosunków: dwaj starcy, wyzywając Klaudya, łagodność wieku zmieniają na niezwykłą gwałtowność; żartowniś Benedick stał się poważny i małomówny; w jego rolę wstępuje Klaudyo, w pierwszych aktach sensat; żartuje nawet książę, jednem słowem, czujemy, że świat komedyi jest w nieporządku, że musi się coś stać, co ład przywróci. Same końcowe wyjaśnienia u Bandella odbywają się przy uczcie ślubnej: bohater, jak u Shakespeara, poddał się za karę wyborowi żony dla siebie przez niedoszłego teścia, i ten żeni go z dawną narzeczoną, tak zmienioną przez rok ukrycia, że i przy ślubie mąż jej nie poznaje. Poeta dramatyczny, skreśliwszy jednoroczną przerwę, dla dłuższego utrzymania napięcia i doraźniejszego scenicznego efektu posługuje się teatralnym motywem zamaskowania; jeszcze obficiej użył Shakespeare tego samego motywu w końcowej scenie dramatu »Miarka za miarkę«. Oczywiście, ta maskarada z dziedziny poważnych uczuć i silnych namiętności przenosi nas odrazu i mechanicznie w świat czystej komedyi; nawet

ukaranie pojmanego intryganta w słowach nawpół żartobliwych odłożone jest »do jutra rana«.

Że zresztą w całym utworze mimo niemiłego przedmiotu głównej akcyi przeważa nastrój pogodny, to zawdzięczamy głównie ciągłej prawie obecności i wdzięcznemu dowcipowi Benedicka i Beatrice; do nich od początku widocznie należy serce poety; zrobił z nich najplastyczniejsze w utworze postacie; ich dwoje zachowuje żywe barwy, gdy reszta figur zbladła nam w pamięci; oni w naszej świadomości nadają komedyi charakter, w notatce o przedstawieniu dzieła na dworze (1613) nawet sam tytuł *(Benedick and Beatrix)*. Do wywarcia takiego wrażenia świadomie im dopomógł poeta, dając ich szermierce na dowcipy nawet kosztem właściwej akcyi jak najwięcej miejsca w dramacie; wyraża się ten stosunek w statystycznym fakcie, że trzy czwarte komedyi pisane jest prozą — ta właśnie panuje w dyalogach dowcipnej pary — a jedna czwarta wierszem, użytym prawie tylko w partyach poważniejszych.

Jaki będzie koniec akcyi między Benedickiem a Beatrice, przewidujemy na samym początku, gdy oboje — jak król i dworzanie w »Straconych zachodach miłosnych« — zarzekają się przeciw miłości i małżeństwu. Sytuacya tak stworzona, choć doskonale nas bawi przez całe dwa akty, nużyłaby jednak wreszcie swą jednostajnością. Poeta, czując potrzebę jakichś dramatycznych zmian w stosunku tych dwojga do siebie, wywołuje te zmiany zrazu środkami zewnętrznymi z arsenału, używanego i w innych komedyach, szczególnie młodocianych: podsłuchane rozmowy (II, 3; III, 1) podobnie stanowczo posuwają sprawę naprzód, jak w »Straconych zachodach miłosnych« podsłuchanie westchnień miłosnych (IV, 3); jak tam, tak i tu jest także motyw znalezionych wierszy i listów (V, 4); Benedick w swym monologu (II, 3) tem, co podsłuchał, okazuje się tak omamiony, jak dumny Malvolio w »Wieczorze Trzech Króli« (II. 5), a zaraz potem, gdy go panna prosi na obiad, czytelnikowi komedyi Shakespeara przypominać nawet musi głupiego Slendera w tej samej sytuacyi w »Wesołych kobietach windsorskich« (I, 1). Jego więc poeta ośmieszeniem i upokorzeniem karze za przesadną pewność siebie; piękną Beatrice ze zwykłą sobie rycerskością dla dam chroni przed tym losem: to samo, co Benedick prozą i z komiczną zarozumiałością, ona wyznaje melodyjnym wierszem, szlachetnie, godnie i szczerze (III, 1).

W prawdziwie poważne, bohaterskie postacie przemieniają się potem oboje znowu przez czynnik zewnętrzny, mianowicie pod piorunującem wrażeniem sceny w kościele. Beatrice jako dowodu miłości żąda zabicia Klaudya: wyłania się więc w najgroźniejszej formie ten i w sonetach Shakespeara i tylokrotnie w jego dramatach opiewany konflikt między przyjaźnią a miłością. Zażegnany on jest przez pomyślne zakończenie komedyi; ale w słowach Benedicka, odchodzącego wyzwać Klaudya (IV, 1), poeta wyraźnie nam daje do zrozumienia, że tutaj rozstrzygnięcie wypadłoby nie w tym renesansowym duchu, co przemawia z komedyi »Dwaj panowie z Werony« i potężniej jeszcze przez słowa Bassania o żonie i przyjacielu w »Kupcu weneckim« (IV, 1), lecz na korzyść tego uczucia, które nam dzisiaj absolutnie silniejszem się wydaje.

Pod koniec komedyi, tak jak na początku, Benedick i Beatrice zupełnie zasłaniają sobą inne postacie, przekomarzając się w długich scenach dyalogicznych (V, 2, 4); i w słońcu ostatnich wesołych słów między nimi żegnamy się ze światem tej komedyi shakespearowskiej.

Dwie równoległe akcye dzieła to jakby Janusowe twarze, wstecz i wprzód w dzieje twórczości poety zapatrzone: dowcipne dyalogi Benedicka i Beatrice to oblicze pogodne, z uśmiechem zwrócone ku komedyom młodocianym, ku słownej pustocie »Straconych zachodów miłosnych«, ku Petruchiowi i poskromionej złośnicy Kasi, z którą on się całkiem podobnie przekomarzał w scenie zalotów (II, 1); zaś przykre losy bohaterki, niewinnie cierpiącej, jak potem Ofelia, Desdemona, Imogena, Hermione, to twarz pełna goryczy, spoglądająca ku erze pesymizmu. Motyw główny niemiły, pomyślne zakończenie wymuszone, to zjawiska typowe dla komedyi Shakespeara w przejściu do okresu tragicznego: jeszcze bardziej, niż tutaj, razi nasz zmysł moralny sztuczne rozwiązanie podobnie przykrych komplikacyi w dramatach »Koniec wieńczy dzieło« i »Miarka za miarkę«; nawet słoneczna pogoda najbliżej z naszą sąsiadujących komedyi zaprawna jest goryczą i cierpieniem: w sielance »Jak się wam podoba« przez cyniczne refleksye melancholika, w romantycznym »Wieczorze Trzech Króli« przez obłoczek łagodnego smutku, owiewający postać bohaterki. Że w czasie, gdy Shakespeare pisał »Wiele hałasu o nic«, pesymistyczna zaduma niewielką jeszcze jego duszy część ogarnąć zdołała, dowodem okoliczność, iż ideą przewodnią, łączącą obie akcye między sobą, jest myśl światowa, życiowa, nie filozoficzna, spekulatywna; myślą tą poprostu potężny wpływ plotek, obmowy, gadaniny na losy ludzkie; w nie mniej jak ośmiu scenach utworu (I, 2, 3; II, 1, 2, 3; III, 1, 3; V, 1) podsłuchane i powtórzone rozmowy stają się sprężynami akcyi, i stosowniej może w tej komedyi, niż w drugiej części »Henryka IV«, w roli prologu występowaćby mogła uosobiona »Pogłoska, w szacie malowanej w języki«.

OSOBY:

Don Pedro, książę Aragoński.
Don Juan, brat naturalny Don Pedra.
Klaudyo, młody Florentczyk, faworyt Don Pedra.
Benedykt, młody Paduańczyk, faworyt Don Pedra.
Leonato, gubernator Messyny.
Antonio, jego brat.
Baltazar, sługa Don Pedra.
Borachio, **Konrad** } ze służby Don Juana.
Ciarka, **Kwasek** } urzędnicy policyi.
Zakrystyan.
Mnich.
Paź.
Hero, córka Leonata.
Beatrycze, synowica Leonata.
Małgorzata, **Urszula** } panny pokojowe Hero.

Posłańcy, straż, służba.

Scena w Messynie.

WIELE HAŁASU O NIC.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Przed domem Leonata.

(Wchodzą: Leonato, Hero, Beatrycze i inni wraz z posłańcami).

Leonato. Dowiaduję się z tego listu, że Don Pedro Aragoński przybędzie tej nocy do Messyny.

Posłaniec. Jest on już bardzo blizko, bo, kiedym go opuszczał, był od miasta oddalony o jakie trzy mile.

Leonato. Ilu z szlachty straciliście w tej potyczce?

Posłaniec. Bardzo niewielu, nikogo zaś z wybitniejszem nazwiskiem.

Leonato. Podwójnem jest zwycięstwo, jeżeli wódz z nie uszczuplonymi wraca szeregami. Widzę tutaj, że Don Pedro wielkimi zaszczycił honory młodego Florentczyka nazwiskiem Klaudyo.

Posłaniec. Zasłużył sobie na nie, a Don Pedro umie je w równej uznać mierze. Przesadził sam siebie, ponad swoje lata; w postaci baranka dokonał czynów lwa; wistocie, nadspodziewanie zachował się, lepiej, niżbyście się tego po mej opowieści spodziewać mogli.

Leonato. Ma on tutaj stryja w Messynie, którego to wielce ucieszy.

Posłaniec. Zaniosłem mu już listy; widać, że wielką sprawiło mu to radość, tak wielką, że zdawało się, iż ra-

dość ta nie uważa się bez pewnego objawu boleści za dostatecznie skromną.

Leonato. Czyż wybuchnął łzami?

Posłaniec. I to bardzo obfitemi.

Leonato. Rozczulający przelew czułości. Niema uczciwszych twarzy ponad obmyte w ten sposób. O ileż to lepiej płakać z radości, aniżeli radować się z płaczu.

Beatrycze. Proszę waści, aspan postrzeleniec powrócił z wojny, czy nie?

Posłaniec. Nie znam nikogo, coby się tak nazywał, łaskawa pani; nikogo takiego pomiędzy znakomitościami nie było.

Leonato. O kogo to się pytasz, synowico?

Hero. Krewniaczka moja ma na myśli pana Benedykta z Padwy.

Posłaniec. O, wrócił; a wesół, jak zawsze.

Beatrycze. On tu w Messynie porozwieszał swoje kartelusze i wyzwał Kupidyna na strzały, a błazen mego stryja, przeczytawszy wyzwanie, podpisał je za Kupidyna i wyzwał go na bełty. Powiedzcie mi, proszę, ilu on zabił i pożarł w tej wojnie? Albo raczej, ilu zabił? bo, wistocie, przyrzekłam mu, że zjem wszystkich, których on zabije.

Leonato. Wierzajcie mi, kuzynko, że zbyt sobie szydzicie z Benedykta; ale on się wam odwzajemni, niema wątpliwości.

Posłaniec. W wojnie tej, łaskawa pani, niepospolite oddał on usługi.

Beatrycze. Mieliście spleśniałą żywność, a on wam ją zjeść dopomógł; waleczny z niego krajczy, wspaniały ma żołądek.

Posłaniec. Ale przytem dobry z niego żołnierz, łaskawa pani.

Beatrycze. Dobry z niego żołnierz przy lada pani. Ale jakim on przy lada panu?

Posłaniec. Panem przy panu, mężem przy mężu; jest on pełen wszelkich zacnych przymiotów.

Beatrycze. Tak jest, pełny on zawsze, żyje dlatego, żeby być pełnym! Zresztą, wszyscy jesteśmy śmiertelni.

Leonato. Nie sądźcie, panie, źle mej synowicy; pomiędzy panem Benedyktem a nią panuje rodzaj żartobliwej wojny; nie spotykają się z sobą, aby natychmiast nie wszczynać utarczki na dowcipy.

Beatrycze. Tylko on jej nigdy nie wygrywa. W ostatniem naszem spotkaniu okulały cztery z jego pięciu dowcipów, i dzisiaj cała jego osoba musi się posługiwać tylko jednym jedynym; tak że jeżeli ma dosyć dowcipu, aby chować się ciepło, to niech dobrze go strzeże, jako jedyną różnicę pomiędzy nim a jego koniem; cały to bowiem skarb, który mu pozostał, aby świadczyć o tem, że jest rozumnem stworzeniem. Któż jest teraz jego towarzyszem? Bo co miesiąc ma on nowego braciaszka.

Posłaniec. Czy to być może?

Beatrycze. Bardzo łatwo; z wiernością ma się u niego tak, jak z fasonami jego kapeluszy; zmienia je według coraz to świeższej mody.

Posłaniec. Jak widzę, łaskawa pani, to szlachcic ten nieświetnie u was zapisany.

Beatrycze. Tak jest; gdyby było inaczej, spaliłabym wszystkie swoje papiery. Ale, proszę waści, kto mu teraz towarzyszem? Czy nie znalazł jakiego młodego zawadyaki, gotowego z nim razem przedsięwziąć podróż do samego czarta?

Posłaniec. Najczęściej przebywa w towarzystwie wielce dostojnego pana Klaudya.

Beatrycze. Przyczepi się do niego, jak choroba: łatwiej się nim zarazić, niż dżumą, a zarażony popada odrazu w szaleństwo. Niech biednego Klaudya Pan Bóg wspiera! jeżeli zaraził się Benedyktem, to wyda tysiąc funtów, a jeszcze się nie wyleczy.

Posłaniec. Chciałbym z wami żyć w przyjaźni, łaskawa pani.

Beatrycze. I owszem, dobry mój przyjacielu.

Leonato. Wy, moja synowico, nie oszalejecie nigdy.

Beatrycze. Nie, dopóki upalny nie nastanie styczeń.

Posłaniec. Zbliża się Don Pedro.

(Don Pedro w towarzystwie Baltazara i innych, Don Juan, Klaudyo i Benedykt).

Don Pedro. Dobry panie Leonato, wychodzicie na spotkanie trosk; zwykłym świata trybem unikamy kosztów, a wy ich sami szukacie.

Leonato. Nigdyć w dom mój nie weszła troska w postaci waszej miłości; kiedy nas troska opuści, zostaje nam ulga; wy zaś, odchodząc, żal po sobie zostawiacie, i szczęście żegna mnie wtedy.

Don Pedro. Zbyt chętnie podejmujecie swój ciężar. Zdaje mi się, że to wasza córka.
Leonato. Tak nieraz mówiła mi jej matka.
Benedykt. Czy mieliście jakie wątpliwości, łaskawy panie, żeście się o to pytali?
Leonato. Nie, panie Benedykcie, gdyż wówczas byliście jeszcze dzieckiem.
Don Pedro. Macie za swoje, Benedykcie; odgadujemy więc z tego, czem dziś jesteście, wyrósłszy na mężczyznę. Wistocie, sama córka zdradza, kto jej ojcem. Niech wam sprzyja szczęście, łaskawa pani, albowiem jesteście obrazem dostojnego ojca.
Benedykt. Jeżeli sinior Leonato jej ojcem, to, jakkolwiek doń podobna, nie chciałaby za całą Messynę głowy jego na swoich nosić ramionach.
Beatrycze. Dziwię się, panie Benedykcie, że nieustannie chce wam się gadać, nikt was przecie nie słucha.
Benedykt. Jakto, moja droga pani Wzgardo! jeszczeście przy życiu?
Beatrycze. Czyż to możliwem, ażeby wzgarda umarła, mając taką sławę, jak pan Benedykt? Sama uprzejmość musi się przemienić w wzgardę, jeśli wy jej pokażecie się na oczy.
Benedykt. W takim razie uprzejmość jest wietrznicą. Atoli to jedno jest pewnem, że, oprócz was, kochają mnie wszystkie kobiety; a co do mnie, to z całego serca pragnąłbym, ażeby moje serce nie było tak twarde, albowiem ja nikogo, wierzajcie mi, nie kocham.
Beatrycze. Wielkie to dla kobiet szczęście, albowiem szkodliwym musiałyby się niepokoić kochankiem. Dzięki Bogu i mojemu zimnemu sercu, jestem w tej sprawie jednego z wami zdania. Wolałabym raczej słuchać szczekania mojego psa na wrony, niżeli mężczyzny, przysięgającego, że mnie kocha.
Benedykt. Oby was Pan Bóg na zawsze przy takiem zachował usposobieniu; uniknie w takim razie ten lub ów szlachcic przeznaczonego mu podrapania twarzy.
Beatrycze. Gdyby twarz podobną była do waszej, to podrapanie więcejby jej oszpecić nie mogło.
Benedykt. I owszem, rzadki wzór miałyby z was papugi.
Beatrycze. Lepszy ptak z moim językiem, niźli bydlę z waszym.
Benedykt. Życzyłbym sobie, ażeby koń mój tak był szybkim, jak wasz język, a i równie niestrudzonym: ale pędźcie sobie dalej, ja już skończyłem.
Beatrycze. Zawsze kończycie szkapim dowcipem, znam was oddawna.
Don Pedro. Koniec końcem: Don Juanie, panie Klaudyo i panie Benedykcie, drogi mój przyjaciel Leonato zaprosił was wszystkich.
Leonato. Gdybyście przysięgli, nie popełnilibyście krzywoprzysięstwa; pozwólcie mi was powitać, miłościwy panie; z chwilą, gdyście się pojednali z waszym książęcym bratem, jestem na wasze usługi.
Don Juan. Dziękuję; nie lubię dużo słów, ale dziękuję.
Leonato. Czy raczycie pójść naprzód?
Don Pedro. Podajcie mi rękę, Leonato; pójdziemy razem.
(Wychodzą wszyscy z wyjątkiem Benedykta i Klaudyo).
Klaudyo. A cóż, Benedykcie, spostrzegłeś córkę Leonata?
Benedykt. Nie spostrzegłem jej, lecz patrzyłem na nią.
Klaudyo. Nie skromna z niej panienka?
Benedykt. Czy pytacie, jako uczciwy człowiek, o szczere, proste moje zdanie? Czy też chcecie, abym wam odpowiedział, jako zdeklarowany tyran jej płci?
Klaudyo. Proszę cię o proste zdanie.
Benedykt. A więc, na mój honor, za nizką jest na szczytną pochwałę, za ciemną na świetną pochwałę, za małą na wielką pochwałę; to tylko mógłbym powiedzieć na jej korzyść, że, gdyby była inną, aniżeli jest, to nie byłaby piękną, a ponieważ nie jest inną, aniżeli jest, dlatego mi się nie podoba.
Klaudyo. Zdaje ci się, że żartuję; proszę cię, powiedz mi szczerze, jak ci się podoba.
Benedykt. Czy może chcecie ją kupić, że się tak o nią dopytujecie?
Klaudyo. Czyż świat mógłby kupić taki klejnot?
Benedykt. Tak, i pokrowiec dla niego. Ale czy mówicie to naprawdę, czy też chcecie się zabawić w żartownisia i powiedzieć, że z Kupidyna dobry strzelec na zające, a rzadki cieśla z Wulkana? A więc mówcie, jakiego klucza potrzeba, ażeby dostroić się do waszej nuty?
Klaudyo. W moich oczach jest to najładniejsza dama, jaką kiedykolwiek widziałem.
Benedykt. Umiem patrzeć i bez okularów, a jednak tego wszystkiego nie widzę. Jest i jej kuzynka: gdyby nie

była opętaną przez furyę, toby ją tak prześcignęła pięknością, jak pierwszy maja prześciga ostatni grudnia. Ale spodziewam się, że nie myślicie zmieniać się w małżonka; lub czy to może zamierzacie?

Klaudyo. Choć zaprzysiągłem co innego, nie ufałbym sobie, gdyby Hero chciała zostać moją żoną.

Benedykt. Do tego więc doszło? Niema więc już na świecie człowieka, któryby czapkę swą nosił bez podejrzliwości? Nie ujrzę już kawalera o sześciu krzyżykach? I owszem, jeśli już koniecznie chcesz pod jarzmo nagiąć karku, to je sobie dźwigaj i spędzaj niedziele na wzdychaniu. Patrz; Don Pedro wrócił, aby nas poszukać.

(Wraca Don Pedro).

Don Pedro. Jakaż tajemnica zatrzymała was tutaj, że nie podążyliście za Leonatem?

Benedykt. Chciałbym, ażeby wasza łaskawość zmusiła mnie do wyznania tego.

Don Pedro. Rozkazuję ci na twoje leństwo.

Benedykt. Słyszycie, hrabio Klaudyo; mogę milczeć, jak niemowa; chciałbym, ażebyście mi wierzyli. Ale na moje leństwo — uważajcie — na moje leństwo: on się kocha. W kim — zapyta się wasza łaskawość. Uważajcie, jaka krótka odpowiedź: w Hero, krótkiej córce Leonata.

Klaudyo. Gdyby tak było, sprawa byłaby ubita.

Benedykt. Tak, jak stara bajka, mości książę: tak nie jest ani tak nie było; i oby tylko Bóg nie dopuścił, aby tak się stało.

Klaudyo. Jeżeli namiętność moja wkrótce się nie zmieni, to uchowaj, Boże, aby stało się inaczej.

Don Pedro. Amen, jeżeli ją kochacie, albowiem dama to wielce tego godna.

Klaudyo. Mówicie tak, miłościwy książę, aby mnie wypróbować.

Don Pedro. Na honor, wypowiadam tylko swoje myśli.

Klaudyo. A ja, na honor, miłościwy książę, wypowiadam swoje.

Benedykt. Na dwa honory i dwie uczciwości, miłościwy książę, i ja wypowiadam swoje.

Klaudyo. Czuję, że ją kocham.

Don Pedro. A ja wiem, że tego godna.

Benedykt. A że ja ani czuję, jak kochać można, ani wiem, żeby tego była godna, to moje przekonanie, którego ze mnie żaden nie wytopi ogień; umrę z tem na stosie.

Don Pedro. W wzgardzie dla piękności byłeś zawsze zatwardziałym heretykiem.

Klaudyo. A który nie umiał nigdy odegrać swej roli inaczej, jak tylko zadając gwałt swej woli.

Benedykt. Że urodziła mnie kobieta, dziękuję jej za to; że mnie wychowała, i za to najpokorniejsze składam jej dzięki, ale żebym sobie miał na czole kazać psy wywoływać, lub żebym miał róg swój na niewidzialnem zawieszać ramieniu, to mi już chyba wszystkie kobiety wybaczą. Ponieważ nie chcę wyrządzać im krzywdy, ażebym miał której z nich niedowierzać, dlatego też wolę zachować sobie prawo i nie wierzyć żadnej; koniec końcem (a koniec to najlepszy) zostanę sobie kawalerem.

Don Pedro. Zanim umrę, zobaczę cię jeszcze bladym z miłości.

Benedykt. Z gniewu, z choroby albo z głodu, miłościwy panie; lecz nigdy z miłości. Udowodnijcie mi, że więcej stracę krwi z miłości, aniżeli jej odzyskam szklanką wina, a możecie mi wykłuć oczy piórem jakiego autora ballad i powiesić mnie nad drzwiami osławionego domu pod godłem ślepego Kupidyna.

Don Pedro. A więc dobrze, jeżeli kiedy wyrzeczesz się tej wiary, to znakomitym będziesz dla drugich argumentem.

Benedykt. Jeśli to uczynię, powieście mnie w butli, jak kota, i strzelajcie do mnie, a kto mnie trafi, poklepcie go po ramieniu i nazwijcie go Adamem.

Don Pedro. I owszem, czas ten nadejdzie,
»Kiedy pod jarzmo dziki byk się nagnie«.

Benedykt. Dziki byk, to być może, ale jeżeli rozumny Benedykt to zrobi, to odtrąćcie bykowi rogi i umieśćcie je na mojem czole, każcie mnie odmalować i wielkiemi literami, jak się zwykle pisze: »Tu są dobre konie do najęcia«, każcie pod moim podpisać wizerunkiem: »Tutaj można zobaczyć małżonka Benedykta«.

Klaudyo. Jeśli to się kiedy stanie, co to za rogobodziec będzie z ciebie.

Don Pedro. Jeżeli Kupido nie wystrzelał w Wenecyi całego sajdaka, to niebawem zatrzęśniesz się przed nim.

Benedykt. Musiałoby wprzód nastąpić trzęsienie ziemi.

Don Pedro. Owszem, przyjdzie czas, przyjdzie na to rada. Teraz, dobry panie Benedykcie, idźcie do Leonata, poleććie mnie jego względom i oświadczcie mu, że nie omieszkam przybyć doń na wieczerzę, bo podobno wielkie poczynił przygotowania.

Benedykt. Na takie poselstwo mam w sobie, zdaje mi się, dosyć materyału; a zatem polecam was —

Klaudyo. Opiece niebieskiej: Dan w moim domu (jeśli go posiadam) —

Don Pedro. Dnia szóstego lipca: Wasz życzliwy przyjaciel Benedykt.

Benedykt. Nie żartujcie sobie, nie żartujcie: tkanina waszej wymowy obramowana skrawkami, a bramówki te słabiutko przyszyte; nim zaczniecie znowu stare wygrzebywać dowcipy, policzcie się wprzódy ze swojem sumieniem. A więc żegnam was.

(Wychodzi Benedykt).

Klaudyo. Wielką mi, książę, świadczyć możesz łaskę.

Don Pedro. Miłość ma twoją, zechciej ją pouczyć,
A wnet zobaczysz, że i najtrudniejszą
Pojmie naukę — dla twojego dobra.

Klaudyo. Ma Leonato syna, mości książę?

Don Pedro. Nie, tylko Hero, jedyną dziedziczkę:
Kochasz ją, Klaudyo?

Klaudyo. Miłościwy panie,
Nim poczęliście skończoną dziś wojnę,
Patrzałem na nią oczami żołnierza;
Podobała się, lecz upodobanie
Nie mogło dojrzeć w miłość, dzięki twardszej,
Surowszej służbie; dzisiaj, gdym powrócił,
Kiedy bojowe ustąpiły myśli,
Tkliwsze życzenia zajęły ich miejsce,
Każde dowodząc, jak piękną jest Hero,
Jak podobała mi się przed wyprawą.

Don Pedro. Widzę, że jesteś, jak każdy kochanek,
Że naszym uszom księga słów zagraża.
Kochaszli piękną Hero, miej nadzieję,
Będę ci swatem u niej i u ojca,
A mieć ją będziesz. Czyż to nie w tym celu
Taką misterną jąłeś snuć opowieść?

Klaudyo. Słodko umiecie chorą leczyć miłość,
Zaraz jej troskę rozpoznawszy z twarzy;

By się zbyt nagłą miłość nie wydała,
Chciałem ją dłuższą upiększyć osnową.

Don Pedro. Po co szerszego mostu, niźli rzeka?
Dar najpiękniejszy, gdy dany w potrzebie:
Co ci potrzebnem, będziesz miał; ty kochasz,
A ja niezbędne podam ci lekarstwo.
Ponoć będziemy mieli bal tej nocy:
A więc w przebraniu przejmę twoją rolę
I pięknej Hero powiem, żem ja Klaudyo,
Całe me serce odkryję jej łonu,
W niewolę wezmę jej uszy potężną
Mojej miłosnej opowieści siłą;
Następnie wszystko wyłożę jej ojcu,
A koniec końcem, ona będzie twoją.
Do dzieła zatem weźmy się natychmiast.

(Wychodzą).

SCENA II.

Pokój w domu Leonata.

(Wchodzą Leonato i Antonio).

Leonato. Cóż tam, bracie? Gdzie mój krewniak, twój syn? Postarał się o muzykę?

Antonio. Bardzo jestem zajęty. Ale, bracie, mogę ci dziwne powiedzieć nowiny, o jakich ci się nie śniło.

Leonato. A czy dobre?

Antonio. Zależy to od pieczęci, jaką na nich położy skutek; mają przynajmniej piękną okładkę; z wierzchu wyglądają dobrze. Jeden z moich służebników podsłuchał księcia i hrabiego Klaudya w chwili, gdy się przechadzali w gęstej alei mojego ogrodu. Książę zwierzył się przed Klaudyem, że zakochał się w mojej krewniaczce, waszej córce, i że ma zamiar oświadczyć się jej dzisiejszej nocy podczas tańca, a jeżeli zobaczy, że panna się zgadza, wówczas pochwyci sposobność na gorącym uczynku i pomówi o tem z wami.

Leonato. Rozumny to chłopak, co wam to powiedział?

Antonio. Chłopak uczciwy i bystry: poślę po niego, możecie się go wypytać sami.

Leonato. Nie, nie, uważajmy to za sen, dopóki się sam nie sprawdzi: powiadomię jednak córkę, aby się mogła

lepiej przygotować na odpowiedź, gdyby to przypadkiem miało być prawdą. Idźcie i powiedzcie jej o tem.

(Różne osoby przechodzą przez scenę).

Kuzynowie, wiecie, co macie zrobić. O, wybaczcie, mój przyjacielu, ale musicie iść ze mną, potrzeba mi waszej rady. Dobrzy kuzynowie, dajcie baczenie w tych niespokojnych czasach.

(Wychodzą).

SCENA III.

Inny pokój w domu Leonata.

(Wchodzą Don Juan i Konrad).

Konrad. Mości książę, czemuście tak nad miarę smutny?

Don Juan. Mam przyczyn nad miarę, i dlatego to smutek mój nie posiada granic.

Konrad. Powinniście słuchać rozsądku.

Don Juan. Dziwię się, że urodzonemu, jak powiadasz, pod Saturnem, zachciewa ci się na śmiertelną chorobę moralny polecać środek. Nie mogę ukryć, kim jestem: smutnym być muszę, gdy mam powód, i nie uśmiechać się na żarty niczyje; jeść, kiedym głodny, i na niczyje czekać pozwolenie; spać, gdy jestem senny, i nie troszczyć się o niczyje sprawy; śmiać się, gdy jestem wesoły, i niczyim pochlebiać humorom.

Konrad. Tak, ale nie powinniście tego wszystkiego tak odrazu na jaw wystawiać, dopóki nie możecie tego czynić bez uszczerbku swej woli. Poróżniliście się niedawno z bratem, a on przyjął was znowu do swej łaski; jest to więc niepodobieństwem, abyście mogli zapuścić w niej korzenie, jeżeli sobie sami odpowiedniej nie sprawicie pogody; potrzeba, abyście sami dla żniwa swego stosowną stworzyli sobie porę.

Don Juan. Wolałbym raczej być głogiem w płocie, niżeli różą w jego łasce; i godniejszem to mojej krwi być od wszystkich wzgardzonym, aniżeli strojeniem minek kraść sobie czyjąkolwiek miłość: tyle przynajmniej jest pewnem, że nikt nie nazwie mnie poczciwym pochlebcą, ale też nikt nie zaprzeczy, że szczery ze mnie hultaj. Ufają mi, gdy noszę kaganiec, puszczają mnie, gdy jestem spętany: dlatego też postanowiłem nie śpiewać w swej klatce. Kąsałbym, gdybym mógł otworzyć szczęki, czyniłbym, coby mi się podobało, gdybym miał swobodę; aż dotąd zostaw mnie takim, jakim jestem, i nie staraj się mnie przekabacać.

Konrad. A nie możecie skorzystać z swego niezadowolenia?

Don Juan. Korzystam, ile tylko mogę, bo tego tylko używam. Któż to idzie? Cóż nowego, Borachio?

(Wchodzi Borachio).

Borachio. Idę stamtąd, z wielkiej wieczerzy; księcia, waszego brata, przyjmował Leonato po królewsku; mogę wam też powiedzieć tymczasem coś o zamierzonem małżeństwie.

Don Juan. A posłuży mi to za grunt, na którym mógłbym zbudować jaką psotę? Cóż to za błazem, który zawiera śluby z niespokojnością?

Borachio. Waszego brata prawa ręka.

Don Juan. Co? nieoszacowany Klaudyo?

Borachio. On sam.

Don Juan. Szczególny kawaler! A kto? A kogo też sobie upatrzył?

Borachio. Kogoż by innego, jeśli nie Hero, córkę i dziedziczkę Leonata.

Don Juan. To kurczę marcowe? Jakeście się o tem dowiedzieli?

Borachio. Jestem do wykadzania pokoi. Właśnie okadzałem zatęchłą komnatę, gdy wtem zbliża się Klaudyo pod rękę z księciem w poważnej rozmowie; chowam się więc za obicie i słyszę, jak się umawiają, że książę ma się starać o Hero dla siebie, a potem, gdy ją dostanie, oddać ją hrabiemu Klaudyo.

Don Juan. Dalej, dalej, chodźmy tam; może znajdę karm dla mojego gniewu. Temu młodemu dorobkiewiczowi należy się cała sława mojego upadku: jeśli mu choć raz pokrzyżuję drogi, to się na zawsze uczuję szczęśliwym. Mogę się spuścić na was obu? nie odstąpicież mnie?

Konrad. Aż do śmierci, książę.

Don Juan. Chodźmy na tę wielką ucztę; uciecha ich tem większa, że ja zgnębiony. Gdyby tak kucharz miał moje myśli! Idźmy zobaczyć, co nam czynić wypada.

Borachio. Jesteśmy na wasze rozkazy, miłościwy książę.

(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Sala w domu Leonata.

(Wchodzą: Leonato, Antonio, Hero, Beatrycze i inni).

Leonato. Hrabia Juan nie był dziś na wieczerzy.
Antonio. Nie widziałem go.
Beatrycze. Jak kwaśną ten człowiek ma minę. Ile razy go zobaczę, przez godzinę potem pali mnie zgaga.
Hero. Wielce melancholijne ma usposobienie.
Beatrycze. Doskonały byłby to człowiek, któryby trzymał środek pomiędzy nim a Benedyktem; jeden jest zbyt podobny do obrazu i nic nie mówi, a drugi podobny do najstarszego syna mej pani: ciągle paple.
Leonato. A zatem pół języka pana Benedykta w ustach hrabiego Juana, a pół melancholii hrabiego Juana w twarzy pana Benedykta.
Beatrycze. A do tego pewna noga i piękna stopa i dosyć pieniędzy w kiesie, a człowiek taki mógłby pozyskać każdą kobietę na świecie, gdyby umiał zdobyć sobie jej względy.
Leonato. Na honor, krewniaczko, chyba nigdy męża sobie nie zdobędziesz, jeżeli tak złośliwy będziesz miała język.
Antonio. O tak, zbyt jest złośliwa.
Beatrycze. Zbyt złośliwa to więcej, niż złośliwa; w ten sposób tracę dar Boży, albowiem napisano: »Pan Bóg złej krowie krótkie daje rogi, ale krowie zbyt złośliwej nie daje żadnych«.
Leonato. A zatem, ponieważ jesteś zbyt złośliwa, więc Bóg nie da ci żadnych rogów.
Beatrycze. Słusznie, jeżeli mi nie da męża, a jest to błogosławieństwo, o które codziennie, rano i wieczór, na klęczkach błagam. Nieba! jakżeż ja bym mogła wytrzymać przy mężu z brodą w twarzy: wolałabym spać na wełnie.
Leonato. Możesz sobie poszukać męża bez brody.
Beatrycze. Cóżbym z takim poczęła? Ubrać go w moją suknię i zrobić z niego garderobianą? Kto ma brodę, jest więcej, niż dzieciuch, a kto jej nie ma, jest mniej, niż mąż: kto jest więcej, niż dzieciuch, ten nie dla mnie, a kto jest mniej, niż mąż, to ja nie jestem dla niego. Dlatego też wolę raczej wziąć szóstaczka nagrody od niedźwiednika i poprowadzić jego małpy do piekła.

Leonato. Idź więc do piekła.
Beatrycze. Nie, tylko do jego bram. Naprzeciwko mnie wyjdzie wtedy, jak stary rogal, dyabeł z rogami na głowie i rzecze: ruszaj sobie stąd precz do nieba, Beatrycze, ruszaj sobie do nieba! Tu nie jest miejsce dla dziewcząt; wtedy to oddam mu swoje małpy i nuże co prędzej do świętego Piotra ku niebieskim bramom; ten mi pokaże, gdzie siedzą kawalerowie, i tam żyć będziemy wesoło, jak dzień długi.
Antonio *(do Hero).* Mam nadzieję, że ty, kochana synowico, poddasz się radom ojca?
Beatrycze. Tak jest; obowiązkiem to mojej kuzynki dygnąć grzecznie i powiedzieć: »Jak się wam, ojcze, podoba«. W każdym razie, moja kuzyneczko, powinien to być młodzian nadobny, inaczej dygnij powtórnie i powiedz: »Ojcze, jak mnie się podoba«.
Leonato. Spodziewam się, moja synowico, że i ciebie pewnego pięknego poranku ujrzę przy boku męża.
Beatrycze. Nie prędzej, aż Pan Bóg ulepi mężczyzn z innego metalu, niż ziemia. Nie byłobyż to przykrem dla kobiety dać sobą rządzić bryle ciężkiej gliny? Zdawać obrachunek z swego postępowania przed marną kupą błota? Nie, stryjaszku, nie chcę ja żadnego: synowie Adama są moimi braćmi; a wierzajcie mi, poczytałabym sobie za grzech szukać męża w rodzeństwie.
Leonato. Pamiętaj, córko, com ci powiedział: jeżeli książę podobneć zrobi oświadczenie, to wiesz, jaką mu dać odpowiedź.
Beatrycze. Winą będzie muzyki, moja kuzynko, jeżeli ci się w właściwym nie oświadczy czasie. Jeżeli książę zbyt będzie natarczywy, to powiedz mu, że powinna być miara w każdej rzeczy, i tańcem wytnij mu odpowiedź. Bo słuchaj, Hero, zalecanki, ślub i żal to mazur, polonez i okrągły; pierwsze oświadczyny są gorące i namiętne, jak mazur, pełne fantazyi; zaślubiny zaś uroczyste i pełne staroświeckiej powagi, jak polonez; a potem przychodzi żal i krzywemi nogi zaczyna

okrągłego, coraz wolniej, coraz wolniej, aż się w grób zatoczy.

Leonato. Czarno widzisz rzeczy, moja synowico.

Beatrycze. Dobre mam oczy, stryju; i w jasny dzień mogę dostrzedz kościół.

Leonato. Maski weszły; zróbmy im miejsce, bracie.

(Wchodzą Don Pedro, Klaudyo, Benedykt, Baltazar, Don Juan, Borachio, Małgorzata, Urszula i inni w maskach).

Do Pedro. Nie przeszlibyście się, pani, z waszym przyjacielem?

Hero. Byleście szli powoli, grzecznie poglądali i nic nie mówili, to rada przejdę się z wami; a zwłaszcza, aby stąd odejść.

Don Pedro. Ze mną, w mojem towarzystwie?

Hero. Mogę tak powiedzieć, gdy mi się spodoba.

Don Pedro. A kiedy się wam spodoba tak powiedzieć?

Hero. Gdy mi się wasza twarz spodoba; bo, uchowaj Boże, aby lutnia podobną była do futerału.

Don Pedro. Maska moja jest, jak dach Filemona; wewnątrz, pod tą maską Jowisz gości.

Hero. W takim razie maska wasza powinna być obszyta słomą. *(Przechodzą).*

(Małgorzata i Baltazar w maskach).

Małgorzata. Gadajcie pocichu, mówiąc o miłości.

Baltazar. Pragnąłbym, abyście mnie miłowali.

Małgorzata. Nie pragnęłabym tego, ze względu na wasze dobro. Posiadam dużo złych przymiotów.

Baltazar. Naprzykład?

Małgorzata. Zwykłam głośno się modlić.

Baltazar. Tem milszą jesteście dla mnie; ci, którzy was słyszą, mogą dopowiedzieć Amen.

Małgorzata. Daj mi, Panie Boże, dobrego tancerza.

Baltazar. Amen.

Małgorzata. Weź mnie go, Panie Boże, z oczu, skoro taniec się skończy. Dalejże, ministrancie, czekam na odpowiedź.

Baltazar. Dobrze, dobrze; ministrant odpowiedź już znalazł.

(Przechodzą Antonio i Urszula w maskach).

Urszula. Znam was aż nadto; jesteście Antonio.

Antonio. Na słowo, nie jestem nim.

Urszula. Poznałam was po chwiejącej się głowie.

Antonio. Aby powiedzieć prawdę, to ja go naśladuję.

Urszula. Nie moglibyście go nigdy tak strasznie dobrze naśladować, gdybyście nie byli nim samym. Tu oto całkowicie jego zwiędła ręka; wy nim jesteście, wy nim jesteście.

Antonio. Na słowo, nie jestem nim.

Urszula. Idźcieże sobie, idźcie; sądzicie, że nie poznam was po waszym świetnym dowcipie? Czyż cnota tak się ukrywać może? Tak! tak! wy nim jesteście; wdzięk nie da się tak ukryć i koniec na tem. *(Przechodzą).*

(Benedykt i Beatrycze w maskach).

Beatrycze. Nie raczycie mi powiedzieć, kto wam to powiedział?

Benedykt. Wybaczcie, ale nie powiem.

Beatrycze. I nie powiecie, kto jesteście?

Benedykt. Nie teraz.

Beatrycze. Że jestem wzgardliwa i że dowcipy swoje biorę z »Stu wesołych opowieści«... Owszem, powiedział to pan Benedykt.

Benedykt. Cóż to za jeden?

Beatrycze. Jestem pewna, że znacie go aż zanadto.

Benedykt. Nie, wierzajcie mi.

Beatrycze. Nigdy on was nie pobudził do śmiechu?

Benedykt. Proszę was, któż to taki?

Beatrycze. Jest to błazen książęcy; trefniś bardzo płaski, który ma patent wynajdywania niestworzonych potwarzy. Nikt nie ma w nim upodobania, oprócz rozpustników, a nie zaleca go im dowcip, tylko jego grubiaństwo, które im się naprzód podoba, a potem ich gniewa, najpierw z niego się śmieją, a potem go biją. Wiem z pewnością, że znajduje się w tej flocie, pragnęłabym, aby nasze statki spotkały się z sobą.

Benedykt. Jeżeli poznam tego szlachcica, powiem mu, coście o nim mówili.

Beatrycze. Owszem, owszem. Wystrzeli na mnie dwa lub trzy porównania, a jeżeli się przypadkiem zdarzy, że nikt ich nie spostrzeże albo śmiać się z nich będzie, to popadnie w melancholię, a wówczas ocalone jedno kuropatwie skrzydło, bo błazen ten z pewnością jeść nie będzie tej nocy. *(Słychać muzykę za sceną).* Trzeba iść za przewodnikami.

Benedykt. We wszystkiem, co dobre.

Beatrycze. Tak jest; jeżeli zechcą prowadzić ku złemu, opuszczę ich przy najbliższym skręcie.

(Taniec. Wchodzą Don Juan, Borachio i Klaudyo).

Don Juan. Z pewnością, brat mój zakochał się w Hero i wziął jej ojca na stronę, aby mu się oświadczyć; panie idą za nią, pozostała tylko jedna maska.
Borachio. To Klaudyo; poznałem go po jego postawie.
Don Juan. Czy to nie wy, panie Benedykcie?
Klaudyo. Poznaliście mnie, ja nim jestem.
Don Juan. Panie! jesteście przyjaźnią memu bratu najbliżsi; on kocha Hero; proszę was, odwiedźcie go od niej, nie odpowiada ona jego pochodzeniu; postąpilibyście sobie, jako uczciwy człowiek.
Klaudyo. Skąd wiecie, że on ją kocha?
Don Juan. Słyszałem, jak jej zaprzysięgał miłość.
Borachio. I ja to słyszałem; przysięgał, że chce się z nią ożenić jeszcze tej nocy.
Don Juan. Idźmy na ucztę.

(Wychodzą Don Juan i Borachio).

Klaudyo. Jako Benedykt, dałem mu odpowiedź,
Lecz uchem Klaudya tę złą wieść słyszałem.
Tak! książę chce ją dla samego siebie;
Przyjaźń stateczną w wszystkich innych sprawach,
Tylko nie w sprawie i służbie miłości.
Niechaj więc serca zakochane własnym
Mówią językiem, niech każde za siebie
Porozumiewa się oko, nie wierząc
Pośrednikowi; piękność czarodziejką,
Co swymi czary wierność w krew przetapia;
Dowody tego każdy dzień przynosi,
A jam nie wierzył temu: żegnaj, Hero!

(Wraca Benedykt).

Benedykt. Hrabia Klaudyo?
Klaudyo. Tak jest, on sam.
Benedykt. Pójdziecie ze mną?
Klaudyo. Dokąd?
Benedykt. Pod najbliższą wierzbę, w waszym własnym interesie, hrabio. W jaki sposób chcecie nosić swój wianek? Naokoło szyi, niby łańcuch lichwiarza? Czy pod pachą, nakształt szarfy porucznika? Musicie ją nosić w ten lub owy sposób, gdyż książę zdobył waszą Hero.
Klaudyo. Życzę mu z nią szczęścia.
Benedykt. Istotnie, słowo poczciwego wolarza. W ten sposób sprzedają woły. Czybyście kiedy pomyśleli o tem, że książę tak wam się przysłuży?

Klaudyo. Proszę was, dajcie mi spokój.
Benedykt. Ho, ho! Jesteście jak ów ślepiec. Chłopak skradł wam jedzenie, a wy chcecie walić w kołek.
Klaudyo. Jeśli wy nie chcecie, to ja odchodzę.

(Wychodzi).

Benedykt. Ach! biedne, postrzelone kurczę! Zawlecze się teraz w sitowie. Ale że też panna Beatrycze niby mnie zna, a jednak nie zna... Błazen księcia!... Być może, że mi się ten tytuł należy, ponieważ lubię żarty stroić... Tak! — lecz nie — gotówem sam sobie krzywdę wyrządzić. Nie mam takiej reputacyi pomiędzy ludźmi; to tylko Beatrycze w swem złośliwem, uszczypliwem usposobieniu za świat uważa swoją osobę i tak mnie sądzi. Owszem, pomszczę się za to, jak umiem.

(Wraca Don Pedro).

Don Pedro. Powiedzcie mi, panie, gdzie jest hrabia? Nie widzieliście go?
Benedykt. Na uczciwość, miłościwy panie, odegrałem rolę pani Famy. Widziałem go tutaj tak melancholijnego, jak chatka w lesie; powiedziałem mu, a zdaje mi się, że powiedziałem mu prawdę, że wasza miłość pozyskała względy tej młodej damy, i ofiarowałem mu towarzystwo swoje do wierzbiny, żeby mu albo wianek upleść, ponieważ mu się sprzeniewierzono, albo wziąć rózgę, ponieważ zasłużył sobie na chłostę.
Don Pedro. Na chłostę? Cóż takiego zawinił?
Benedykt. Zawinił, jak głupi żaczek, co to, uradowany znalezieniem ptasiego gniazda, pokazał je towarzyszowi, a ten mu je ukradł.
Don Pedro. A więc ufność nazywasz przewiną? Przewina po stronie złodzieja.
Benedykt. Nie byłoby więc żadnym zbytkiem, gdybyśmy wzięli rózgę i uwinęli wianek; wianek mógłby on sam nosić, a rózga byłaby dla was, bo, o ile mi się zdaje, to wyście mu ukradli gniazdo.
Don Pedro. Chcę tylko pisklęta nauczyć śpiewać, a potem zwrócić je właścicielowi.
Benedykt. Jeżeli śpiew ich dostroi się do waszej nuty, to na honor, uczciwie mówicie.
Don Pedro. Panna Beatrycze ma do was pretensyę; szlachcic, który z nią tańczył, powiedział jej, żeście ją ciężko skrzywdzili.
Benedykt. To ona chciała wypróbować na mnie cierpli-

wości pniaka; dąb, choćby z jednym listeczkiem zielonym, odpowiedziałby jej, nawet moja maska zaczęła się ożywiać i z nią się kłócić. Powiedziała mi, nie przypuszczając, że mnie właśnie ma przed sobą, iż jestem błaznem księcia; że jestem nudniejszy od wielkich roztopów; kpiny za kpinami z taką na mnie rzucała niemożliwą szybkością, żem stał, jak truśka u celu, do którego strzela cała armia. Przemawia sztyletami, a każde jej słowo przebija; gdyby jej oddech tak był okropny, jak jej wyrazy, to niktby w jej pobliżu nie wyżył. Nie ożeniłbym się z nią, choćby dostała w posagu wszystko, co tylko Adam posiadał, nim zgrzeszył. Zmusiłaby samego Herkulesa do obracania jej rożna; tak! maczugę swoją byłby połupał, aby rozniecić ogień. O, nie mówmy o niej. Piekielna to, ale w pięknem odzieniu. Dałby nam Bóg jakiego mędrca, coby ją zażegnał; bo, na uczciwość, dopóki ona z nami, to w piekle żyje się spokojniej, aniżeli na poświęconem miejscu, i ludzie grzeszą naumyślnie, aby się tylko tam dostać; tak niepokój, groza i zamieszanie idą za jej śladem.

(Wraca Klaudyo, Beatrycze, Leonato i Hero).

Don Pedro. Patrzajcie, oto i ona!

Benedykt. Czy wasza łaskawość nie ma dla mnie jakiej służby aż gdzieś na końcu świata? Popędziłbym za najdrobniejszą sprawą aż do Antypodów, gdybyście mnie tam wysłać zechcieli. Wolę pójść wam po piórko do zębów na ostatni kraniec Azyi, przynieść miarę stopy księdza Jana, postarać się o włosek z brody wielkiego chana, podjąć się poselstwa do pigmejczyków, niż wytrzymać trzy słowa rozmowy z tą harpią; nie macie dla mnie żadnych zleceń?

Don Pedro. Żadnych, pragnę tylko waszego miłego towarzystwa.

Benedykt. O, miłościwy panie, jest tutaj potrawa, której ja nie lubię; nie mogę znieść jejmości pani Językowskiej.

Don Pedro. Macie, łaskawa pani! straciliśce serce pana Benedykta.

Beatrycze. Doprawdy, miłościwy panie; pożyczył mi go na pewien czas, zwróciłam mu jednak w procencie serce podwójne za pojedyncze. Od tej chwili wygrał on je znowu ode mnie w fałszywe kości, tak że wasza łaskawość słusznie mówi, iżem je straciła.

Don Pedro. Powaliliście go, łaskawa pani, powaliliście.

Beatrycze. Byleby on tego ze mną nie zrobił, miłościwy panie, bo inaczej to moje dzieci byłyby błaznami. Przyprowadziłam oto hrabiego Klaudya, któregoście mi szukać kazali.

Don Pedro. I cóż, mości hrabio? Czemuście tak smutny?

Klaudyo. Nie smutny, mości książę.

Don Pedro. Więc cóż? chory?

Klaudyo. I to nie.

Beatrycze. Hrabia ani smutny, ani chory, ani wesół, ani zdrów; hrabia słodki, słodki, jak pomarańcza, i ponoś trochę o jej barwie zazdrosnej.

Don Pedro. Rzeczywiście, łaskawa pani, ten wasz kontrefekt widzi mi się trafny; choć mógłbym przysiądz, że jeżeli tak się rzeczy mają, to podejrzliwość jego jest mylna. Widzisz, Klaudyo, oświadczyłem się w twem imieniu, i piękna Hero zdobyta; rozprawiłem się z jej ojcem i otrzymałem jego przyzwolenie. Oznacz dzień ślubu i niech Bóg ci zgotuje radość.

Leonato. Weź, hrabio, mą córkę ode mnie, a za nią i mój dobytek; jego łaskawość skojarzyła to stadło, a łaska Boża niech dopomoże. Amen.

Beatrycze. Przemówcieże, hrabio, toż to wasze hasło.

Klaudyo. Milczenie jest najdoskonalszym tłómaczem radości. Mało byłbym szczęśliwy, gdybym umiał wypowiedzieć, jak bardzo nim jestem. Pani, jak wy jesteście moją, tak ja jestem waszym; oddaję siebie za was i tęsknię do wymiany.

Beatrycze. Przemówcież, kuzynko, albo jeśli nie możecie, to zamknijcie mu gębę pocałunkiem: niech i ona nie gada.

Don Pedro. Doprawdy, pani, wesołe macie serce.

Beatrycze. Tak, miłościwy panie, i dziękuję mu, temu błaźniątku, że pod wiatr mnie trzyma z troskami. Kuzynka mówi mu do ucha, że ma go w sercu.

Klaudyo. Tak jest, moja krewniaczko.

Beatrycze. Miły Boże! znowu ożenek! Tak więc jedna po drugiej idzie do ołtarza, mnie wyjąwszy; a słońce mnie pali! Trzeba mi siedzieć w kąciku i głośno wzdychać: ach! kto mi sprawi męża!

Don Pedro. Panno Beatrycze, ja się wam o niego postaram.

Beatrycze. Wolałabym, żeby się był wasz ojciec o to po-

trudził. Czy wasza łaskawość niema przypadkiem brata, podobnego do was? Ojciec wasz znał się na wspaniałych mężach! gdyby tylko biednej dziewczynie mógł się taki dostać kiedy!

Don Pedro. Chcecie mnie, łaskawa pani?

Beatrycze. Nie, mości książę, chyba żebym miała innego na codzień; wasza łaskawość zbyt jest kosztowny na dni powszednie. Ale proszę waszej łaskawości o przebaczenie; urodziłam się na to, ażeby tylko żarty stroić, a nie mówić nic poważnego.

Don Pedro. Najprzykrzejszem jest dla mnie wasze milczenie, a z żartobliwością najbardziej wam do twarzy; bo niewątpliwie w wesołą urodziliście się godzinę.

Beatrycze. O nie, miłościwy książę, matka moja płakała. Ale właśnie tańcowała jakaś gwiazda, i pod tą gwiazdą jam się urodziła. Kuzynowie, daj wam, Boże, radości wiele!

Leonato. Dojrzyjcież tego, kuzynko, o czem wam mówiłem!

Beatrycze. Przepraszam bardzo, mój stryju. Wasza łaskawość wybaczy.

(Beatrycze wychodzi).

Don Pedro. Na uczciwość, miła, wesoła panienka.

Leonato. Melancholijnego żywiołu niewiele ma w sobie, miłościwy panie. Smutną jest chyba tylko wtedy, kiedy śpi; ale i wówczas nie zawsze, bo mówiła mi córka, że nieraz śnią jej się krotochwile, i wtedy budzi się własnym śmiechem.

Don Pedro. Nie może znieść, jeżeli jej kto wspomni o małżeństwie.

Leonato. O, w żaden sposób; szyderstwem odgania od siebie wszystkich zalotników.

Don Pedro. Byłaby doskonałą żoną dla Benedykta.

Leonato. O, miłościwy panie! po tygodniu wspólnego pożycia zagadaliby się na waryatów.

Don Pedro. Hrabio Klaudyo, kiedy zamyślacie iść do kościoła?

Klaudyo. Jutro, miłościwy panie! czas chodzi o kulach, dopóki miłość nie posiędzie wszystkich praw swoich.

Leonato. Nie przed poniedziałkiem, drogi mój synu, co byłoby właśnie od dziś za tydzień; a i to jeszcze za krótki czas, abym mógł wszystko po mojej myśli zarządzić.

Don Pedro. Potrząsacie głową na tak długą zwłokę; ale zaręczam ci, Klaudyo, że czas ten nie będzie nam się nudził; zamierzam tymczasem wykonać jedną z prac Herkulesowych, to znaczy przywalić pana Benedykta i pannę Beatrycze górą wzajemnych afektów. Pragnąłbym z nich widzieć stadło; nie wątpię też, że mi się to nie uda, jeżeli wy troje nie poskąpicie mi swej pomocy stosownie do moich wskazówek.

Leonato. Jestem na wasze usługi, miłościwy panie, choćbym czuwał dziesięć nocy z rzędu.

Klaudyo. I ja, miłościwy panie.

Don Pedro. A i wy także, nadobna Hero?

Hero. Będę do każdej uczciwej służby, byleby tylko kuzynce mojej do dobrego dopomódz małżonka.

Don Pedro. A Benedykt nie należy do najmniej beznadziejnych mężów, jakich znam, tę pochwałę mogę od dać: dobrego rodu, wypróbowanego męstwa i niezachwianej uczciwości. Nauczę was, jakich macie użyć sposobów, ażeby zakochała się w Benedykcie; ja zaś, z pomocą was obu, tak będę obrabiał Benedykta, że i on, mimo bystrości swego dowcipu i grymaśnego żołądka, zakocha się w Beatryczy. Jeżeli tego dokonamy, to Kupido przestanie być strzelcem; jego sława przejdzie na nas, bo my tylko będziemy jedynymi bożkami miłości. Chodźcie za mną, a cały wam plan wyłożę.

(Wychodzą).

SCENA II.

Inny pokój w pałacu Leonata.

(Wchodzi Don Juan i Borachio).

Don Juan. Tak jest, hrabia Klaudyo żeni się z córką Leonata.

Borachio. Tak, miłościwy panie, ale mogę to pokrzyżować.

Don Juan. Lada zapora, lada przeszkoda, lada przeciwność będzie dla mnie lekarstwem; chory jestem z wstrętu do niego; to też wszystko, cokolwiek stanie w poprzek jego żądaniom, pójdzie na rękę moim. W jaki sposób możesz pokrzyżować to małżeństwo?

Borachio. Nie w sposób uczciwy, miłościwy panie, ale

tak skrycie, że nikt we mnie żadnej nieuczciwości nie dostrzeże.

Don Juan. Wytłómacz mi pokrótce, co zrobisz.

Borachio. Zdaje mi się, że już przed rokiem powiedziałem waszej łaskawości, jak dalece uzyskałem względy Małgorzaty, garderobianej Hero.

Don Juan. Przypominam sobie.

Borachio. Mogę ją nakłonić, aby w jakiejkolwiek niestosownej godzinie nocnej wyglądała z okna komnaty swej pani.

Don Juan. A jakie w tem życie, aby się stało śmiercią tego małżeństwa?

Borachio. Waszą będzie rzeczą wydobyć z tego truciznę. Idźcie do księcia, waszego brata; nie omieszkajcie mu powiedzieć, że czyni krzywdę swojemu honorowi, łącząc słynnego Klaudya (którego wysławiać musicie pod niebiosy) z tak zniesławioną dziewką, jak ta Hero.

Don Juan. Jakiż dam mu na to dowód?

Borachio. Dowód dostateczny, aby oszukać księcia, udręczyć Klaudya, zgubić Hero i zabić Leonata. Potrzebaż wam czegoś więcej?

Don Juan. Użyję wszystkiego, aby im dogryźć.

Borachio. Idźcie więc i znajdźcie stosowną godzinę, ażeby na osobności pomówić z Don Pedrem i hrabią Klaudyo, powiedzcie im, jako wiadomo wam, że Hero mnie kocha; udajcie gorliwość dla dobra i księcia i Klaudya, jako niby przez wzgląd na honor brata waszego, który to małżeństwo skojarzył, i ze względu na uczciwe imię przyjaciela, którego chce oszukać dziewka obłudna, sprawę wyjawiacie. Nie uwierzą wam zapewne bez dowodu; oświadczcie się im z gotowością dostarczenia tychże, i to nie mniejszych nad to, że mnie ujrzą pod oknem jej komnaty, że usłyszą, jak na Małgorzatę zawołam Hero, jak Małgorzata nazwie mnie Borachiem; sprowadźcie ich na to widowisko właśnie w noc przedślubną, bo w tym czasie tak wszystko ułożę, że Hero nie będzie obecną i że w ten sposób, gdy tak jawne zgromadzę dowody jej przeniewierstwa, zazdrość wyda się pewnością i wszystkie ich przygotowania spełzną na niczem.

Don Juan. Niech, co chce, wyniknie z tego, ja plan twój wykonam: okaż tylko zręczność w przeprowadzeniu, a weźmiesz tysiąc dukatów na rękę.

Borachio. Okażcie tylko stałość w oskarżeniu, a mojej zręczności ja się nie powstydzę.

Don Juan. Idę natychmiast dowiedzieć się o dniu ich ślubu. *(Wychodzą).*

SCENA IV.

Ogród Leonata.

(Wchodzi Benedykt i pacholę).

Benedykt. Chłopcze.

Pacholę. Panie!

Benedykt. Na oknie mego pokoju leży książka; przynieś mi ją do ogrodu.

Pacholę. Jestem już tu, panie.

Benedykt. Wiem o tem, ale życzę sobie, abyś stąd poszedł, a potem tu wrócił. *(Pacholę wychodzi).* Dziwi mnie to bardzo, że człowiek, który dobrze widzi, na jakiego błazna wystawia się ktoś drugi, poświęcając miłości całe swoje zachowanie, sam, naśmiawszy się do syta z tego błazeństwa drugich, na własne wystawia się szyderstwo i popada w miłość: takim właśnie człowiekiem jest Klaudyo. Pamiętam te czasy, kiedy nie było dlań innej muzyki nad trąbę i piszczałkę, a dzisiaj woli słuchać bębenka i fletni. Pamiętam te czasy, kiedy gotów był poderdać dziesięć mil piechotą, ażeby jakąś ładną obejrzeć zbroję, a dzisiaj czuwałby dziesięć nocy i przemyśliwał nad krojem nowej opończy. Dawniej gadał sobie tak prosto z mostu, jak uczciwy człowiek i żołnierz, a dzisiaj zmienił się na wymyślnego stylistę: słowa jego podobne do fantastycznego bankietu, pełnego najdziwaczniejszych potraw. Mógłżebym ja się tak przemienić, dopóki patrzę temi oczyma? Nie mogę tego powiedzieć. Nie mogę przysiądz na to, czy miłość nie przemieni mnie w ostrygę; ale na to przysiądz mogę, że, dopóki miłość w ostrygę mnie nie przemieni, dopóty nie zrobi ze mnie takiego błazna. Ta kobieta jest piękna, ja sobie jestem zdrów; tamta jest rozumna, ja przecie jestem zdrów; inna znowu jest cnotliwa, ale ja przecie jestem zdrów: to też dopóki wszystkie te uroki nie złączą się w jednej kobiecie, dopóty żadna kobieta uroku na mnie nie

rzuci. Bogatą być musi, to rzecz pewna; rozumną, inaczej wcale jej nie chcę; cnotliwą, bo inaczej nie myślę jej nawet targować; piękną, bo ani spojrzę na nią; łagodną, bo się nie zbliżę do niej; szlachetnego rodu, bo nie wezmę jej, choćby mi dodano jeszcze i anioła; wymowną, doskonałą w muzyce, a włosy jej mogą sobie mieć kolor, jaki im się podoba. Ha! książę i ten pan Miłośnicki. Ukryję się w altanie.

(Wchodzi do altany).

(Wchodzi Don Pedro, Leonato i Klaudyo).

Don Pedro. Czy teraz chcecie posłuchać muzyki?

Klaudyo. Tak, dobry panie! — Co za cichy wieczór,
Jakby chciał czaru dodać słodkiej pieśni.

Don Pedro. Widzicie, jak się Benedykt tam chowa?

Klaudyo. O widzę, książę! Niech się skończy granie,
A i nasz lisek będzie miał za swoje.

(Wchodzi Baltazar z muzyką).

Don Pedro. Chodź, Baltazarze! powtórz nam swą piosnkę.

Baltazar. Nie żądaj, książę, by ci głos mój lichy
Dwa razy piękną zepsował melodyę.

Don Pedro. Doskonałości zawszeć to dowodem
Nakładać maskę na swą własną zdolność:
Proszę cię, śpiewaj; nie czekaj umizgów.

Baltazar. Gdy o umizgach mowa, więc zaśpiewam.
Wszakci niejeden umizga się pannie,
Choć ją uważa za niegodną siebie;
Przysięga jednak, że ją kocha.

Don Pedro. Zacznij!
Lub jeśli dłuższą pragniesz mieć rozprawę,
To wprzód ją sobie wynotuj, lecz teraz
Powtórz swą nutę.

Baltazar. O zanim zanucę,
Zanotuj, książę, jako moja nuta
Nie warta żadnej notaty.

Don Pedro. Ten człowiek
Kalemburami tylko mówić umie:
Nucę, zanotuj w notatce me nuty.

(Muzyka).

Benedykt. Otóż i boska melodya! Teraz jego dusza ulata w zachwycie! Nie jest to dziwnem, że baranie kiszki umieją duszę z ludzkich ciał wyciągać? — Ot, gdy się to wszystko skończy, zafunduję sobie rogi.

Baltazar *(śpiewa).*

Przestańcie szlochać, miłe panie,
Bo chłopiec zawsze niestały;
Ledwie na lądzie nogą stanie,
A już go wody zabrały!
Płakać to grzech!
Niech go tam! niech!
A wy się bawcie do rana;
Przemieńcie ból na szczery śmiech,
Na »danaż moja! oj dana!«

Na co ta łezka? twarz ta blada?
I na co śpiew ten żałosny?
Jednaką była chłopców zdrada
Zawsze — od pierwszej już wiosny.
Płakać to grzech!
Niech ją tam! niech!
A wy się bawcie do rana;
Przemieńcie ból na szczery śmiech,
Na »danaż moja! oj dana!«

Don Pedro. Na uczciwość! dobra piosenka.

Baltazar. Ale kiepski śpiewak, miłościwy panie.

Don Pedro. O nie! bynajmniej! na mój honor! jak na śpiewaka dorywczego, to wcale dobrze.

Benedykt *(na str.).* Gdyby to pies był, a wył tak straszliwie, powiesiliby go z pewnością. Nie daj, Boże, ażeby ten zachrypły głos jego wróżył jakie nieszczęście, równie chętnie byłbym był słuchał krakania kruka, choćby potem nie wiem jaka spadła na mnie plaga.

Don Pedro *(do Klaudya).* Tak jest. Macie słuszność. Słuchaj, Baltazarze. Postaraj się dla nas o wyborową muzykę, ma ona jutro rano grać pod oknami Hero.

Baltazar. Najlepszą, jaką znajdę, miłościwy panie.

Don Pedro. I owszem. Bądź zdrów. *(Baltazar wychodzi wraz z muzyką. Do Leonata).* Raczcie się zbliżyć, Leonato. Cóż to takiego opowiadaliście mi dzisiaj, że krewniaczka wasza Beatrycze zakochała się w panu Benedykcie?

Klaudyo *(na str.).* Czaj się, czaj! ptak w gnieździe. *(Głośno).* Nie byłbym nigdy przypuszczał, że panienka ta zakocha się w mężczyźnie.

Leonato. A ja tem mniej; ale najdziwniejszem jest to, że

pali się właśnie do Benedykta, którego, sądząc według wszelkich pozorów, zdawała się nienawidzieć.

Benedykt *(na str.)*. Czyż to być może? A więc stąd wiatr wieje?

Leonato. Rzeczywiście, miłościwy panie; sam nie wiem, co o tem myśleć. Kocha go jednak z całem szaleństwem namiętności; przechodzi to wszelkie wyobrażenie.

Don Pedro. A może tylko udaje?

Klaudyo. I jabym tak sądził.

Leonato. Udaje? Nigdy jeszcze udana namiętność nie była tak podobna do żywej namiętności, jak ta, która w niej się objawia.

Don Pedro. A jakież to objawy tej namiętności?

Klaudyo *(na str.)*. Dobrze zarzucacie wędkę; złapie się ryba na tę przynętę.

Leonato. Jakie objawy, miłościwy panie?... Tak wam siedzi, jak... *(Do Klaudya)*. Moja córka powiedziała wam, jak siedzi.

Klaudyo. Tak jest, powiedziała.

Don Pedro. A więc, jak? Wprawiacie mnie w zdumienie. Zdawało mi się zawsze, że duch jej oprze się wszelkim atakom miłości.

Leonato. I jabym na to był przysiągł, miłościwy panie, zwłaszcza, gdy idzie o Benedykta.

Benedykt *(na str.)*. Uważałbym to za kpiny, gdyby tego nie mówił ten siwobrody truteń; pod taką powagą nie może się chyba żadne ukrywać szelmostwo.

Klaudyo *(na str.)*. Połknęła ryba przynętę; wyciągaj.

Don Pedro. Czy Benedyktowi dała poznać swe uczucia?

Leonato. Nie, przysięga też, że nigdy tego nie uczyni; i to ją właśnie dręczy.

Klaudyo. Prawda; powiedziała mi to i wasza córka: »Mamże ja — mówi — com go tak często witała szyderstwem, pisać teraz do niego, że go kocham?«

Leonato. Mawia tak zawsze, ilekroć rozpoczyna list do niego, wstaje bowiem przynajmniej dwadzieścia razy na noc i siedzi tak w koszuli i zapisuje całe stronice. Moja córka wszystko nam opowiada. A potem drze list na drobne kawałeczki, urąga sama sobie, że posiada tak mało przyzwoitości, by pisać do człowieka, o którym przecież wie, że się z niej wyśmieje; sądzę go, mówi, według siebie, bo i jabym go wyszydziła, gdyby się odważył napisać do mnie; tak jest, wyszydziłabym, choć go tak kocham.

Klaudyo. Potem pada na kolana, płacze, jęczy, bije się w piersi, wyrywa sobie włosy i zawodzi: »O mój ty słodki Benedykcie! Boże, daj mi cierpliwości!«

Leonato. Tak jest, to prawda; opowiadała mi to moja córka. Przestaje być sobą w tej ekstazie do tego stopnia, że aż moja córka obawia się nieraz, aby jakiego rozpaczliwego nie popełniła kroku. Wszystko to najoczywistsza prawda.

Don Pedro. Byłoby dobrze, gdyby się Benedykt skądinąd dowiedział o tem, jeżeli sama wyjawić mu nie chce.

Klaudyo. Po co? Stroiłby żarty z tego i jeszcze bardziej dręczył dziewczynę.

Don Pedro. Gdyby tak sobie postąpił, to powiesić go dobrym byłoby uczynkiem. Wyborna, luba z niej dziewczyna, a nad wszelkie podejrzenie jej cnota.

Klaudyo. Przytem nadzwyczaj rozumna.

Don Pedro. We wszystkiem, prócz w miłości do Benedykta.

Leonato. Miłościwy panie! jeżeli roztropność i namiętność w tak delikatnem stworzeniu do walki stają, to mamy dziesięć przykładów na jeden, że zwycięstwo odnosi namiętność. Bardzo mnie to boli, i słuszny mam do tego powód, ponieważ jestem jej wujem i opiekunem.

Don Pedro. Szkoda, że nie do mnie pała tą miłością, rzuciłbym na bok wszystkie względy i uczyniłbym ją swoją połowicą. Proszę was, powiadomcie o tem Benedykta i uważajcie, co na to odpowie.

Leonato. Myślicie, że byłoby dobrze?

Don Pedro. Hero wierzy w to święcie, że ją o śmierć to przyprawi; powiada bowiem, że umrze, jeżeli on jej nie pokocha; a woli raczej umrzeć, niżeli mu wyznać miłość; jeżeliby zaś on sam oświadczył się jej z miłością, to woli raczej umrzeć, niż choć na źdźbło odstąpić od zwykłej swojej krnąbrności.

Don Pedro. Ma słuszność; gdyby się przed nim zdradziła z swą miłością, łatwo być może, iżby ją wyśmiał; bo, jak wam wszystkim wiadomo, człowiek to wzgardliwego ducha.

Klaudyo. Zresztą człowiek na miejscu.

Don Pedro. Rzeczywiście, szczęśliwą ma ogładę.

Klaudyo. Według mego zdania, bardzo jest rozumny.

Don Pedro. Tak jest; sypie czasem iskrami, wyglądającemi na dowcip.

Leonato. Uważam go także za walecznego.

Don Pedro. Jak Hektor, zapewniam; a po załatwieniu zwad sądzić można, że jest roztropny; bo albo ich z wielką unika oględnością, albo je podejmuje z chrześcijańską bojaźnią.

Leonato. Jeżeli Boga się boi, to z konieczności strzedz musi pokoju. Jeżeli pokój łamie, to jużcić musi podejmować zwadę z bojaźnią i trwogą.

Don Pedro. I tak on też czyni, albowiem boi się Boga, choć, sądząc po jego żartach, niktby się po nim tego nie spodziewał. Z tem wszystkiem żal mi waszej krewniaczki. Czy może pójść do Benedykta i powiedzieć mu o jej miłości?

Klaudyo. Przenigdy, miłościwy panie; dobra porada zniweczy tę miłość.

Leonato. O nie, to niepodobieństwo; wprzód zniweczy się jej serce.

Don Pedro. Posłuchamy jeszcze, co nam powie wasza córka; niech minie gorączka. Sprzyjam wielce Benedyktowi i chciałbym, ażeby się z wszelką ocenił skromnością i uznał, jak mało jest godzien posiąść taką znakomitą damę.

Leonato. Pójdziemy, panie? Obiad już gotów.

Klaudyo *(na str.).* Jeżeli się jej po tem wszystkiem nie oświadczy, to nigdy oczekiwaniom moim nie zaufam.

Don Pedro *(na str.).* Trzeba teraz podobną sieć założyć na nią, powinna się tem zająć wasza córka i jej pokojowa. Cała w tem zabawa, jeżeli jedno uwierzy w miłość drugiego, i to bez żadnej podstawy. Oto scena, którą chciałbym widzieć, będzie to z pewnością pantomima. Wyślemy ją, ażeby go zawołała na obiad.

(Don Pedro, Klaudyo i Leonato wychodzą).

Benedykt *(wychodzi z altany).* To nie mogą być żarty; rozmowa była zbyt poważna. O prawdzie tej dowiedzieli się od Hero. Litują się, widać, nad panną; zdaje mi się, że afekt jej napięty do ostateczności. Kocha mnie! Trzeba się odwzajemnić. Słyszałem, jak mi przyganiają; mówią, że nadmę się pychą, skoro spostrzegę jej miłość ku mnie; mówią nadto, że ona raczej umrzeć woli, niż dać mi najmniejszy znak swych afektów. Nigdym nie myślał się żenić, ale pyszałkiem nie będę. Szczęśliwi ludzie, którzy słyszą, co im zarzucają, a którzy potem poprawić się mogą. Mówią, że panna to piękna; tak jest, to prawda, którą sam poświadczyć mogę: że jest cnotliwą, tak jest, nie mogę temu zaprzeczyć; i rozumną, z wyjątkiem że kocha się we we mnie: na mą uczciwość, nie jest to przydatek do jej rozumu, ale też nie jest zbyt wielkim dowodem jej niemądrości, albowiem zakocham się w niej straszliwie. Być może, że rzucą mi okruszyny szyderstw i przestarzałych dowcipów, startych na mojej skórze, za to, że sam przez długie czasy pokpiwałem sobie z małżeństwa. Ale czyż gusty zmienić się nie mogą? Człowiek lubi w młodości potrawę, której znieść nie może w wieku podeszłym. Mająż żarciki i sentencye i te papierowe gałki naszej mózgownicy wystraszyć człowieka z drogi jego humoru? Nie, świat musi się przecież zaludniać. Wówczas, kiedym powiedział, że umrę kawalerem, nie myślałem jeszcze, że dożyję chwili, w której się ożenię. Idzie Beatrycze. Na światło dzienne, urocza to dziewczyna! Dostrzegam już w niej pewne ślady miłości. *(Wchodzi Beatrycze).*

Beatrycze. Wbrew mojej woli wysłano mnie, ażeby prosić waszmości na obiad.

Benedykt. Piękna Beatrycze! dziękuję wam za wasze trudy.

Beatrycze. Nie zadałam sobie więcej trudu, ażeby zasłużyć sobie na te dzięki, aniżeli waść sobie zadajesz, aby mi dziękować. Gdyby to tak było trudno, nie byłabym tu przyszła.

Benedykt. Macie więc przyjemność w tem poselstwie?

Beatrycze. Tyle właśnie, ile waść mógłbyś wziąć za koniec noża, aby udusić wronę. Waść zapewne nie masz apetytu. Bywajcie mi zatem zdrowi. *(Wychodzi).*

Benedykt. Ach! wbrew mojej woli wysłano mnie, ażeby prosić waszmości na obiad? Ma to znaczenie podwójne! Nie zadałam sobie więcej trudu, ażeby zasłużyć sobie na te dzięki, aniżeli waść sobie zadajesz, aby mnie dziękować. To tak samo, jakby powiedziała: wszelki trud, który sobie dla waści zadaję, jest tak łatwy, jak podzięka. Jeśli ja się nie ulituję nad nią, jestem łotrem; jeśli jej nie kocham, to jestem Żydem. Pójdę natychmiast i postaram się o jej wizerunek.

(Wychodzi).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Ogród Leonata.

(Wchodzą Hero, Małgorzata i Urszula).

Hero. Pośpiesz do sali, dobra Małgorzato;
Tam mą krewniaczkę Beatryczę spotkasz,
Rozmawiającą z księciem i Klaudyuszem:
Szepnij jej słówko, że ja i Urszula,
Chodząc w ogrodzie, o niej prowadzimy
Całą rozmowę; żeś nas podsłuchała.
Każ się jej potem zakraść do altany,
Gdzie gęsty powój, wybujały w słońcu,
Zabrania słońcu przystępu, jak dworak,
Porosły w dumę dobrocią książęcia,
Zwraca się potem przeciwko potędze,
Co wykarmiła tę dumę. Tam ona
Niechaj w ukryciu słucha rozmów naszych.
Sprawże się dobrze, a nas zostaw same.
Małgorzata. Zaraz ją tutaj sprowadzę, zapewniam.
(Wychodzi).
Hero. Teraz, Urszulo, gdy przyjdzie Beatrycz,
My się będziemy przechadzać aleją.
O Benedykcie trza nam tylko mówić:
Ilekroć wspomnę imię tego pana,
Ty nie omieszkaj chwalić nad zasługę:
Ja opowiadać będę, jak z miłości
Ku Beatrycze Benedykt usycha:
Z takiego drewna struże Kupidynek
Chytre swe strzały, raniące już wtedy,
Gdy o nich ledwie zasłyszysz. Zacznijmy;
(Beatrycze skrada się do altany).
Bo patrz! jak czajka, tak się już zaczaja
Nasza Beatrycz, aby nas podsłuchać.
Urszula. Wielka to rozkosz przy łowieniu patrzeć,
Jak rybka falę srebrzystą przecina
Złotemi wiosły, ażeby łakomie
Chwycić przynętę: tak my łowić będziem
Naszą Beatrycz, która się w tej chwili

Skryła w gęstwinie powoi. Co do mnie,
To o mój udział w rozmowie się nie trwóż.
Hero. Podejdźmy bliżej, aby z tej przynęty,
Którą tak chętnie rzucamy, ni krztyny
Nie utraciła.
(Zbliżają się do altany).
Tak jest, ma Urszulo,
Duch jej wzgardliwy i nieugłaskany,
Jako ten sokół na skale.
Urszula. Jesteście
Atoli pewną, że się w Beatrycze
Tak bez pamięci Benedykt zakochał?
Hero. Tak mówi książę i mój narzeczony.
Urszula. Czyż wam kazali wyjawić to przed nią?
Hero. Owszem, prosili, bym jej to wyznała,
Ale ja rzekłam, aby Benedykta,
Jeśli tak bardzo go lubią, odwiedli
Od tej miłości i by z tem się nigdy
Przed Beatryczą nie zdradził.
Urszula. Dlaczego?
Czyż on nie godzien szczęśliwej łożnicy,
Którą ma zająć Beatrycz?
Hero. O wiem ja,
Boże miłości, że wart on wszystkiego,
Co małżonkowi tylko wnieść możemy;
Ale natura nigdy z twardszej gliny
Nie ulepiła kobiecego serca,
Niż u Beatrycz: szyderstwo i wzgarda
Skrzą się w jej oczach; urąga wszystkiemu,
Co tylko ujrzy; a już tak wysoko
Ceni swój dowcip, że wszystko na świecie
Marne jest dla niej i liche; nie umie
Kochać, nie umie wrazić w siebie kształtu
Ni wizerunku uczucia, tak w sobie
Jest zakochana.
Urszula. O, i ja tak myślę;
Więc też niedobrze byłoby odkrywać
Przed nią tę miłość: wyszydziłaby ją!
Hero. Mówicie prawdę; nigdym nie widziała
Jeszcze człowieka, choćby był najmędrszy,
Choćby był młody, piękny i waleczny,
By nie raczyła go zaraz znicować:
Jest bladolicy, tak zaraz przysięga,

Że mógłby raczej być jej siostrą; jest li
Śniady, tak mówi, że matka natura,
Rysując błazna, atrament przelała;
Jeżeli smukły, to dzida z niezdarnym
Czubkiem; jest nizki, to agat, źle rżnięty;
Mowny, to kurek, z wiatrem się kręcący;
Cichy, to ciężki, nieruchomy pieniek.
Tak to każdego obraca na nice
I nigdy prawdzie i cnocie nie odda,
Na co w prostocie zasłużyły sobie.

Urszula. Pewnie, złośliwość taka nie jest miła.

Hero. Nie! taka szorstkość i taka bezwzględność,
Jak u Beatrycz, nie może być miła.
Lecz któż z nią o tem mówić się ośmieli?
Jeśli ja powiem, zadrwi sobie ze mnie:
Tak, śmiać się będzie, aż mi dech wyciągnie
Tym swoim śmiechem; tak jest, swym dowcipem
Na śmierć zadusi. Niech się więc Benedykt
Strawi w westchnieniach, jak ogień przykryty:
Lepiej tak umrzeć, niż umrzeć z szyderstwa,
Niźli z takiego umrzeć łaskotania.

Urszula. Mów z nią jednakże, usłyszym, co powie.

Hero. Nie! raczej myślę pójść do Benedykta,
Powiem, ażeby zwalczał tę namiętność:
Nawet i potwarz wynajdę uczciwą,
By plamę rzucić na krewniaczki imię,
Nikt bowiem nie wie, jak może złe słowo
Zatruć wraz całą miłość.

Urszula. Nie czyńcie
Własnej krewniaczce tej krzywdy. Boć przecie,
Jeśli tak bystry ma rozum i dowcip,
Jak mówią ludzie, nie może w swych sądach
Tak być oślepłą, by miała odrzucić
Tak niezwykłego męża, jak Benedykt.

Hero. Niema we Włoszech równego szlachcica,
Mego drogiego wyjąwszy Klaudyusza.

Urszula. Proszę się na mnie nie gniewać, jeżeli
Sąd mój wypowiem: pod względem postawy,
Układu, męstwa i rozumu pierwsze
We Włoszech miejsce zajmuje Benedykt.

Hero. W istocie, świetnej zażywa on sławy.

Urszula. Którą mu jego zdobyły przymioty.
A kiedy, pani, będzie ślub wasz?

Hero. Kiedy?
Jużcić niebawem; może jutro. Chodźmy.
Pokażęć stroje, wysłucham twej rady,
W czem mi najlepiej będzie w dniu jutrzejszym.

Urszula *(na str.).* Ręczę wam, pani, żeśmy ją złapały.

Hero. Więc trafem tylko Kupida potęga:
Tych chwyta w potrzask, tych strzałą dosięga.

(Wychodzą).

Beatrycze *(wchodząc).* Cóż to za ogień w uszach? Czyż [być może?
Tak mnie ma pycha i szyderstwo plami?
Dziewicza dumo, żegnaj mi nieboże!
Żegnaj mi, wzgardo! niema chwały z wami!
Okiełzam dzikie serce przy twej dłoni,
O Benedykcie, zawsze dla mnie drogi!
Kochaj, a moja wzajemność nie wzbroni,
Aby się z tobą złączyć w związek błogi.
Mówią, żeś godny tego, jam to przecie
Wiedziała pierwej, niż inny na świecie.

(Wychodzi).

SCENA II.

Pokój w domu Leonata.

(Wchodzą: Don Pedro, Klaudyo i Benedykt).

Don Pedro. Pozostanę jeszcze do waszego ślubu, a potem wrócę do Leonata.

Klaudyo. Będę wam towarzyszył, miłościwy panie, jeżeli mi raczycie pozwolić.

Don Pedro. Nie. Nie chcę zaćmiewać świeżego blasku waszego małżeństwa; byłoby to tak samo, jak pokazać dziecku nową sukienkę, a nie pozwolić mu jej nosić. Odważę się tylko prosić o towarzystwo Benedykta, bo, od czuba do pięty, sama z niego wesołość; przeciął on dwa lub trzy razy cięciwę Kupidyna, i od tego czasu mały ten kat nie ma najmniejszej odwagi mierzyć do niego. Ma on duszę dźwięczną, jak dzwon, a sercem w tym dzwonie jest jego język, bo co tylko dusza pomyśli, to język wypowie.

Benedykt. Moi panowie, nie jestem już tym, kim byłem dawniej.

Leonato. I ja to mówię; zdaje mi się, że waść nieco smutny.
Klaudyo. Spodziewam się, że jest zakochany.
Don Pedro. Na sznurek z tym nicponiem; niema w nim ani kropelki krwi prawdziwej, aby się mógł naprawdę zakochać; jeżeli posmutniał, to z pewnością z braku pieniędzy.
Benedykt. Ząb mnie boli!
Don Pedro. Wyrwać go!
Klaudyo. Nasamprzód trzeba z nim na sznurek, a potem go wyrwać.
Don Pedro. Jak to? wzdychać dla bolu zęba?
Leonato. W którym tylko plug albo robak?
Benedykt. Tak. Każdy może być panem bolu, tylko nie ten, kto go czuje.
Klaudyo. A ja powiadam, że jest zakochany.
Don Pedro. Niema w nim tej słabostki, oprócz słabostki do wyszukanych mód; naprzykład dzisiaj będzie Holendrem, a jutro Francuzem, albo też się ustroi w kostyum dwóch krajów naraz: będzie Niemcem od stóp do pasa, cały w fałdach i pludrach, a Hiszpanem powyżej — w samym kaftanie. Gdyby nie kochał się w tych błazeństwach, jak to rzeczywiście robi, to nie wystrychnąłby się na błazna w zakochaniu, jak wy to z niego zrobić chcecie.
Klaudyo. Jeżeli się on nie zakochał w jakiej kobiecie, to niema co wierzyć starym znakom: każdego rana szczotkuje kapelusz, i cóżby to innego miało znaczyć?
Don Pedro. A nie widział go kto u balwierza?
Klaudyo. Nie; ale widziano u niego balwierskiego czeladnika, a dawną ozdobę jego lica użyto na kłaki do piłek.
Leonato. Trzeba przyznać, że po stracie brody wygląda młodziej.
Don Pedro. Ba! on się nawet piżmuje. Zwąchaliście go teraz?
Klaudyo. To znaczy, że się młodzieniec zakochał.
Don Pedro. A największym dowodem jego melancholia.
Klaudyo. A kiedyż to twarz myć było jego zwyczajem?
Don Pedro. Tak, albo się nawet malować? bo słyszałem, co o nim z tego powodu mówią.
Klaudyo. A ten jego tryskający dowcip, który schował się teraz w struny jego mandoliny i pod palcami daje znać o sobie.

Don Pedro. Rzeczywiście; wszystko to świadczy o nim bardzo smutnie; koniec końcem, kawaler nasz zakochany.
Klaudyo. Tak, a ja wiem nawet, kto się w nim kocha.
Don Pedro. Chciałbym to wiedzieć; z pewnością ktoś, kto go nie zna.
Klaudyo. Owszem; zna go i wszystkie jego przywary; a pomimo to umiera za nim.
Don Pedro. Warto ją pochować twarzą ku niebu.
Benedykt. Ale to wszystko nie leczy bolu zębów. Mój stary panie, raczcie pójść ze mną na stronę; mam wam ośm albo dziesięć mądrych słów powiedzieć, a nie chciałbym, żeby je słyszały te kołki.

(Benedykt i Leonato wychodzą).

Don Pedro. Daję mą szyję, że oświadczy mu się o Beatryczę.
Klaudyo. Nie inaczej, Hero i Małgorzata zrobiły tymczasem swoje z Beatryczą; no i dwa te niedźwiedzie nie pogryzą się, gdy się spotkają.

(Wchodzi Don Juan).

Don Juan. Panie mój i bracie, Bóg z wami.
Don Pedro. Dzień dobry, bracie.
Don Juan. Jeśli wam czas pozwala, chciałbym z wami pomówić.
Don Pedro. Sam na sam?
Don Juan. Jeżeli łaska, zresztą hrabia Klaudyo słyszeć to może, bo jego to tyczy, o czem chcę mówić.
Don Pedro. Cóż to za sprawa?
Don Juan *(do Klaudya).* Czy wasznośc zamierzasz brać ślub jutro?
Don Pedro. Wiecie przecież o tem.
Don Juan. Nie wiem, jeżeli on się dowie o tem, co ja wiem.
Klaudyo. Gdyby miała być jaka przeszkoda, proszę waści, wyjaw mi ją.
Don Juan. Myślicie może, że wam nie sprzyjam; ale po tem, co wam wyjawię, osądzicie mnie inaczej. Przypuszczam, że brat mój jest wam życzliwy i że tylko z serdecznego przywiązania dopomógł wam do zawarcia tego małżeństwa. Wierzajcie mi: w złą stronę skierowane zaloty, źle użyte zachody!

Don Pedro. Cóż to za sprawa?

Don Juan. Przyszedłem właśnie, aby wam wyjaśnić: oto chcąc powiedzieć bez ogródek — bo mówiono już dosyć o tem — panna jest wiarołomna.

Klaudyo. Kto? Hero?

Don Juan. Tak jest; Hero Leonatowa, wasza Hero, Hero lada kogo.

Klaudyo. Wiarołomna?

Don Juan. Za uczciwe to słowo, aby odmalować jej przewrotność: mógłbym ją nazwać daleko gorzej; wymyślcie sobie jak najgorszy tytuł dla niej, a ja wam powiem, że dobrze jest dobrany. Nie dziwujcie się, dopóki więcej nie zbierzemy dowodów. Chodźcie ze mną tej nocy, a zobaczycie wkradającego się gacha do jej sypialni, i to w noc przed jej zaślubinami. Jeśli nie przestaniecie jej kochać po tem, to ożeńcie się z nią jutro; ale dla honoru waszego byłoby lepiej, gdybyście zmienili zamysły.

Klaudyo. Czyż to być może?

Don Pedro. Niepodobieństwo uwierzyć.

Don Juan. Jeżeli nie macie serca własnym uwierzyć oczom, to nie wierzcie temu, co wiecie. Pójdźcie ze mną, a pokażę wam dosyć. A gdy obaczycie więcej i usłyszycie więcej, wtedy postąpcie sobie stosownie do rzeczy.

Klaudyo. Jeżeli ujrzę tej nocy coś, dla czego jutro nie mógłbym jej zaślubić, okryję ją wstydem w obecności wszystkich, którzy mieli być na jej ślubie.

Don Pedro. A jak się ubiegałem o uzyskanie jej dla ciebie, tak się połączę z tobą, ażeby ją zhańbić.

Don Juan. Nie chcę jej już zniesławiać, dopóki sami nie będziecie moimi świadkami; miarkujcie się aż do północy, niech wtedy skutek się objawi.

Don Pedro. O dnia bolesny końcu!

Klaudyo. O plago, w czas odkryta!

Don Juan. O klęsko usunięta!
Tak zawołajcie, gdy ujrzycie skutek.

(Wychodzą).

SCENA III.

Ciarka, Kwasek i straż.

Ciarka. A jesteście wy ludzie uczciwi, wierni?

Kwasek. A jużci; bo inaczej to byłaby szkoda, ażeby mieli narażać zbawienie duszy i ciała.

Ciarka. A i to jeszcze byłoby dla nich karą za łaskawą, gdyby mieli w sobie choć okruszynę wiernopoddańczego ducha, jako wybrani na straż książęcą.

Kwasek. Macie słuszność. A teraz powiedzcie im ich służbę, sąsiedzie Ciarko.

Ciarka. A najpierw, któż wam się zdaje, że jest najgłupszy na kaprala?

Pierwszy strażnik. Kuba Owsik, panie, albo też Jurek Węgielek: obaj umieją pisać i czytać.

Ciarka. Chodźcie ino, sąsiedzie Węgielku. Pan Bóg obdarował was pięknem nazwiskiem. Uczciwość jest darem fortuny, ale czytanie i pisanie idą z przyrodzenia.

Drugi strażnik. A jedno i drugie, panie poruczniku —

Ciarka. Wy posiadacie, wiem, że to waść powiedzieć chciałeś. A więc co się tyczy waszej urodziwości, mopanku, to dziękujcie Bogu i zbytecznie tem się nie chwalcie, a co się tyczy waszego czytania i pisania, to pokażcie je tam, gdzie takich marności nie trzeba. Uważają was tutaj wszyscy za najdurniejszego, jakby stworzonego na to, aby być kapralem straży; dlatego dostaniecie latarkę: a służba wasza ta jest: aresztować będziecie wszystkich włóczykijów, a do każdego przechodzącego macie w imieniu księcia wołać: »stój!«

Drugi strażnik. A jak stanąć nie zechce?

Ciarka. To sobie z niego nic nie róbcie, a ino go puśćcie; zawołajcie w te tropy całą straż i dziękujcie Bogu, że was wybawił z rąk opryszka.

Kwasek. Kto na rozkaz ich nie stanie, ten z pewnością nie jest poddanym księcia.

Ciarka. Słusznie, a nie mają zadawać się z nikim, tylko z poddanymi księcia. Następnie nie macie hałasować po ulicach, bo gdy straż plecie i rozmawia, to rzecz jest nieznośna i nie do wytrzymania.

Drugi strażnik. Wolimy spać, niż rozmawiać; znamy obowiązki straży.

Ciarka. Tak; mówicie, jak stary i wielce spokojny strażnik; bo nie widzę wcale, dlaczego spanie miałoby być grzechem; miejcie tylko baczenie, aby wam kto nie zwędził halabard. Jesteście dalej na to, aby zajrzeć do każdej szynkowni i wezwać pijaków, ażeby poszli spać.

Drugi strażnik. A jak nie zechcą?

Ciarka. To ich zostawcie w spokoju, aż wytrzeźwieją. A jeśli wam wtedy odpowiedzą uczciwiej, to możecie im powiedzieć, że nie są ludźmi, za jakich wyście ich uważali.

Drugi strażnik. Dobrze, panie poruczniku.

Ciarka. A jak spotkacie złodzieja, to możecie na mocy waszego urzędu podejrzywać go, że nie jest poczciwym człowiekiem. A co się tyczy tego rodzaju ludzi, to im mniej się z nimi zadawać będziecie, tem lepiej to będzie dla waszej godności.

Drugi strażnik. A jeśli wiemy z pewnością, że złodziej, czy mamy go aresztować?

Ciarka. Tak jest; na mocy waszego urzędu uczynić to możecie; mnie się jednak widzi, że powala się, kto się dotknie smoły. Najspokojniejsza dla was droga, jeżeli schwycicie złodzieja, będzie ta, jeżeli pokaże, czem jest, i tak ukradkiem czmychnie z waszego towarzystwa.

Kwasek. Uchodziliście zawsze za litościwego człowieka, kochany kamracie.

Ciarka. To prawda; dobrowolnie psabym nie powiesił, a cóż dopiero człowieka, który ma w sobie choć krztę uczciwości.

Kwasek. Jeżeli usłyszycie dziecko, kwilące śród nocy, to powinnością waszą zawołać na mamkę, aby je uciszyła.

Drugi strażnik. A jeżeli mamka śpi i nie usłyszy nas?

Ciarka. Wtedy odejdźcie sobie w spokoju, i niech ją dziecko obudzi płaczem. Bo owca, co nie usłyszy beku swego jagniątka, nie odpowie nigdy na ryk cielęcia.

Kwasek. Święta prawda.

Ciarka. To koniec waszej powinności. Waść, panie kapralu, reprezentujesz własną osobę księcia, a jeżeli w nocy spotkasz księcia, możesz go waść zatrzymać.

Kwasek. Nie, na Panienkę Najświętszą, nie wydaje mi się, aby to mógł uczynić.

Ciarka. Pięć szylingów na jeden! Każdy, kto zna prawa straży, ma prawo go zatrzymać, ale, oczywiście, nie może tego uczynić, jeżeli książę na to nie pozwoli; boć przecie wiadoma to sprawa, że straży nikogo obrażać nie wolno, a jest to niewątpliwie obrazą zatrzymywać kogoś bez jego przyzwolenia.

Kwasek. Na Panienkę Najświętszą! i mnie się tak wydaje!

Ciarka. Ha! ha! ha! A więc dobranoc, moi ludkowie, a jeżeli wydarzy się coś ważnego, to mnie zawołajcie: trzymajcie się rozumu własnego i waszych kamratów i dobranoc. Chodźcie, sąsiedzie.

Drugi strażnik. A więc, panowie, znamy swoją powinność; chodźmy usadowić się przed kościołem, posiedźmy do drugiej, a potem do łóżka.

Ciarka. Jeszcze słóweczko, szanowni sąsiedzi. Proszę was, miejcie straż przed bramą pana Leonata; jutro jest tam wesele, więc tej nocy wielki tam harmider. Z Panem Bogiem; a bądźcie czujni, proszę was o to.

(Ciarka i Kwasek wychodzi. Wchodzi Borachio i Konrad).

Borachio. Hej! Konrad!

Strażnik *(na str.).* Cicho! nie ruszać się.

Borachio. Konrad, powiadam.

Konrad. Cicho, człowieku; jestem ci pod bokiem.

Borachio. Tam do kata! świerzbiały mnie też boki: myślałem, że się zaraziłem świerzbą.

Konrad. Będę ci na to winien odpowiedź; na teraz jednak rzecz swą opowiadaj dalej.

Borachio. Stań tu pod tym pułapem, bo deszcz zaczyna padać. A teraz, jak uczciwy pijak, wszystko ci wyjawię.

Strażnik *(na str.).* Jakaś zdrada, moi ludkowie, ale bądźcie cicho.

Borachio. Zarobiłem, widzisz, u Don Juana tysiąc dukatów.

Konrad. Czyż to podobieństwo, ażeby łotrostwo aż takiej było ceny?

Borachio. Spytaj się raczej, czy to podobieństwo, ażeby łotr mógł być tak bogaty: bo jeżeli bogate łotry nie mogą się obejść bez ubogich, to ubodzy mogą żądać, ile im się podoba.

Konrad. To mnie dziwi.

Borachio. Widać z tego, że nie jesteś jeszcze wytresowany; powinieneś wiedzieć, że moda kaftana, kapelusza albo płaszcza nie ma dla człowieka żadnego znaczenia.

Konrad. Wiem, ale to tylko okrycie.

Borachio. A ja mówię o modzie.

Konrad. Tak jest, tylko że moda jest modą.

Borachio. Ot, pleciesz; mógłbym tak samo powiedzieć: błazen jest błaznem. Ale czy ty nie widzisz, jakim maszkarą złodziejem jest moda?

Strażnik *(na str.)*. Znam tego Maszkarę, był przez lat siedm skończonym złodziejem, a teraz chodzi, jak szlachcic; przypominam sobie to nazwisko...

Borachio. Czy ty nie słyszysz, ktoś tu jest?

Konrad. Nie, to kurek na dachu.

Borachio. Czy nie widzisz więc, powiadam, co to za maszkara ta moda? Czy nie widzisz, jak zawraca wszystkie gorące głowy pomiędzy czternastym a trzydziestym piątym rokiem? Raz ubiera ich, jak żołnierzy Faraona na zakopconych obrazach, to znowu, jak kapłanów Baala w Babel na oknach starych kościołów, to znowu, jak ogolonego Herkulesa na wyszarzałych, przez robactwo zjedzonych obiciach, gdzie fartuszek u jego spodni jest tak wielki, jak jego maczuga.

Konrad. Być może; widzę też, że moda zużywa więcej odzienia, aniżeli człowiek. Ale czy ona i tobie nie zawróciła w głowie, żeś tak odjechał od swojej historyi, ażeby mi gadać o modzie?

Borachio. O nie, bynajmniej. Wiedz o tem, że dzisiejszej nocy zalecałem się do pokojowej Hero, Małgorzaty, i to pod nazwiskiem Hero; że wychyliła się z okna pokoju swej pani i powtarzała mi po tysiąc razy: dobranoc. Ale powiadam ci to wszystko tak ni w pięć, ni w dziewięć, powinienem ci był nasamprzód powiedzieć, jak książę, Klaudyo i mój pan, nasadzeni, postawieni i opętani przez mego pana Don Juana, przypatrywali się zdala w ogrodzie tej miłosnej schadzce.

Konrad. I myśleli, że Małgorzata to Hero?

Borachio. Dwóch z nich myślało to naprawdę, to jest książę i Klaudyo, ale dyabeł ten, pan mój, wiedział, że to Małgorzata. Ale dzięki przysięgom, któremi pan mój opętał ich poprzednio, dzięki ciemnej nocy, która ich wywiodła w pole, a głównie dzięki mojemu szelmostwu, które utwierdziło potwarz, rzuconą przez Don Juana, Klaudyo uciekł jak wściekły i poprzysiągł, że spotka się z nią jutro w kościele, jak było ułożone, skarci ją wobec całego towarzystwa opowiedzeniem tego, co widział tej nocy, i odeśle ją do domu bez męża.

Pierwszy strażnik. Wzywamy was w imieniu księcia: stójcie.

Drugi strażnik. Zawołać lepiej właściwego pana porucznika; odkryliśmy tutaj najniebezpieczniejsze łotrostwo, jakie się kiedykolwiek w naszej powszechności wydarzyć mogło.

Pierwszy strażnik. A i niejaki Maszkara jest pomiędzy nimi, poznałem go po puklu.

Konrad. Panowie, panowie —

Drugi strażnik. Musicie nam dostawić Maszkarę, zaręczam wam.

Konrad. Panowie —

Pierwszy strażnik. Ani słowa. Oświadczamy wam, że was usłuchamy i pójdziemy z wami.

Borachio. Widzi mi się, żeśmy się dostali w niezłe ręce, skoro nas wzięli między swoje kije.

Konrad. I mnie się widzi, że nam to nie bardzo na rękę. Idziemy, słuchamy waszego rozkazu.

SCENA IV.

Pokój w domu Leonata.

(Wchodzą: Hero, Małgorzata i Urszula).

Hero. Kochana Urszulo, zbudź kuzynkę moją, Beatryczę, i powiedz jej, żeby wstała.

Urszula. Idę, pani.

Hero. I poproś ją, ażeby tu przyszła.

Urszula. I owszem. *(Wychodzi).*

Małgorzata. Wydaje mi się, że w tej drugiej kryzie będzie wam lepiej do twarzy.

Hero. Nie, proszę cię, moja kochana Małgosiu, zostanę już przy tej.

Małgorzata. Naprawdę, w tej nie jest wam tak dobrze; zaręczam, że kuzynka powie wam to samo.

Hero. Moja kuzynka to jedna waryatka, a z ciebie druga; ubiorę się w tę, a nie w inną.

Małgorzata. Nowa fryzura wasza przepyszna, tylko włosy powinny być nieco ciemniejsze; i suknia wasza nader jest gustowna. Widziałam suknię księżniczki medyolańskiej, którą tak wszędzie chwalą.

Hero. Mówią, że ma być nadzwyczajna.

Małgorzata. Na uczciwość, w porównaniu z waszą wygląda na szlafroczek; złota materya z rozporkami i srebrną lamówką, obsiana perłami, rękawki z boku i rękawy spadające, spódniczka bramowana u dołu błękitnym brokatem; ale co do szyku, gustu, wdzięku i świeżości mody, to wasza warta jest dziesięć razy tyle.

Hero. Dałby Bóg, abym ją nosiła z weselem, bo dziś mi wyjątkowo ciężko na sercu.

Małgorzata. Wkrótce będzie wam cięższej, panienko, jak tylko trzeba będzie dźwigać ciężar męża.

Hero. Fe! nie mów tego; czy się nie wstydzisz?

Małgorzata. Dlaczego, moja panienko, że mówię uczciwie? Czyż małżeństwo nie jest uczciwością nawet u żebraków? Czy pan wasz nie jest uczciwym człowiekiem i bez małżeństwa? Pewnie, powinnam była — z przeproszeniem waszej łaski — powiedzieć: ciężar nie męża, lecz małżonka. Jeśli tylko złe myśli nie przekręcą dobrych słów, to chyba nikomu nie dam zgorszenia. Czyż jest w tem co złego, jeżeli mówię: będzie wam cięższej o ciężar małżonka? Nie, z pewnością nie, jeżeli mowa o prawym małżonku i o prawej małżonce; w innym razie znaczyłoby to nie z ciężkiem, ale z lekkiem sercem brać się do rzeczy. Spytajcie się tylko o to panny Beatryczy, właśnie idzie.

(Wchodzi Beatrycze).

Hero. Dzień dobry, kuzynko.

Beatrycze. Dzień dobry, droga Hero.

Hero. Cóż się z tobą dzieje? skąd ten ton płaczliwy?

Beatrycze. Wydaje mi się, że na inny ton już się nie zdobędę.

Małgorzata. Zanućcie nam tylko, panienko: »Lekka miłość«, obejdzie się bez muzyki; śpiewajcie, a ja będę tańcowała.

Beatrycze. Żeby tylko ta »Lekka miłość« w piętach nie dała waćpannie w prezencie ciężaru gdzieindziej.

Małgorzata. Co za przewrotne tłómaczenie; ale wszystko przeskoczę.

Beatrycze. Prawie już piąta godzina, kuzynko; powinnaś już być gotową. Naprawdę jest mi jakoś wyjątkowo niedobrze.

Małgorzata. Dla kogoż to: O! głębokie? dla oczu? dla ołtarza? czy dla obojga?

Beatrycze. Dla litery, co zaczyna jedno i drugie, dla O.

Małgorzata. Wyznać trzeba, panienko, że, jeżeli nie staliście się renegatką, to chyba na morzu gwiazdom już wierzyć nie można.

Beatrycze. Cóż ta waryatka chce powiedzieć?

Małgorzata. Ja? Nic a nic. Ale daj, Panie Boże, każdemu według jego życzenia.

Hero. Rękawiczki te przysłał mi hrabia; przemiły wydają zapach.

Beatrycze. Mam niezdrowisko, nic nie czuję.

Małgorzata. Młoda panienka i nic nie czuje; to prawda, że się przytem łatwo przeziębić można.

Beatrycze. Panie, odpuść! Panie, odpuść! Od kiedy to poluje waćpanna na dowcipy?

Małgorzata. Od czasu, jak wyście, pani, swój dowcip z rąk puścili. Czyż mi z dowcipem nie do twarzy?

Beatrycze. Nie bardzo go widać; przypnij go sobie waćpanna do czepca. Ale naprawdę, jest mi słabo.

Małgorzata. Powinniście sobie posłać po ekstrakt Carduus Benedictus i przyłożyć go sobie do serca; jedyny to środek na mdłości.

Hero. Ukłułaś ją ostem.

Beatrycze. Benedyktus? dlaczego Benedyktus? masz waćpanna jaki morał w tem »Benedyktus«?

Małgorzata. Morał? Nie, na uczciwość, nie miałam nic moralnego na myśli. Mam na myśli zwykły oset na leki, kardo-benedykt. Zdaje wam się może, że mam was za zakochaną? Nie, na Panienkę Najświętszą, nie jestem taką waryatką, abym zaraz przypuszczała, czego pragnę, i ażebym pragnęła przypuszczać, co mogę; bo choćbym przepuściła serce przypuszczeniami, to nie mogłabym przypuścić, że kochacie, że kochać będziecie lub kochać możecie. A przecież i Benedykt był także jednym z takich, a teraz jest człowiekiem, jak wszyscy inni; przysięgał, że nigdy się nie ożeni, a teraz, na przekorę własnemu sercu, je swoją strawę bez szemrania. Czy i wy się nawrócicie, tego nie wiem; wydaje mi się jednak, że i wam tak samo z oczu patrzy, jak i innym kobietom.

Beatrycze. Jakżeż to się rozpędził twój język!

Małgorzata. W każdym razie fałszywego nie uciął sobie truchcika. *(Wraca Urszula).*

Urszula. Śpieszcie się, panie. Książę, hrabia, pan Bene-

dykt, Don Juan i inni gładysze naszego miasta przybyli, aby was zaprowadzić do kościoła.

Hero. Pomóżcie mi się ubrać, droga kuzynko, droga Małgosiu, droga Urszulo.

(Wychodzą).

SCENA V.

Inny pokój w domu Leonata.

(Wchodzą Leonato, Ciarka i Kwasek).

Leonato. Cóż chcecie ode mnie, poczciwy sąsiedzie.

Ciarka. Przyszedłem, miłościwy panie, z pewną konfidencyą, która was blizko obchodzi.

Leonato. Tylko krótko, proszę was; widzicie sami, że mało mam czasu.

Ciarka. Tak jest, miłościwy panie; tak jest.

Kwasek. Tak jest naprawdę, miłościwy panie; tak jest.

Leonato. Ale cóż jest takiego, dobrzy moi przyjaciele?

Ciarka. Ten poczciwina Kwasek, miłościwy panie, wie także coś o tej sprawie; stary z niego człowiek, miłościwy panie, ale jego rozum nie jest tak tępy, jak bym mu tego życzył; ale na uczciwość, uczciwy to człowiek, jak skóra pomiędzy brwiami.

Kwasek. Tak, dzięki Bogu, uczciwy ze mnie człowiek, jakrzadko kto inny na świecie, jak ja, stary, a nie uczciwszy ode mnie.

Ciarka. Porównania śmierdzą, palabras, sąsiedzie Kwasku.

Leonato. Nudni z was ludzie, panowie sąsiedzi.

Ciarka. Za wiele dla was łaski, miłościwy panie; jesteśmy tylko biedni urzędnicy księcia; ale naprawdę, co do mnie, to gdybym był tak nudny, jak król, czuję w mem sercu, że wszystko oddałbym na usługi waszej miłości.

Leonato. Co? to całe wasze nudziarstwo?

Ciarka. I owszem! gdyby nawet było tysiąc razy większe, niż jest; bo słyszę takie o waszej miłości eksklamacye, jak o nikim innym w mieście; a choć ze mnie biedny tylko człowiek, jestem wielce ucieszony, że to słyszę.

Kwasek. A i ja również.

Leonato. Chciałbym nareszcie usłyszeć, co chcecie mi powiedzieć.

Kwasek. Tak jest, miłościwy panie; dzisiejszej nocy mieliśmy straż i pochwyciliśmy, wyjąwszy waszą miłość, taką szelmowską szajkę złodziei, jakiej drugiej niema w Messynie.

Ciarka. Poczciwy staruch, miłościwy panie; ciągleby tylko plótł; bo jak to mówią: starość w progi, rozum w nogi; tak to już bywa na tym świecie. Dobrze gadasz, sąsiedzie Kwasku; jeżeli dwóch siedzi na jednym koniu, to jeden siedzieć musi z tyłu. Poczciwa z niego dusza, na uczciwość, miłościwy panie: tak jest, nigdy poczciwsza nie jadła Bożego chleba, ale ludzie nie mogą być wszyscy równi; tak jest, kochany sąsiedzie!

Leonato. Wistocie, sąsiedzie, on wam nie dorówna.

Ciarka. Są to dary od Pana Boga.

Leonato. Muszę odejść.

Ciarka. Słóweczko, miłościwy panie; nasza straż, miłościwy panie, pochwyciła naprawdę dwie podejrzane osoby, które chcielibyśmy jeszcze dzisiaj rano wyegzaminować w waszej obecności.

Leonato. Weźcie ich na egzamin sami i przynieście mi na piśmie. Teraz mi bardzo śpieszno, jak widzicie.

Ciarka. Zrobimy ku zadowoleniu.

Leonato. A napijcie się wina, zanim odejdziecie. Bądźcie zdrowi. *(Wchodzi sługa).*

Sługa. Czekają na was, miłościwy panie, ażeby córkę waszą poprowadzić do ślubu.

Leonato. Zaraz idę; jestem gotów.

(Wychodzą Leonato i sługa).

Ciarka. Idźcie, kochany towarzyszu, idźcie do Franka Węgielka, każcie mu przyjść z atramentem i piórem do kordegardy; musimy wziąć tych drabów na egzamin.

Kwasek. A trzeba to uczynić z roztropnością.

Ciarka. Na roztropności zbywać nie będzie, zaręczam. *(Uderzając się w czoło).* Tutaj, widzicie, dosyć jest oleju, aby ich należycie wziąć w obroty. Pobieżcie ino po tego uczonego pisarza, ażeby przelał na papier tę naszą ekskomunikacyę i przyjdźcie do mnie do kordygardy.

(Wychodzą).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Wnętrze kościoła.

(Wchodzą Don Pedro, Don Juan, Leonato, Mnich, Klaudyo, Benedykt, Hero, Beatrycze i inni).

Leonato. Zacznijcie, ojcze Franciszku, a tylko krótko; poprzestań na samym obrzędzie ślubu; wzajemne ich obowiązki możesz im wyłożyć później.

Mnich. Przyszliście tu, łaskawy panie, aby wziąć tę panienkę za żonę?

Klaudyo. Nie.

Leonato. Aby ją wziąć, ojcze; jesteście na to, aby ją zaślubić.

Mnich. A wy, pani, przyszliście tutaj, aby hrabię tego wziąć za męża?

Hero. Tak.

Mnich. Jeżeli które z was tu obecnych wie o jakiej tajemnej przeszkodzie, dla której połączonymi być nie możecie, wzywam was na zbawienie duszy, wyznajcie.

Klaudyo. Znacie jaką przeszkodę, Hero?

Hero. Nie znam żadnej, panie.

Mnich. A wy, panie hrabio, znacie jaką?

Leonato. Śmiem za niego odpowiedzieć: nie.

Klaudyo. O, czego to ludzie nie śmią. Czego to ludzie nie czynią! Czego to codziennie nie czynią, a nie wiedzą, co czynią!

Benedykt. Cóż to? wykrzykniki? Niektóre z nich wyrażają śmiech, naprzykład: ha! ha! ha!

Klaudyo. Wstrzymaj się, księże; pozwólcie mi ojcze:
Czy z wolnej woli i nieprzymuszony
Swoją mi córkę dajecie za żonę?

Leonato. Tak, jak mi Stwórca dał ją bez przymusu.

Klaudyo. Ja cóż dać mogę, coby w równej cenie
Było z tym drogim i kosztownym darem?

Don Pedro. Nic, chyba tylko zwrócicie mu córkę.

Klaudyo. Wdzięczności wy mnie uczycie, mój książę.
Więc, Leonato, bierzcie ją z powrotem;
Przyjacielowi swojemu nie dajcie
Zgniłej brzoskwini, bo ona jest tylko

Marnym pozorem swej cnoty. Spojrzyjcie,
Jak tu dziewiczo rumienić się umie!
Jak grzech przebiegły umie się tu stroić
W świętą powagę skromnej uczciwości!
Czyż ten rumieniec nie na to wystąpił,
Aby szkodliwie świadczyć o jej cnocie?
Któżby nie przysiągł, widząc to oblicze,
Że ma przed sobą dziewicę? To pozór!
Znane jej żary tajemnych uścisków:
Ten jej rumieniec to grzech, a nie skromność.

Leonato. Cóż wy mówicie, panie?

Klaudyo. Że jej nie chcę,
Nie chcę mej duszy wiązać z ladacznicą.

Leonato. Jeśliście, panie, próbując sam siebie,
Przezwyciężyli opór swej młodości,
I jej dziewiczy przełamali honor —

Klaudyo. Wiem ja, co chcecie. Jeślim ja ją poznał,
To tylko w męża spoczęła uścisku,
A to łagodzi grzech, przed czasem spełnion.
Nie, Leonato!
Nigdy jej śmielszem nie kusiłem słowem,
Lecz, jak brat siostrze, zawszem jej objawiał
Skromność w uczuciu, wstydliwość w szczerości.

Hero. Ja czyż wam inną wydałam się kiedy!

Klaudyo. Precz z tem »wydałam«! skarzyć je przychodzę;
Wydałaś mi się czystą, jak Dyjana,
Jak pączek kwiatu, zanim się rozwinie,
A byłaś więcej w krwi niepowściągliwa,
Niżeli Wenus, lub jurne zwierzęta,
Które szaleją z dzikiej zmysłowości.

Hero. Czy pan mój chory, że mówi, jak w szale?

Leonato. Wy, drogi książę, ani słowa na to?

Don Pedro. Po cóż mi słowa? Jestem zbezczeszczony,
Bom ja drogiego złączył przyjaciela
Z zwyczajną ścierką.

Leonato. Słyszę to na jawie,
Czy też śnię tylko?

Don Juan. Słyszysz, i to prawda!

Benedykt. To nie wygląda na ślub.

Hero. Prawda? Nieba!

Klaudyo. Czy ja tu stoję, Leonato? Czyż to
Książę? a pan ten — czy to brat książęcy?
Czy to twarz Hero? Oczy te — czy wasze?

Leonato. Wszystko, jak mówisz; lecz cóż to ma znaczyć?
Klaudyo. Pozwólcie jedno zadać jej pytanie,
A mocą prawa, które, jako ojciec,
Dzierżycie nad nią z przyrodzenia, każcie,
Ażeby szczerą powiedziała prawdę.
Leonato. Wzywam cię, córko, jakoś mojem dzieckiem —
Hero. Boże, mnie wspieraj w uciśnieniu mojem!
Jakżeż wy takie zowiecie badania?
Klaudyo. Powiedzcie szczerze, jakie wasze imię?
Hero. Czyliż nie Hero? Któż splami to imię
Jakim niekłamnym zarzutem?
Klaudyo. Kto? Hero!
Tak, sama Hero splami cnotę Hero,
Któż jest ten człowiek, z którym zeszłej nocy
Rozmawialiście z okna swej komnaty
Między dwunastą a pomiędzy pierwszą?
Powiedzcie prawdę na dziewiczość waszą.
Hero. Nie rozmawiałam z nikim o tej porze.
Don Pedro. A więc po waszej dziewiczości! Żal mi,
Że to słyszycie, mości Leonato.
Bo, na mój honor, ja razem z mym bratem
I z pokrzywdzonym hrabią widzieliśmy
I słyszeliśmy Hero w owej porze,
Rozmawiającą przez okno z nędznikiem,
Który sam później, jak łotr wyuzdany,
O tych występnych rozpowiadał schadzkach,
Jakie z nią razem miewał tysiąckrotnie!
Don Juan. Wstyd! niema na to słowa, niema nazwy!
W ludzkim języku niema dość czystości,
By o tem mówić bez obrazy. Żal mi,
Piękna panienko, tej rozpusty waszej.
Klaudyo. O jakąż, Hero, byłabyś ty Hero,
Gdyby połowa twych wdzięków czuwała
Nad twojem sercem, nad myślami twemi!
Lecz bądź mi zdrowa, ty szpetna, ty piękna,
Ty czysty grzechu, ty grzeszna czystości!
Przez ciebie zamknę wsze miłości wrota,
Na mych powiekach siędzie podejrzliwość,
By każdą piękność w nieszczęście mi zmienić
I tak z wszelkiego obnażyć ją wdzięku.
Leonato. Czyż niczyj sztylet nie ma ostrza dla mnie?
(Hero mdleje).
Beatrycze. Cóż ci, kuzynko, dlaczego upadłaś?

Don Juan. Idźmy; dzisiejsze to odkrycie grzechu
Przytłumia, widać, oddechy jej życia.
(Wychodzą Don Pedro, Don Juan i Klaudyo).
Benedykt. Jak się ma pani?
Beatrycze. Zda mi się, umarła!
Ratunku! stryju! Hero! moja Hero!
Stryju! ratunku! panie Benedykcie!
Książę!
Leonato. Nie cofaj, losie, ciężkiej ręki!
Śmierć tylko będzie tej hańby zasłoną
I najpiękniejszą i najpożądańszą.
Beatrycze. Jak ci, kuzynko?
Mnich. Nie traćcie otuchy.
Leonato. Co? otwierasz oczy?
Mnich. Tak, bo i czemuż nie ma ich otworzyć?
Leonato. Czemu? Czyż wszystkie stworzenia tej ziemi
Nie głoszą dzisiaj jej hańby? Czyż może
Zaprzeczyć dzisiaj tej hańbiącej wieści,
Która swe piętno w krwi jej zostawiła?
Przestań żyć, Hero! nie otwieraj oczu!
Bo gdybym myślał, że nie umrzesz teraz,
Że od twej hańby silniejszy twój oddech,
Sambym przyłożył pieczęć do mych przekleństw,
Wziąłbym ci życie! Czym się skarżył kiedy,
Że miałem ciebie jedyną? czyż o to
Skąpej naturze czyniłem wyrzuty?
O, miałem jedną za wiele — o ciebie!
Czemuż tę jedną? Dlaczego tak drogą
Byłaś w mych oczach? Czemuż nie przyjąłem
Litośną ręką żebraczego dziecka
Z pod mego progu? Gdyby ono było
Tak pokalane, tak okryte hańbą,
Mógłbym był dzisiaj powiedzieć: ni jednej
Niema w niem cząstki mojej krwi! Ta hańba
Snać z nieznanego wyrosła plemienia.
Lecz ta jest moją; jak moją, kochałem,
Jak moją, czciłem, jako z mojej, byłem
Zawsze z niej dumny! Ach! tak ona moją,
Że sam dla siebie już nie byłem moim,
Kiedym się mierzył jej wartością. Boże!
A ona padła w takie błoto czarne,
Że wielkie morze za mało ma kropel,
Aby ją obmyć, i za mało soli,

By od zgnilizny uchronić to strasznie
Zepsute mięso.
Benedykt. Cierpliwości, panie!
Mnie zaś ogarnia takie tu zdumienie,
Że już i nie wiem, co mówić.
Beatrycze. Na duszę!
Moją kuzynkę spotwarzono!
Benedykt. Pani!
Czyście tej nocy spali w jej pokoju?
Beatrycze. Nie, ale przedtem, do ostatniej nocy
Przez rok ten cały sypiałam z nią razem.
Leonato. Więc nowy dowód, który silniej wiąże,
Co już żelazne związały obręcze!
Czyżby kłamali dwaj książęta? Klaudyo
Czyżby tak kłamał, on, co ją tak kochał,
Że, kiedy mówił o jej hańbie, łzami
Obmyć ją pragnął? Precz z nią! niech umiera.
Mnich. Raczcie posłuchać!
Dlatego tylko milczałem tak długo,
Biegu wypadków nie wstrzymując w drodze,
By śledzić waszą panienkę; widziałem,
Jak na jej licu tysiące rumieńców
Występowały, jak tysiące białych
Aniołów wstydu gorące rumieńce
Precz unosiły. Jaki w jej źrenicach
Żar się rozpalał, by w popiół zamienić
Mylny ten zarzut, który przeciw córce
Waszej podnieśli książęta. Gdy chcecie,
Zwijcie mnie błaznem, nie wierzcie mej wiedzy,
Ni doświadczeniom, co swoją pieczęcią
Treść mojej księgi stwierdzają; nie wierzcie
Memu wiekowi ani powołaniu,
Świętobliwości mojego urzędu,
Jeżeli nie jest ta pani nadobna
Jakiejś pomyłki niewinną ofiarą.
Leonato. Niepodobieństwo, mój księże! Sam widzisz,
Że tylko tyle zostało jej łaski,
Iż do tej zbrodni nie dodaje jeszcze
Krzywoprzysięstwa grzechu: nie zaprzecza.
Uniewinnianiem po co chcesz ukrywać,
Co tutaj leży w swej całej nagości?
Mnich. O kogo to was oskarżają, pani?
Hero. Chyba ci wiedzą, co mnie oskarżają.

Lecz jeśli żyje mąż, którego więcej
Znam, niż dziewicza pozwala mi skromność,
Niech miłosierdzia grzechy me nie znajdą!
Dowiedź mi, ojcze, że z kimś rozmawiałam
Wczorajszej nocy, że choć zamieniłam
Słówko z żyjącem stworzeniem, a potem
Wygnaj mnie z domu, wzgardź mną, na śmierć zamęcz!
Mnich. Dziwna pomyłka oszukała książąt.
Benedykt. Dwaj z nich to ludzie honoru, zapewne:
Jeżeli rozum zawiódł ich w tej sprawie,
Przyczyny tego trza szukać w bękarcie,
Którego dusza żyje łotrostwami.
Leonato. Nie wiem, lecz jeśli prawdę rzekli o niej,
To ją rozszarpią te ręce! Skrzywdzili,
To najdumniejszy z nich posłyszy o tem!
Krwi w moich żyłach czas tak nie wysuszył,
Wiek tak nie stępił mojego umysłu,
Los tak zasobów moich nie roztrwonił,
Zły żywot tak mnie nie obrał z przyjaciół,
Aby w tej sprawie nie uczuli jeszcze
Siły ramienia, potęgi umysłu,
Dostatku środków, wyboru przyjaciół —
Abym im za to z lichwą nie zapłacił.
Mnich. Chciejcie się wstrzymać chwilę i w tej sprawie
Moją się radą kierować. Książęta
Pozostawili córkę jako zmarłą.
Trzeba ją trzymać pewien czas w ukryciu,
Ogłosić światu, że zmarła naprawdę,
Przywdziać na siebie oznaki żałoby
I na rodzinnym zawiesić grobowcu
Żałobny napis i wszelkie pogrzebu
Spełnić obrzędy.
Leonato. Jakiż cel w tem wszystkiem?
Mnich. Rzecz, byle tylko dobrze kierowana,
Zamieni potwarz w zgryzotę; i to już
Dobrze, lecz więcej spodziewam się jeszcze
Po takim kroku; większy z tych mozołów
Wyniknie poród. Potrzeba ogłosić,
Że zmarła właśnie, gdy ją oskarżono,
A u każdego znajdzie żal i litość.
Bo tak się dzieje: nie cenimy skarbu
Według wartości, dopóki go mamy,
Lecz utraciwszy, cenim go nad wartość,

Wynajdujemy wszystkie jego cnoty,
Których to przedtem oczy nie dostrzegły.
Tak się też stanie z Klaudyem. Gdy usłyszy,
Że ją zabiły straszne jego słowa,
Tak do pracowni wyobraźni jego
Słodko się wkradnie obraz jej żywota:
I każdy luby organ tego życia
Przed jego duszy zjawi się oczyma
W stokroć cenniejszej szacie, stokroć bardziej
Rozrzewniający i pełniejszy życiem,
Niźli był, żyjąc rzeczywiście. Wówczas
Jeżeli w sercu miłość czuł prawdziwą,
Płakać on będzie, oraz życzyć sobie,
By był jej nigdy nie oskarżał, choćby
Za dowiedzioną uważał swą skargę.
Gdy tak się stanie, nie wątpcie, że skutek
Piękniejsze kształty nada tym wypadkom,
Niż to w obrazie przedstawić wam mogę.
Lecz gdyby nawet wszystko to zawiodło,
To przekonanie, że już żyć przestała,
Przytłumi wieści o jej hańbie: jeśli
I tego skutku nie będzie, możecie —
Dla chorej sławy najlepsze lekarstwo —
Na świątobliwe poświęcić ją życie
W cichym klasztorze, zdaleka od świata,
Od jego oczu, języka i obelg.

Benedykt. Słuchajcie rady księdza, Leonato,
A chociaż wiecie, z jaką ja miłością
Jestem dla księcia i hrabiego Klaudya,
Taką w tej sprawie okażę wam wierność,
Jak wasza dusza okazuje ciału.

Leonato. W tej toni smutku niechaj mnie prowadzi
Choćby najsłabsza niteczka.

Mnich. Więc zgoda;
Śpieszmy natychmiast do dzieła. Niezwykłą
Boleść niezwykłym trzeba leczyć środkiem.
Umrzyjcie, pani, by ożyć. Dzień ślubu
Został, być może, tylko odroczony,
Dlatego znieście cierpliwie tę boleść.

(Wychodzą Mnich, Hero i Leonato).

Benedykt. Panno Beatrycze, czyście przez cały ten czas płakali?

Beatrycze. Tak, i długo jeszcze płakać będę.

Benedykt. Nie życzyłbym tego.

Beatrycze. Niema wcale potrzeby, płaczę z własnej woli.

Benedykt. Zapewne; i ja to widzę, że waszą piękną kuzynkę skrzywdzono.

Beatrycze. O jakżeżby mi się taki człowiek zasłużył, któryby umiał krzywdę tę naprawić!

Benedykt. Czy istnieje jaki sposób wyświadczenia takiej przyjacielskiej usługi?

Beatrycze. Jest sposób bardzo prosty, tylko niema takiego przyjaciela.

Benedykt. Czyż może tego dokonać mężczyzna?

Beatrycze. Obowiązek to mężczyzny, tylko nie wasz.

Benedykt. Niczego tak na świecie nie kocham, jak was; czy to nie jest dziwnem?

Beatrycze. Tak dziwnem, jak coś, czego nie znam. Można było tak samo powiedzieć: Niczego na świecie tak nie kochałam, jak was: ale nie wierzcie mi; a jednak nie kłamię. Niczego nie przyznaję i niczego nie zaprzeczam. Żal mi kuzynki.

Benedykt. Na moją szpadę, Beatrycze, ty mnie kochasz.

Beatrycze. Nie przysięgajcie na szpadę, lepiej ją połknijcie.

Benedykt. Przysięgnę na nią, że mnie kochasz, a zmuszę tego, aby ją połknął, coby twierdził, że i ja was nie kocham.

Beatrycze. Nie połkniecież napowrót tego słowa?

Benedykt. Niema jeszcze potrzebnego na to sosu. Przysięgam, że was kocham.

Beatrycze. A zatem, Boże, mi odpuść!

Benedykt. Jaki grzech, słodka Beatrycze?

Beatrycze. Przerwaliście mi w samą porę, chciałam właśnie wyznać, że was kocham.

Benedykt. Wyznaj z całego serca.

Beatrycze. Kocham was całem sercem, tak że mi nic już serca nie zostało, aby wam mogło to wyznać.

Benedykt. Każ mi, abym co spełnił dla ciebie.

Beatrycze. Zabij Klaudya.

Benedykt. Nie! za nic w świecie.

Beatrycze. Mnie zabijacie, nie chcąc zabić jego. Żegnajcie.

Benedykt. Poczekaj, słodka Beatrycze.

Beatrycze. Niema mnie tutaj, jakkolwiek jeszcze tu jestem. Nie! nie jesteście godzien miłowania. Nie! proszę was, pozwólcie mi odejść.

Benedykt. Beatrycze!
Beatrycze. Naprawdę, odchodzę.
Benedykt. Wprzód bądźmy przyjaciółmi.
Beatrycze. O tak, łatwiej wam być moim przyjacielem, niżeli bić się z moim wrogiem.
Benedykt. Czy Klaudyo wrogiem?
Beatrycze. Alboż nie okazał się największym nędznikiem człowiek, co mi skrzywdził, spotwarzył, zniesławił kuzynkę? O, że też nie jestem mężczyzną! Jakto? ściskać jej rękę aż do chwili oddania jej ręki, a potem oskarżać ją publicznie, jawną rzucać potwarz, okazywać jej złość niepowściągnioną? O, gdybym ja była mężczyzną! Na rynku sercebym jego pożarła!
Benedykt. Słuchaj, Beatrycze.
Beatrycze. Przez okno swej komnaty rozmawiała z mężczyzną? Piękna to bajka.
Benedykt. Tak jest, ale, Beatrycze —
Beatrycze. Słodka Hero! Skrzywdzono ją, spotwarzono, zniszczono!
Benedykt. Beatrycze!
Beatrycze. Książęta i hrabiowie, zaprawdę! książęce świadectwo! piękny mi hrabia-marcepanik, luby kochanek! zaprawdę! O, gdybym ja była mężczyzną dla jego miłości, lub gdybym miała przyjaciela, któryby chciał być moim dla mojej miłości! Lecz męskość przetopiła się u nas w grzecznostki, męstwo w komplementy, a męże w języki bardzo wyszukane! Ten jest Herkulesem, kto pozna kłamstwo, poprze je przysięgą; nie mogę stać się mężem siłą swego życzenia, dlatego też siłą swojej zgryzoty umrę kobietą.
Benedykt. Poczekaj, słodka Beatrycze; na tę rękę miłuję cię!
Beatrycze. Użyjcie jej z miłości ku mnie na coś lepszego, aniżeli na przysięgę.
Benedykt. Jesteście li w duszy swojej przekonana, że hrabia Klaudyo wyrządził Hero krzywdę?
Beatrycze. Tak, jestem o tem przekonana, jak że mam przekonanie i duszę!
Benedykt. Dosyć; poręczam sobą; wyzwę go dzisiaj. Pozwólcie mi ucałować rękę. Na tę rękę! Klaudyo ciężki zda mi rachunek. Jak o mnie słyszycie, tak myślcie o mnie. Idźcie pocieszyć kuzynkę, ja bo muszę utrzymywać, że umarła; a teraz żegnajcie! *(Wychodzą).*

SCENA II.

(Ciarka, Kwasek, Pisarz, wszyscy trzej w mundurach; straż, Konrad i Borachio).

Ciarka. A czy zjawiło się już całe nasze zgromadzenie?
Kwasek. O, krzesło i poduszka dla pana pisarza.
Pisarz. Gdzie są malefaktorzy?
Ciarka. A toć ja i mój kamrat.
Kwasek. Naturalnie, to rzecz pewna; jesteśmy na to, aby egzaminować.
Pisarz. Ale gdzież są złoczyńcy, którzy mają być egzaminowani. Stawcie ich przed panem porucznikiem.
Ciarka. A jużci, stawcie ich przede mną, jak się nazywacie, przyjaciele?
Borachio. Borachio.
Ciarka. Zapiszcie tam, Borachio. A wy, mopanku?
Konrad. Jestem szlachcicem, panie, a nazywam się Konrad.
Ciarka. Zapiszcie tam: pan szlachcic Konrad. Mości panowie, powiedzcie mi też, służycie wy Panu Bogu?
Konrad. Spodziewamy się.
Ciarka. Napiszcie, że spodziewają się, służą Panu Bogu, a Pan Bóg napiszcie w pierwszej linii, bo uchowaj, Boże, ażeby Pan Bóg nie stał wyżej od takich łotrów. Mości panowie! rzecz dowiedziona, że jesteście nic lepszego, jak wierutne łotry, a lada chwila okaże to prawdopodobnem. Cóż powiadacie na to.
Konrad. Powiadamy, że nie jesteśmy łotrami.
Ciarka. Okrutnie dowcipny kawaler, muszę to przyznać, ale dam ja sobie z nim radę. Chodźcie ino tutaj bliżej, mopanku. Słóweczko do ucha, panie: powiadam mu, że wszyscy myślą, że obaj wy łotrami.
Borachio. Mówię, panie, że wcale nimi nie jesteśmy.
Ciarka. I owszem; odstąpcie teraz na bok... Na żywego Boga! Zmówili się najwyraźniej w świecie. Zapisaliście tam, że wcale nimi nie są?
Pisarz. Panie poruczniku. To nie jest droga do indagacyi, trzeba przesłuchać straże, które ich oskarżyły.
Ciarka. Tak jest, to najkrótsza droga. Niech tu przyjdą straże. *(Wchodzi straż).* Rozkazuję wam, moi ludkowie, w imieniu księcia, oskarżcie mi tutaj tych ludzi.
Pierwszy strażnik. Ten człowiek powiedział, panie, że że Don Juan, brat książęcy, jest łotrem.

Ciarka. Zapiszcie: Don Juan jest łotrem. A toć to wierutne krzywoprzysięstwo, brata książęcego nazywać łotrem!

Borachio. Panie poruczniku.

Ciarka. Proszę cię, mopanku, milczeć, podoba mi się twoje spojrzenie, wyznaję ci to.

Pisarz. I cóż słyszeliście jeszcze więcej?

Drugi strażnik. A właśnie, że otrzymał tysiąc dukatów od Don Juana, ażeby fałszywie oskarżyć pannę Hero.

Ciarka. Najoczywistszy rozbój, jaki kiedykolwiek spełniono.

Kwasek. Tak jest, na mszę świętą, najoczywistszy rozbój.

Pisarz. I cóż jeszcze więcej, człowiecze?

Pierwszy strażnik. I że hrabia Klaudyo postanowił na te jego słowa zbezcześcić pannę Hero wobec całego towarzystwa i nie zaślubić jej.

Ciarka. A, łotrze jeden, skazany będziesz za to na wieczyste zbawienie!

Pisarz. Co jeszcze?

Drugi strażnik. To wszystko.

Pisarz. A to już więcej, moi ludzie, niż możecie zaprzeczyć. Książę Juan ukradkiem wymknął się tego rana z miasta; Hero została w ten sposób oskarżona, w ten sam sposób przez ojca odepchnięta i z wielkiego żalu nagłą śmierć znalazła. Panie poruczniku, każcie obu tych ludzi związać i zaprowadzić do domu Leonata; ja pójdę naprzód i pokażę mu protokół.

(Wychodzi).

Ciarka. Dalej, spętać ich!

Kwasek. Nałożyć im więzy.

Konrad. Precz, błazny.

Ciarka. Gdzie się podział pisarz? Niech zapisze: urzędnicy księcia, błazny! Dalej! spętać ich! A, ty nicponiu!

Konrad. Precz! jesteście osłem! jesteście osłem!

Ciarka. Nie wiesz, jaka moja godność? Nie wiesz, jakie moje lata? O, czemu go tu niema! czemu go tu niema, żeby napisał, żem osieł! Ach! spamiętajcie to sobie, panowie! jestem osieł! Chociaż tego nie zapisano, to nie zapominajcie o tem, że jestem osieł. Nie! ty łotrze, jestem pełen pobożności, jak ci to dobrzy świadkowie udowodnią. Jestem mądry człowiek, a co więcej, jestem urzędnik, a co więcej, jestem kamienicznik; a co więcej, jestem taki piękny kawał mięsa, jak drugiego niema w całej Messynie, a który zna prawo, uważaj; a prócz tego mamci dosyć groszy, uważaj, a prócz tego, choć poniosłem jeszcze straty, mam jeszcze dwa kaftany i wszystko piękne i akuratne, co mam na sobie. Precz z nim! O, że też nie napisali tego, że jestem osieł! *(Wychodzą).*

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Przed domem Leonata.

(Wchodzi Leonato i Antonio).

Antonio. Idąc tak dalej, sam się zabijacie;
To nie jest mądrość pomagać tak smutkom
Na własną zgubę.

Leonato. Daj pokój swym radom,
Co do mych uszu tak marnie wpadają,
Jak woda w sito; rad tych mi nie dawaj!
Niech moje ucho tylko ten pociesza,
Kto doznał krzywdy, równej mojej krzywdzie.
Sprowadź mi ojca, co, jak ja, tak kochał,
Którego radość, jaką miał z dziecięcia,
Tak przeminęła, jak moja; ten ojciec
Niech wpaja we mnie cierpliwość. Ból jego
Odmierzaj miarą wielkości mych bolów;
Każdy żal jego niechaj odpowiada
Memu żalowi; wszystka jego troska
Niechaj się zgadza z moją w każdym czynie,
W każdym jej kształcie, w jej formie wszelakiej.
Jeśli z uśmiechem umie głaskać brodę,
Radością żal swój nazywać, wesoło
Tam podśpiewywać, gdzie jęczeć powinien,
Troskę swą łatać żartem i dowcipem
I mędrkowaniem zagłuszać swą boleść,
Jeśli to umie, racz mi go sprowadzić,
A cierpliwości pożyczę od niego.
Lecz tutaj niema takiego człowieka.
Bo ludzie radzą, pocieszają w smutku,
Którego sami nie czują. Lecz skoro

Zaznają sami, tak się w szał zamienia
Mądra ich rada, co przepisywała
Uczone leki wściekliźnie, co chciała
Jedwabną nitką krępować szaleństwo,
Cierpienia innych uśmierzać powietrzem,
Kurcze słowami. O nie; niech z nas każdy
Za swą powinność uważa zalecać
Cierpliwość braciom, dźwigającym ciężkie
Brzemię boleści, lecz nikt nie ma w sobie
Dość sił i cnoty, ażeby dla innych
Stać się przykładem, gdy sam troski zazna.
Przestań więc radzić, bo krzyk mej boleści
Od wszystkich twoich upomnień głośniejszy.
Antonio. Więc mąż od dziecka niczem się nie różni?
Leonato. Umilknij, proszę; z krwi jestem i ciała,
A dotąd taki nie istniał filozof,
Coby ból zębów znosił z cierpliwością,
Chociaż w swych księgach, napisanych stylem
Bogów, drwią sobie z losów i cierpienia.
Antonio. Więc choć nie gromadź na siebie jednego
Tych wszystkich smutków, niech i tamci cierpią!
Leonato. Słusznieś powiedział. Moja dusza czuje,
Że spotwarzono mą Hero, niech o tem
Dowie się książę, niech się Klaudyo dowie
I wszyscy inni, co ją zniesławili!
(Wchodzą Don Pedro i Klaudyo).
Antonio. W pośpiechu książę zbliża się i Klaudyo.
Don Pedro. Dzień dobry życzę.
Klaudyo. Dzień dobry wam obu.
Leonato. Słuchajcie, moi panowie.
Don Pedro. Nam śpieszno.
Leonato. Spieszno, i owszem... Żegnajcie, panowie.
Śpieszno wam teraz? Owszem, mniejsza o to.
Don Pedro. Nie swarz się z nami, dobry, stary człeku.
Antonio. Gdybym mógł krzywdę swarem powetować,
Może z nas który źleby na tem wyszedł.
Klaudyo. Któż to go krzywdzi?
Leonato. Ty sam, ty mnie krzywdzisz.
Ty obłudniku! Na miecz ręki nie kładź,
Jać się nie boję.
Klaudyo. Niech uschnie ta ręka,
Gdyby wam grozić chciała w waszym wieku,

Ręka na mieczu nic nie miała znaczyć,
Wierzajcie.
Leonato. Nie szydź, nie drwij sobie ze mnie!
Nie zdziecinniały przemawia tu starzec,
Który korzysta z przywileju wieku,
Aby się chełpić tem, co jako młodzian
Uczynił ongi, coby dziś uczynił,
Gdyby nie starość. Na twą głowę, Klaudyo,
Tak mnieś i dziecko me niewinne skrzywdził,
Że precz odrzucam swoich lat powagę,
I z siwym włosem i z brzemieniem wieku
Wyzywam ciebie, byś jak mąż mi stanął.
Mówięć, żeś skrzywdził me niewinne dziecko;
Tak! twoja potwarz przeszyła jej serce!
Spoczywa teraz w grobie swoich przodków,
W którym nie spała hańba nigdy, nigdy,
Prócz tej, zmyślonej przez twoje łotrostwo!
Klaudyo. Moje łotrostwo!
Leonato. Twoje, Klaudyo, twoje!
Don Pedro. Stary człowieku! nie mówicie prawdy!
Leonato. Na jego ciele ja tę prawdę stwierdzę,
Jeśli ma stanąć odwagę, pomimo
Jego zwinności w szermierce, pomimo
Tej wiosny życia i tych sił rozkwitu.
Klaudyo. Nie chcę ja z wami się mierzyć.
Leonato. Tak lekko
Chcesz się mnie pozbyć? Zabiłeś, chłopaczku,
Niewinne dziecko; jeśli mnie zabijesz,
Zabijesz męża.
Antonio. Niechajże nas obu
Tak jest, dwóch mężów niechaj tu zabije;
Ale nie w tem jest rzecz! Niechaj zabije
Wprzódy jednego! Niech się spotka ze mną.
Dalej, dzieciuchu, dalej, dalej ze mną,
Panie dzieciuchu, szermuj, ja twe sztuczki
Rózgą odpalę! Tak jest, jakem szlachcic!
Leonato. Bracie!
Antonio. Daj pokój! Kochałem krewniaczkę,
Niebo mi świadkiem! Dziś ona nie żyje;
Śmierć jej zadała potwarz nikczemników,
Co dziś tak chętni stanąć tu mężowi,
Jakem ja chętny wziąć za język żmiję.
Dzieciuchy, małpy, chełpisze, tchórzliwcy!

Leonato. Bracie Antonio!
Antonio. Cicho! znam tych panów,
I wiem, co ważą do ostatniej szczypty.
Głośni krzykacze, wiercisze, modnisie,
Bluźniercy, kłamcy, zwodnicy, potwarcy,
Strojne rarogi z miną zawiesistą,
Z groźnych słów całym półtuzinem w gębie;
»Jakby to oni przepędzili wroga,
Gdyby do tego przyszło« — no, i koniec.
Leonato. Bracie Antonio —
Antonio. Daj ty ino spokój!
W to się nie mieszaj, dam ja sobie radę.
Don Pedro. Nie chcemy kusić cierpliwości waszej,
Moi panowie, serce me boleje
Nad śmiercią córki waszej, lecz na honor,
Zarzuty nasze wsparte dowodami.
Leonato. Mój panie! panie!
Don Pedro. Nie chcę już was słuchać.
Leonato. Nie? Idźmy, bracie! Posłuchacie jeszcze!
Antonio. Lub z nas niejeden pożałuje tego.
(Leonato i Antonio wychodzą).

Don Pedro. Patrz, patrz, idzie ten, któregośmy właśnie szukali.

Klaudyo. I cóż tam nowego, panie?

Benedykt. Dzień dobry, mości książę.

Don Pedro. Witajcie mi, panie. Przyszliście prawie w samą porę, ażeby przeszkodzić bójce.

Klaudyo. O mało co, a dwa bezzębne starowinki byliby nam obu poobgryzali nosy.

Don Pedro. Leonato i jego brat. Jak ci się zdaje? Gdybyśmy się byli z nimi zmierzyli, nie wiem, czy nie bylibyśmy dla nich za młodzi.

Benedykt. W złej sprawie niema szczerej odwagi. Szukałem właśnie was obu.

Klaudyo. A my zbiegliśmy się obaj, ażeby poszukać ciebie. Jesteśmy obaj w usposobieniu strasznie melancholijnem, byłoby dobrze, gdyby je nam kto wypędził. Czy użyjesz na to swego dowcipu?

Benedykt. Jest w mojej pochwie; mam go wyciągnąć?

Don Pedro. Nosisz swój dowcip przy boku?

Klaudyo. Nikt tak jeszcze dowcipu nie nosił, choć niejeden odłożył go na bok. A więc dobywaj go, ale jak poeta; dobywaj, ale co najzabawniejszego.

Don Pedro. Jakem uczciwy człowiek, wygląda blado. Czyś chory, czy masz jaką przykrość?

Klaudyo. E, odwagi, mój przyjacielu! Bo choć smutek zabił kota, to ty masz przecie ducha w sobie dosyć, ażeby zabić smutek.

Benedykt. Jeżeli przeciwko mnie zwracacie swój dowcip, to ja będę go umiał utrzymać w szrankach. Proszę was bardzo, mówcie o czem innem.

Klaudyo. Postarajcie się o inną dzidę, bo tamta się strzaskała.

Don Pedro. Na dzień ten biały! blednieje coraz bardziej; myślę, że naprawdę ma jakąś przykrość.

Klaudyo. Jeżeli ją ma, to będzie wiedział, jak pas obrócić.

Benedykt. Czy powiedzieć wam słóweczko do ucha?

Klaudyo. Uchowaj mnie, Boże, od wyzwania.

Benedykt. Jesteście łotrem, nie żartuję. Udowodnię wam, jeżeli chcecie, czem chcecie i kiedy chcecie. Dajcie mi zadośćuczynienie, albo publicznie ogłoszę was tchórzem. Zabiliście słodkie dziewczę, a śmierć jej spadnie na was! Czekam na odpowiedź.

Klaudyo. I owszem, stawię się, a spodziewam się nielada uczty.

Don Pedro. Co? uczta? uczta?

Klaudyo. Tak jest; dziękuję mu; zaprosił mnie na cielęcą głowę i kapłona; jeżeli ja go nie rozbiorę, jak należy, to możecie mi powiedzieć, że nóż mój do niczego. Czy w dodatku nie będzie i dudka?

Benedykt. Panie! wasz dowcip dobrze kłusuje; przyda wam się do biegu.

Don Pedro. Muszę ci opowiedzieć, jak przed niedawnym czasem Beatrycze zachwalała twój dowcip: napomknąłem jej, że delikatny masz dowcip, a ona na to: Tak jest, delikatny i maleńki. Nie, odpowiedziałem, ogromny dowcip; prawda, odrzekła, ogromny i ciężki; nie — powiada — dobry dowcip; słusznie, odrzecze — nie dokuczy nikomu. Tak, ale to — powiadam — rozumny z niego kawaler; z pewnością — odrzekła — za bardzo rozumny. Zna różne języki — powiadam; i owszem — rzecze — wierzę temu, bo w poniedziałek wieczór poprzysiągł mi coś, a we wtorek rano to samo znowu odprzysiągł: jest więc człowiekiem co najmniej dwujęzycznym. Tak więc przez całą nieomal godzinę nicowała wszystkie twoje cnoty, a wreszcie zakończyła

westchnieniem, że jesteś najgrzeczniejszym młodzieńcem we Włoszech.

Klaudyo. Przyczem gorzko płakała, dodając, że to jej nic a nic nie obchodzi.

Don Pedro. Tak jest, powiedziała to, a jednak gdyby go tak nie nienawidziła śmiertelnie, toby serdecznie pokochać go mogła. Wszystko to nam powtórzyła córka tego starego.

Klaudyo. Wszystko, wszystko; a w dodatku jeszcze i to: Bóg go widział, jak się skrył w ogrodzie.

Don Pedro. A kiedyż to wsadzimy owe rogi dzikiego byka na głowę Benedykta?

Klaudyo. Tak jest i podpis pod tem: tu mieszka żonaty Benedykt?

Benedykt. Do widzenia, dzieciuchu; wiecie, co myślę; a teraz was zostawiam waszemu wygadanemu humorowi; szermujecie żarcikami, jak chełpisze swą szpadą, która nikogo nie rani. Mości książę, dziękuję wam za niejedną uprzejmość, odtąd nie mogę nadal pozostawać w waszem towarzystwie; brat wasz, bękart, czmychnął z Messyny; obaj zabiliście lube i niewinne dziewczę, a co się tyczy tego pana Gołowąsa, to pomówimy z sobą, aż do tego zaś czasu, spokój z nim. *(Wychodzi).*

Don Pedro. Czy to było na seryo?

Klaudyo. Jak najzupełniej; a zaręczam, że to wszystko z miłości do Beatryczy.

Don Pedro. I wyzwał cię?

Klaudyo. Według wszelkich prawideł.

Don Pedro. Cóż to za miłe stworzątko jest taki człowiek, który chodzi w spodniach i kaftanie, a rozum zostawia w domu.

(Wchodzą Ciarka, Kwasek i straż, prowadząc Konrada i Borachia).

Klaudyo. Jest on wtedy olbrzymem wobec małpy: ale małpa jest wtedy doktorem wobec takiego człowieka.

Don Pedro. Ale teraz cicho; dajmy temu spokój; a ty, me serce, zastanów się i bądź poważnem. Czyż nie powiedział on, że brat mój czmychnął?

Ciarka. Dalej, aspan! dalej! Jeżeli sprawiedliwość was nie ugłaska, to nie będzie już dłużej ważyć słuszności na swoich szalach, a jeżeli wam dowiodę, że jesteście przeklętym hipokrytą, to trzeba będzie na aspana uważać.

Don Pedro. Cóż to się dzieje, dwóch ludzi mojego brata związanych i pomiędzy nimi Borachio?

Klaudyo. Dowiedzmy się, co zawinili, mości książę.

Don Pedro. Panowie, cóż ci ludzie zawinili?

Ciarka. A no, nie inaczej, zrobili fałszywe doniesienie; powtóre są oszustami, po szóste i ostatnie fałszywie obwinili jedną damę; po trzecie podali za prawdę rzeczy niesprawiedliwe, no i nakoniec, kłamcy to i szelmy.

Don Pedro. A ja się pytam ciebie po pierwsze, co zrobili; po trzecie pytam się, jakiej dopuścili się przewiny; po szóste i ostatnie, jaką popełnili zbrodnię; a nakoniec, co im zarzucacie?

Klaudyo. Dobrze liczycie, mości książę; zupełnie według jego metody rachowania; na uczciwość, wnioski dobrze wyciągnięte.

Don Pedro. Coście to spełnili, mości panowie, że trzech was skrępowano? Ten uczony porucznik zbyt jest mądry, ażeby go można zrozumieć. Jaka wasza wina?

Borachio. Dobry książę, nie odsyłajcie mnie tylko do sądu; posłuchajcie mnie, a potem niech mnie ten hrabia zabije. Oszukałem własne wasze oczy; czego nie mogła odkryć wasza roztropność, to wyprowadziły na światło puste mózgownice tych ludzi, którzy podsłuchiwali mnie w nocy, kiedym opowiadał temu oto człowiekowi, jakto Don Juan, brat wasz, nasadził mnie do wniesienia oszczerstwa na pannę Hero, jakto was przywabiono do ogrodu i jakeście widzieli mnie, zalecającego się do Małgorzaty, ubranej w suknie panny Hero; jakeście ją znieważyli, kiedyście ją mieli zaślubić; to moje łotrostwo zapisali w swym wywodzie: wolałbym go raczej przypieczętować swą śmiercią, niżeli go na swoją hańbę powtórzyć; panienka ta umarła wskutek mojego i mojego pana oskarżenia, mówiąc krótko, niczego sobie też nie życzę, jak tylko nagrody łotra.

Don Pedro. Czy, jak żelaza, słów tych w krwi nie czujesz?

Klaudyo. Piłem truciznę, kiedy on to mówił.

Don Pedro. I czy to brat mój nasadził cię na to?

Borachio. Tak, i za czyn ten hojnie wynagrodził.

Klaudyo. O, słodka Hero! Znowu mi jaśniejesz
W dawnej postaci, którą tak kochałem!

Ciarka. Dalej, wyprowadźcie powodów; nasz pisarz reformował już w tę porę pana Leonata o całej sprawie: A nie zapominajcie, mości panie, w stosownym cza-

sie i w stosownem miejscu wyspecyfikować, że jestem osłem.

Kwasek. Idzie już, idzie pan Leonato razem z pisarzem.

(Wraca Leonato i Antonio z pisarzem).

Leonato. A gdzież jest łotr ten? niech zajrzę mu w oczy,
Bym, podobnego doń spotkawszy kiedy,
Zeszedł mu z drogi. Któryż z nich jest łotrem?

Borachio. Chcecie zobaczyć łotra, co was skrzywdził,
Spojrzyjcie na mnie.

Leonato. Więc to ty, nędzniku,
Oddechem swoim zabiłeś me dziecko?

Borachio. Ja sam.

Leonato. Nie, łotrze; okłamujesz siebie;
Przecież tu stoi dwóch takich zacnoszów,
A trzeci uciekł, w sprawę tę wmieszany.
Za śmierć mej córki dzięki wam, książęta!
Do swoich godnych doliczcie to czynów,
Boście to mężnie spełnili, jak wiecie.

Klaudyo. Nie wiem, jak błagać cierpliwości waszej,
Lecz mówić muszę; sami sobie zemstę
Chciejcie wyszukać, nałóżcie pokutę,
Jaką za grzech mój wynaleźć umiecie:
Przecież zgrzeszyłem tylko przez omyłkę.

Don Pedro. I ja tak samo; na mą duszę! Chętnie
Ugnę się jednak pod każdym ciężarem,
Jaki nałożyć zechce mi ten starzec,
Ażeby dać mu satysfakcyę.

Leonato. Żądać
Nie mogę od was, abyście mi córkę
Znowu do życia przywołali, tylko
Proszę: ogłoście ludowi w Messynie,
Jakto niewinnie zmarło moje dziecię,
A jeśli miłość wasza w tej boleści
Może cośkolwiek zrobić, to zawieście
Na jej mogile smutne epitafium
I zaśpiewajcie je przy zwłokach córki,
Dzisiejszej nocy, a zaś jutro zrana
Do mego domu przyjdźcie i, jeżeli
Zostać mym zięciem nie było wam dane,
Zostańcie moim kuzynem, bo córkę
Brat mój posiada, istną kopię zmarłej,
Obu nas braci jedyną dziedziczkę.

Na nią przenieście prawa jej krewniaczki,
A moja zemsta umrze.

Klaudyo. Dobry panie,
Przezacność wasza łzy mi z ócz wyciska;
Sercem przyjmuję tę waszą ofiarę:
Rozporządzajcie odtąd biednym Klaudyo.

Leonato. Czekam więc rano waszego przybycia;
Teraz, dobranoc. A tego nędzarza
Postawić oko w oko z Małgorzatą,
Bo do tej zbrodni, jak mniemam, i ona
Była kupioną przez waszego brata.

Borachio. Nie, na mą duszę! ona jest niewinna!
Mówiła ze mną, nie wiedząc, co czyni.
Zawsze cnotliwą była i szlachetną
We wszystkich sprawach, które mi są znane.

Ciarka. A ponadto, jakkolwiek niema tego czarno na białem, ten powód, ten złoczyńca, nazwał mnie osłem: Proszę was, niech mu to popamiętają przy jego karze. Straże słyszały również, jak mówił o jakimś Maszkarze; powiadają, że klucze nosi w uszach, że mu pukiel wisi, że pożycza pieniędzy w imię Boże, że czyni to już oddawna i że niema zwyczaju niczego oddawać, tak że ludzkie serca zaczynają twardnieć i nikt już z miłości ku Bogu pożyczać nie chce: proszę was, wyegzaminujcie go co do tego punktu.

Leonato. Dziękuję ci za twoją troskliwość i trud szlachetny.

Ciarka. Wasza wielmożność przemawia, jak najczcigodniejszy i najwdzięczniejszy młodzieniec, to też sławię Pana Boga za was.

Leonato. Masz tu za swoje trudy.

Ciarka. Boże błogosław temu pobożnemu domowi.

Leonato. Idź; odbieram ci twoich więźniów i dziękuję ci.

Ciarka. Pozostawiam z waszą wielmożnością wierutnego łotra, któremu wasza wielmożność, proszę bardzo waszą wielmożność, raczy sama wymierzyć należytą korekturę dla przykładu innych jemu podobnych. Życzę waszej wielmożności wszystkiego dobrego i jak najuniżeniej pozwalam odejść do domu; a jeżeli mamy sobie życzyć wesołego do widzenia, to nie daj tego, Panie Boże. Chodźcie, sąsiedzie.

(Wychodzą Ciarka, Kwasek i straż).

Leonato. A więc do rana, żegnajcie, panowie.

Antonio. Tak, jutro rano czekamy; żegnajcie.
Don Pedro. Nie omieszkamy przybyć.
Klaudyo. Ja tej nocy
Pójdę mą zmarłą opłakiwać Hero.
(Wychodzą Don Pedro i Klaudyo).
Leonato. Precz z tymi ludźmi! Spytam Małgorzaty,
Skąd jej znajomość z tymi tu łotrami.

SCENA II.

Ogród Leonata.

(Wchodzą Benedykt i Małgorzata).

Benedykt. Proszę cię, słodka panno Małgorzato, przysłuż mi się, dopomóż mi do rozmowy z Beatryczą.
Małgorzata. A czy napiszecie mi sonet na pochwałę mojej piękności?
Benedykt. Stylem tak wysokim, Małgorzato, że nikt z żyjących do niego się nie zbliży, prawdziwie, zasługujący na to.
Małgorzata. Że nikt się nie zbliży do mnie? A więc mam zawsze zostać na koszu?
Benedykt. Dowcip twój tak jest ostry, jak trąba charta: kąsa.
Małgorzata. A wasz tak jest tępy, jak rapier fechtmistrza; uderza, lecz nie rani.
Benedykt. Dowcip prawdziwie męski, Małgorzato, nie chce ranić żadnej kobiety. A teraz, proszę cię, zawołaj panny Beatryczy; uznaję się za zwyciężonego, oddaję ci tarczę.
Małgorzata. Raczej miecz nam oddaj, bo mamy własne tarcze.
Benedykt. Jeżeli będziesz chciała użyć mojego miecza, to nie zapomnij końca ująć w kleszcze, bo to broń dla dziewczyn wielce niebezpieczna.
Małgorzata. I owszem! owszem, zawołam panny Beatryczy, myślę, że ma nogi za pasem.
(Wychodzi Małgorzata).
Benedykt *(śpiewa).* Bożek miłości,
Co w górze gości,
On świadom, świadom
Mojej słabości —

Naturalnie, w śpiewie, bo w kochaniu, Leander, znakomity pływak, Troilus, który pierwszy posługiwał się stręczycielami, i cała księga tych quondam zakochanych gładyszów, których nazwiska słodko toczą się po równej drodze białych wierszy, nigdy nie byli tak turbowani w miłości, jak ja, chudzina. Ale naprawdę, nie umiem tego objawić rymami, próbowałem, nie mogę jednak znaleźć innego rymu do »panienka«, jak »dziecinka« — rym zbyt niewinny; do »kobieta«, jak »kopyta« — rym za twardy; do »szkoły«, jak »woły«, rym za ordynarny, same złowróżbne końcówki. Nie! nie urodziłem się pod rymującą planetą, nie umiem się zalecać w słowach odświętnych.
(Wchodzi Beatrycze).
Słodka Beatrycze! a więc przyszłaś na moją prośbę?
Beatrycze. Tak i odejdę dopiero na wasz rozkaz.
Benedykt. O, zostańcie aż dotąd!
Beatrycze. Aż »dotąd« powiedzieliście, a zatem bywajcie mi zdrowi: lecz zanim odejdę, pozwólcie mi odejść z tem, po com przyszła, to znaczy z wiadomością, co było pomiędzy wami a Klaudyem.
Benedykt. Nieprzyjemne słowa, nic więcej; i dlatego cię pocałuję.
Beatrycze. Nieprzyjeme słowa, to tylko nieprzyjemny zawiew, a nieprzyjemny zawiew to tylko nieprzyjemny oddech, a nieprzyjemny oddech jest niezdrowy, dlatego odejdę sobie bez waszego pocałowania.
Benedykt. Wystraszyłaś sens z twojego słowa, tak zapalczywym jest twój dowcip; ale powiedzieć ci muszę, że Klaudyo przyjął wyzwanie; usłyszę więc niebawem coś więcej o nim, albo publicznie tchórzem go ogłoszę. A teraz proszę cię, powiedz mi, w której z moich przywar zakochałaś się najpierw?
Beatrycze. We wszystkich razem; składają się one bowiem razem na taką społeczność złego, że nie dadzą ani jednemu lepszemu przymiotowi wcisnąć się pomiędzy siebie. Ale dla którego z moich dobrych przymiotów zaczęliście nasamprzód cierpieć miłość w sobie?
Benedykt. Cierpieć miłość, doskonałe wyrażenie. Tak jest, cierpię miłość, ponieważ zakochałem się w tobie na przekorę mojej woli.
Beatrycze. Naprzekór waszemu sercu, myślę. Ach! biedne serce! Jeżeli przez miłość dla mnie robicie mu

wszystko naprzekór, to i ja przez miłość dla was muszę mu wszystko robić naprzekór, bo nigdy nie będę kochała tego, czego przyjaciele moi nienawidzą.

Benedykt. Ty i ja zanadto jesteśmy mądrzy, ażeby wzajemne zaloty nasze mogły być spokojne.

Beatrycze. Nie widać tego w tem wyznaniu; na dwudziestu mądrych niema jednego, któryby chwalił sam siebie.

Benedykt. Stare to, stare przysłowie, Beatrycze, które żyło za czasów dobrych sąsiadów: Jeżeli człowiek nie wybuduje sobie grobowca jeszcze za życia, to pamięć o nim nie potrwa dłużej, niżeli odgłos pogrzebowych dzwonów i żale jego wdowy.

Beatrycze. A te jak długo trwają, waszem zdaniem?

Benedykt. Pytacie się? Godzinę krzyku, a kwadrans szlochania. To też najkorzystniej dla mędrca (jeżeli Don Robak, sumienie jego, nie stanie mu na przeszkodzie) być trąbą swoich własnych cnót, jak ja oto jestem moich; tyle na wytłómaczenie moich pochwał, danych własnej osobie, która, jak sam to poświadczyć mogę, pochwał tych jest godna. A teraz powiedzcie mi, jak się ma wasza kuzynka?

Beatrycze. Bardzo źle.

Benedykt. A wy jak się macie?

Beatrycze. Tak samo bardzo źle.

Benedykt. Chwalcie Boga, kochajcie mnie i poprawcie się; a teraz was pożegnam, bo ktoś tutaj biegnie do nas. *(Wchodzi Urszula).*

Urszula. Łaskawa pani, macie pójść do stryja; w domu wielki harmider; dowiedzionem zostało, że moją panią Hero obwiniono fałszywie; księcia i Klaudya boleśnie oszukano; sprawcą wszystkiego jest Don Juan, który się ulotnił. Czy przyjdziecie zaraz?

Beatrycze. A wy, panie, nie posłuchacie tych nowin?

Benedykt. Ja chcę żyć w twojem sercu, umrzeć na twojem łonie, być pogrzebanym w twoich oczach, a nadto pójdę z tobą do twego stryja.

(Wychodzą).

SCENA III.

(Wchodzą Don Pedro, Klaudyo i służba z muzyką i pochodniami).

Klaudyo. Czy to grobowiec Leonatów?

Sługa. Tak, panie.

Klaudyo *(czyta).*

Hero leży w tej mogile,
Życie wziął jej podły kłam;
Za doznanej hańby tyle
Ma dziś wieczną sławę tam!
Tak, co zgasło tu w sromocie,
Żyje w Bożej chwały złocie.
(Zawieszając epitaf).
Ku jej chwale służ, ma pieśni,
Gdy ja legnę w grobu cieśni.
Zagraj, muzyko! nućcie hymn żałobny.

ŚPIEW.

Przebacz, nocy, w smutku chwili
Tym, co dziecię twe zabili,
Tym, co, krążąc przy tym grobie,
Nucą pieśni w łez żałobie.
Północy! wysłuchaj nas
I płacz tu z nami wraz
Boleśnie! boleśnie!
Umarli, wstańcie i wy,
Podzielcie nasze łzy —
Boleśnie! boleśnie!

Klaudyo. Dobranoc, luba, a co roku
Przyjdę do ciebie ze łzą w oku.

Don Pedro. Nasze pochodnie zagasić już trzeba;
Już wilków syte wracają gromady,
I wschód rosisty pod kołami Feba
Śpieszy, szarawe zostawiając ślady.
Dzięki wam wszystkim, bywajcie mi zdrowi.

Klaudyo. Moi panowie, śpieszcie ku domowi.

Don Pedro. A teraz w inne przebierzmy się stroje,
Do Leonata podążmy w tej chwili;
Oby nam Hymen dał dziś szczęście swoje,
Lepsze, niż które łząśmy dziś zrosili.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Pokój w domu Leonata.

(Wchodzą Leonato, Antonio, Benedykt, Beatrycze, Urszula, Mnich i Hero).

Mnich. Nie powiedziałem, że Hero niewinna?
Leonato. Jak są niewinni i książę, i Klaudyo,
Że ją o taką oskarżyli zdradę,
Lecz Małgorzata nie jest też bez błędu,
Choć wbrew swej woli, jak to wykazuje
Prawdziwy przebieg tej sprawy.
Antonio. Rad jestem,
Że się to wszystko skończyło na dobre.
Benedykt. A i ja także, bo, związany słowem,
Musiałbym żądać rachunku od Klaudya.
Leonato. Teraz zaś, córko, i wy, wszystkie panie,
Raczcie do swoich udać się pokoi,
A gdy zawołam, powróćcie tu w maskach,
Książę i Klaudyo obiecali przybyć
Do mnie tej pory, bracie, wiesz, co czynić:
Masz być dziś ojcem córki swego brata,
By ją za żonę dać Klaudyjuszowi.
(Panie wychodzą).
Antonio. Co też ze wszelką uczynię powagą.
Benedykt. I ja skorzystam, księże, z waszych trudów,
Mnich. A w jakim celu, panie?
Benedykt. Aby związać,
Lub też rozwiązać, jedno albo drugie.
Prawdą jest, drogi panie Leonato,
Że synowica wasza patrzy na mnie
Łaskawem okiem.
Leonato. Tak jest, moja córka
Na to jej swego pożyczyła oka.
Benedykt. A jam miłosnem odpowiedział okiem.
Leonato. Które, tak mniemam, dostałeś ode mnie,
Księcia i Klaudya. Lecz jaka twa wola?
Benedykt. Wasza odpowiedź, panie, zagadkowa.
Co do mej woli, to taka ma wola,
By wasza dobra wola z naszą wolą
Zgodzić się chciała na to, że małżeńskim
Chcemy się dzisiaj połączyć tu związkiem,
Do tego, księże, chcę waszej pomocy.

Leonato. Me serce z waszą jest chęcią.
Mnich. I moja
Pomoc. Lecz idzie książę razem z Klaudyem.
(Wchodzą Don Pedro i Klaudyo ze świtą).
Don Pedro. Dzień dobzy wszystkim tutaj zgromadzonym.
Leonato. Dzień dobry, książę, dzień wam dobry, Klaudyo.
Czekamy na was, jesteście gotowy
Zawrzeć małżeństwo z córką mego brata?
Klaudyo. Dotrzymam słowa, chociażby z Murzynką.
Leonato. Bracie, zawołaj córkę; ksiądz już czeka.
(Antonio wychodzi).
Don Pedro. Dzień dobry, panie Benedykcie! Cóż to,
Że wyglądacie na twarzy, jak luty?
Tak pełno na niej mrozu, chmur i słoty?
Klaudyo. Pewno mu przyszła myśl o dzikim byku!
Nie trać odwagi! twój róg ci ozłocim,
Cała Europa radować się będzie,
Jak Europa ongi swym Jowiszem,
W szlachetne bydlę zmienionym z miłości.
Benedykt. O tak, byk Jowisz ryczał doskonale!
Jemu podobny w miłosnym zapale
Jako gość przyszedł w zaloty do krowy
Twojego ojca — i skutek gotowy;
Zostało cielę po szlachetnym byku,
Podobne do was z postaci i ryku.
(Wracają Antonio i panie w maskach).
Klaudyo. Zapłacę ja wam. Lecz teraz mam inne
Tutaj rachunki. Do której się zwrócić?
Antonio. Do tej; jej rękę chętnie wam oddaję.
Klaudyo. Więc ta jest moją! Pozwól mi nadobne
Obaczyć lice.
Leonato. Nie, póki przed księdzem,
Wziąwszy jej rękę, nie zaprzysiężecie
Małżeńskiej wiary.
Klaudyo. Podajcie mi rękę;
Przed tym kapłanem jestem waszym mężem,
Upodobanie jeśli macie we mnie.
Hero *(zdejmując maskę).* Gdym żyła, pierwszą byłam żoną
[twoją,
A ty mym pierwszym mężem, kiedyś kochał.
Klaudyo. To druga Hero!
Hero. Nic nie jest pewniejszem.

Jedna umarła w sromocie: ja żyję,
Jestem dziewicą tak pewno, jak żyję.
Don Pedro. To pierwsza Hero, Hero, co umarła!
Leonato. Była umarłą, póki żyła hańba.
Mnich. Wasze zdziwienie wyjaśnię niebawem.
Skoro te święte skończą się obrzędy,
O śmierci Hero dokładnie opowiem;
Tymczasem miejcie cud ten za rzecz zwykłą
I chodźmy wszyscy razem do kaplicy.
Benedykt. Zwolna, mój księże. Gdzież jest Beatrycze?
Beatrycze *(zdejmując maskę).* Ja odpowiadam na to imię. [Czegóż
Chcecie ode mnie?
Benedykt. Czy mnie nie kochacie?
Beatrycze. O nie! nie więcej nad to, co należy.
Benedykt. Jakto? Więc stryj wasz, książę oraz Klaudyo
Czyż się mylili? przysięgali przecież,
Że mnie kochacie.
Beatrycze. Wy mnie nie kochacie?
Benedykt. O nie! nic więcej nad to, co należy.
Beatrycze. Jakto? Więc moja kuzynka, Urszula
I Małgorzata miałyżby się mylić,
Bo przysięgały, jako mnie kochacie.
Benedykt. Mnie przysięgały, że mdlejesz z miłości.
Beatrycze. Mnie przysięgały, że z miłości konasz.
Benedykt. Nie w tem jest sprawa. Więc mnie nie kochacie?
Beatrycze. O nie, prawdziwie, tylko przyjaźń żywię.
Leonato. O nie, kuzynko, kochasz tego pana.
Klaudyo. A ja przysięgam, że i on ją kocha.
Ma oto papier, który sam zapisał,
Kulawy sonet spłodził w własnym mózgu
W cześć Beatryczy.
Hero. A tu inny sonet,
Przez nią pisany, skradziony z kieszeni,
Opiewający żar do Benedykta.
Benedykt. O dziwy! Nasze ręce świadczą tutaj przeciw naszym sercom! Chodź! wezmę cię! Ale na to światło Boże! biorę cię tylko z litości.
Beatrycze. Nie chcę wam odmawiać, ale na dzień ten jasny! ulegam tylko namowom waszych przyjaciół, a poczęści dlatego, aby wam uratować życie, bo powiedziano, że macie suchoty.
Benedykt. Cicho! bo zatkam ci gębę. *(Całuje ją).*

Don Pedro. Jak ci teraz na sercu, Benedykcie żonaty?
Benedykt. Ja ci coś powiem, książę. Cała wszechnica drwinkogryzów nie wydrwi mnie z mojego humoru. Myślisz może, że się troszczę o satyry albo epigramy? Nie! gdyby się człowiek miał powodować konceptami, toby do niczego nie doszedł. Jednem słowem: ponieważ postanowiłem się ożenić, nie myślę wcale uważać na to, co świat sobie przeciw temu postanowił; dlatego też dajcie pokój drwinkom z tego, com kiedyś przeciw temu powiedział, bo człowiek słabem jest stworzeniem — i na tem koniec. Co się tyczy ciebie, Klaudyo, tom myślał cię przetrzepać, ale że masz stać się niejako moim kuzynem, żyj sobie zdrów i kochaj swego krewniaka.
Klaudyo. Miałem nadzieję, że Beatryczy dasz kosza i że będę mógł cię kijem wyciągnąć z pojedyńczego żywota i zrobić z ciebie człowieka podwójnego, którym bez wątpienia zostaniesz, jeżeli moja kuzynka nie będzie krótko cię trzymać.
Benedykt. No, no, jesteśmy przecież przyjaciółmi, potańcujmy sobie przed weselem, aby ulżyć naszym sercom i piętom naszych małżonek.
Leonato. Będziemy tańcowali potem.
Benedykt. Lepiej przedtem, na me słowo! A więc od ucha, muzyko! Posmutnieliście, książę; poszukajcie sobie żony! poszukajcie sobie żony! Niema dostojniejszej laski, jak laska, w róg okuta. *(Wchodzi posłaniec).*
Posłaniec. Brat wasz, Don Juan, pójmany, mój książę;
Pod dobrą strażą przybył do Messyny.
Benedykt. Pomyślimy o nim jutro; tymczasem medytować będę nad surową dla niego karą! Dalej! muzyka! od ucha!



SPIS RZECZY.

